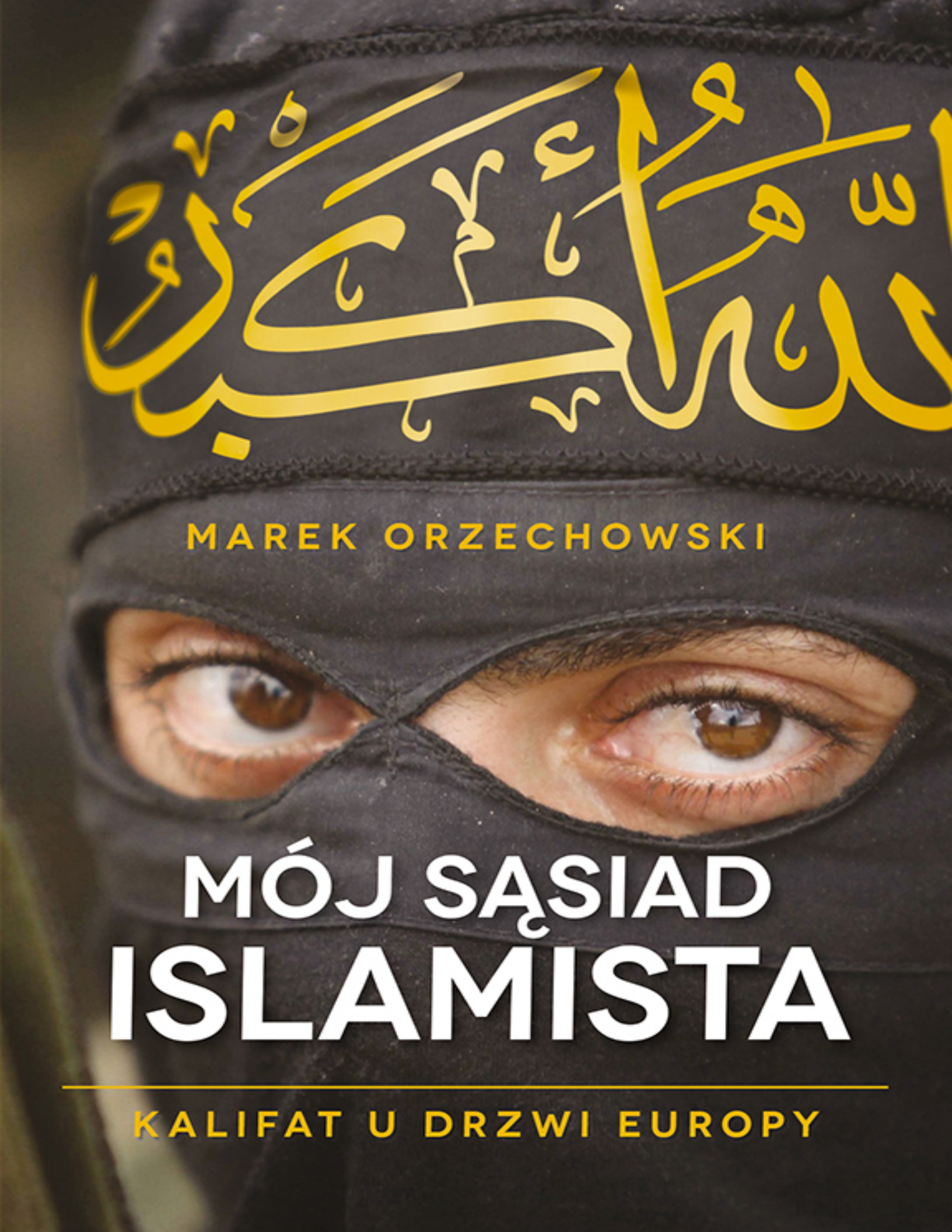

MAREK ORZECHOWSKI

MÓJ SĄSIAD ISLAMISTA

KALIFAT U DRZWI EUROPY

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

MAREK ORZECHOWSKI

MÓJ SĄSIAD ISLAMISTA

KALIFAT U DRZWI EUROPY

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE
MUZA SA

Projekt okładki: *Jacek Szewczyk*
Redakcja: *Halina Hałajkiewicz*
Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*
Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*
Korekta: *Anna Gogut*

Zdjęcia wykorzystane na okładce
na zewnątrz © Ashraf Amra/Anadolu Agency/Getty Images
wewnątrz © Peter Macdiarmid/Getty Images

© by Marek Orzechowski
© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2015

ISBN 978-83-287-0139-7

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
Warszawa 2015
Wydanie I

Kto rzeczy nie nazywa po imieniu,
przyczynia się do nieszczęścia świata.

ALBERT CAMUS

Kto ogranicza wolność dla bezpieczeństwa,
traci i jedno, i drugie.

BENJAMIN FRANKLIN

Zwalczajcie na drodze Boga tych,
którzy was zwalczają, lecz nie bądźcie najeźdźcami.
Zaprawdę Bóg nie miłuje najeźdźców!
I zabijajcie ich, gdziekolwiek ich spotkacie,
i wypędzajcie ich, skąd oni was wypędzili.
– Prześladowanie jest gorsze niż zabicie.
– I nie zwalczajcie ich przy świętym Meczecie,
dopóki oni nie będą was tam zwalczać.
Gdziekolwiek oni będą walczyć przeciw wam, zabijajcie ich!
– Taka jest odpłata niewiernym!

KORAN, 2:191*

Ziemia stoi w miejscu i się nie rusza.
Jeśli Ziemia się kręci, to w sytuacji,
kiedy samolot zawiśnie w miejscu,
Chiny same powinny się pod nim znaleźć.

A jeśli obraca się w przeciwnym kierunku,
to samolot nigdy nie osiągnie swojego celu,
bo Chiny by przed nim uciekały.

Szejk BANDAR AL-KHAIBARI, saudyjski duchowny islamski,
odpowiada na pytanie studenta podczas wykładu
w Zjednoczonych Emiratach Arabskich
styczeń 2015

* Wszystkie cytaty z Koranu w przekł. Józefa Bielawskiego, Warszawa 2009.

Spis treści

SOS
Sierota Charlie
Mój sąsiad islamista
Wiara i miecz
Liberté, égalité, fraternité? Islamitié!
Dar al-Berlin
Islamsterdam
Zdobyć Rzym
Marzec, 2015
As-salāmu alaykum
Islam wczoraj i dziś (niektóre daty)
Podziękowania

SOS

Bruksela, 2015, koniec stycznia. Do Cercle Gaulois, położonego na skraju parku Brukselskiego, naprzeciw siedziby premiera kraju, Fundacja Konrada Adenauera zaprasza na doroczne spotkanie noworoczne. Takie spotkania to w stolicy Belgii wieloletnia tradycja. Obrosłe w tradycję jest też samo miejsce. Cercle Royal Gaulois Artistique et Littéraire z siedzibą w historycznym budynku Vauxhall na tyłach Królewskiego Teatru przy Parku, założone w listopadzie 1848 – wówczas pod nieco inną nazwą, jako Cercle Royal Gaulois – jest jednym z kilku ekskluzywnych klubów belgijskich skupiających krajową i międzynarodową elitę. Można tu spotkać się na lunchu z przyjaciółmi, wziąć udział w debatach, podziwiać na koncertach śpiewaków i kwartety albo wymienić poglądy podczas obiadów wtorkowych organizowanych wyłącznie dla członków klubu, którzy sami przygotowują menu. Zdobyta tutaj renoma towarzyszy zwycięzcy konkursu smakoszów przez całe życie. Można też uczestniczyć w przyjęciach i wysłuchać w ich trakcie referatu na aktualny temat – tak jak w tym roku, w styczniu.

Cercle Gaulois, przepojone duchem artystycznym i literackim, jak sama nazwa wskazuje, ma ambicję tworzenia przestrzeni dla wymiany myśli wolnej od jakichkolwiek tendencji politycznych, kulturowych czy filozoficznych. Gdyby żyli, dobrze czuliby się zapewne w jego atmosferze tak Wolter, jak i Goethe, tak Einstein, jak i Lelewel. „Nie zgadzam się z tobą, ale zawsze będę bronił twego prawa do posiadania własnego zdania”, mówił francuski filozof. I ta Wolterowska maksyma w Cercle Gaulois jest jak w domu, u siebie. Roczna składka jest wysoka, ale i prestiż niemały. Liczba członków ograniczona, selekcja surowa. Goście z zewnątrz bez krawata nie mają wstępu, a dla zapominalskich członków klubu konsjerż trzyma w zanadrzu kilka krawatów w dobrym stylu. Południowy lunch to prawdziwa ceremonia, otoczona całkowitą dyskrecją.

Bardziej centralnej lokalizacji w Brukseli nie można sobie wymarzyć. Przy Rue de la Loi, naprzeciw wejścia do klubu, urzęduje premier, nieco dalej znajduje się siedziba parlamentu i senatu, po drugiej stronie parku – Pałac Królewski. Nieopodal jest Palais des Baux Arts, Pałac Sztuk Pięknych, dzieło Victora Horty, i niedaleko, przy Rue Ducale, ambasada USA ze swoim sławnym klubem. To dobry adres, jeden z najlepszych w mieście, znają go nie tylko brukselczycy, ale i wszyscy bez wyjątku zagraniczni turyści. Tyle że dziś przemieszczaniu się w okolicach parku towarzyszy niepokój. Zawsze było tu sporo policji, ale widok uzbrojonych belgijskich spadochroniarzy, normalnie oglądanych głównie podczas lipcowej parady z okazji święta narodowego, jest nowością. Nie mogą wprawdzie sprawdzać dokumentów, nie mogą zatrzymywać, to nadal należy do policji, ale mogą strzelać, po to są. Dziś ich obecność potwierdza: Belgia się boi.

Czy i ja mam się bać, czy powinienem się bać? I kogo? Spadochroniarzy widzę i odczuwam pewną ulgę, bo wiem, że są tu dla mojego bezpieczeństwa. Ten, przed kim mnie chronią, fizycznie nie jest tu obecny. Pozostaje niewidzialny i przez to wydaje się odległy, choć gdzieś przecież jest, musi być. Może zupełnie niedaleko, w Molenbeek, pobliskiej dzielnicy zamieszkanej niemal wyłącznie przez Marokańczyków. Dokonano tam już wielu zatrzymań i aresztowań, stamtąd pochodzili dżihadyści zastrzeleni kilka dni wcześniej w Verviers na wschodzie Belgii.

Molenbeek jest jedną z tych brukselskich dzielnic, których bez wielkiej i uzasadnionej potrzeby nikt nie odwiedza. Dla mieszkańców wschodnich rejonów stolicy jej cały zachód i część centrum to obszar podejrzany i niebezpieczny. Imigranci osiedlali się tu już w XIX wieku, ale dopiero od połowy ubiegłego trzymają go mocno i ostatecznie w swoich rękach. Przeludnienie, rozwarstwienie socjalne, wysokie bezrobocie, a wraz z nimi wysoka przestępczość – czytamy i słyszymy o tym od dawna. Jeśli dłużej mieszka się w Brukseli, to prędzej czy później także we własnym życiorysie odnotuje się epizod z Molenbeek w tle. Kilka lat temu na Avenue Louise, najbardziej wytwornej ulicy miasta, mój służbowy samochód został okradziony. Straciłem też dokumenty osobiste i kiedy składałem wyjaśnienia w pobliskim komisariacie policji, moje karty kredytowe, jeszcze niezablokowane, zostały doszczętnie wyczyszczone w sklepach

w tej właśnie dzielnicy. To była pierwsza wskazówka dla policji, gdzie powinna szukać złodziei. Karty nie były zabezpieczone kodami PIN, ale i one nie stanowiłyby dla złodziei problemu, objaśnił komisarz. Nie w Molenbeek. Lepiej poza tym nie rozpoznawać i w gruncie rzeczy nie szukać sprawców. Ich koledzy i przyjaciele mogą w odwecie narobić jeszcze większej szkody.

W Molenbeek spadochroniarzy nie ma. Nie mają tam czego chronić. Wszystkie gmachy urzędów rządowych, ambasady, europejskie i natowskie instytucje dawno ominęły zachód Brukseli wielkim łukiem. Są za to wojownicy Allaha. Na europejskiej mapie zagrożeń terrorystycznych Belgia wyróżnia się jaskrawoczerwonym kolorem i bije bardzo smutny rekord – na każdy milion mieszkańców przypada tu dwudziestu siedmiu zidentyfikowanych dżihadystów gotowych w walce z niewiernymi oddać życie. To więcej niż we Francji i znacznie więcej niż w Niemczech. Mała Belgia przoduje także, niestety, w dostarczaniu wojowników Państwu Islamskiemu. Służby specjalne szacują, że wyjechało z niej do Syrii – głównie z Brukseli i Antwerpii – ponad siedmiuset młodych mężczyzn, niektórzy już tam zginęli, dziesiątki wróciły na odpoczynek, do wyjazdu szykują się następni.

Siedmiuset. Być może liczba ta wyda się niewielka, w końcu w Belgii żyje blisko sześćset tysięcy muzułmanów, z Francji zresztą wyjechało ich do Syrii więcej. Ale w państwie małym jak Belgia obawa i strach nie mają się gdzie schować, więc na każdego spotkanego dziś w metrze brodatego Marokańczyka czy Algierczyka mijający ich ludzie spoglądają z obawą. Podobnie jest zresztą, gdy nie noszą brody. Przesada? Nie do końca. W niedostępnym dla postronnych równoległym świecie muzułmanów stopień radykalizacji nie jest, niestety, dostatecznie rozpoznany, bo niby jak? Trzeba byłoby słuchać wszystkich kazań imamów w meczetach, siedzieć w ławkach wszystkich szkół koranicznych, przesiadywać w orientalnych kafejkach, mówić we wszystkich arabskich dialektach… i razem z nimi mieszkać. To jednak niemożliwe, nie mamy przepustek do tego świata. Zostaje tylko świat zewnętrzny, ten na styku, ten widoczny, ten jeszcze jakoś czytelny, ale niepokojąco niepełny. Bracia Kouachi wysiadali w paryskim metrze na tych samych stacjach co ich ofiary bezpiecznie ukryci za naiwnym przekonaniem, że nie mogą być wilkami. Obaj

wychowywali się we francuskim domu dziecka wyglądającym jak pałac, otoczonym pięknym ogrodem, i nikt nie miał z nimi żadnych problemów wychowawczych. Mała to dziś pociecha. Mohamed Kouachi miał nawet konto na Facebooku. Czyli był jednym z nas.

Kiedy idę do Cercle Gaulois, przed oczyma mam jeszcze zdjęcia z Paryża, przede wszystkim widok zastrzelonego policjanta. Kilka dni po Paryżu – w 2015, piętnastego stycznia – za sprawą małego Verviers na wschodzie Belgii terror stał się fizycznie bliski. W Paryżu policja była niedaleko, ale zaskoczona charakterem zbrodni sama stała się ofiarą zamachowców. W Verviers przybyła w porę, a nawet przed czasem. Nie wierzę, że karykatury w „Charlie Hebdo" i *Je suis Charlie*, milionowe wyznanie wiary, stały się impulsem dla belgijskich terrorystów. Z pewnością podsyciły ogień zemsty i chęć odwetu. Ale podłoże wydarzeń w Belgii ma inną naturę, bliższą udeptanej ziemi. To fascynacja Państwem Islamskim i uwiedzenie jego atmosferą, jego bezwzględną brutalnością.

To musi być oszałamiające uczucie dla skrępowanych normami zachodnimi wojowników Allaha móc wreszcie wyrwać się do tego krwawego raju na Ziemi, postrzelać, pozabijać, poobcinać głowy i zasłużyć na przyszłe życie wieczne w otoczeniu pięknych dziewic. A potem wrócić, jak gdyby nigdy nic, i ścielić łoże kolejnym zasłużonym w rozlewie krwi. Można tego zaznać także na miejscu, jak uczynili dwudziestosześcioletni Sofiane i dwudziestotrzyletni Khalid, zastrzeleni w wymianie ognia przez policję w Verviers. Chcieli zaatakować szkołę żydowską, wziąć zakładników i… Wcześniej, w 2014 w kwietniu, via Amsterdam i Stambuł przedostali się do Syrii. Po trzech miesiącach wrócili, zapadli się pod ziemię, a w listopadzie wynajęli pod fałszywymi nazwiskami mieszkanie w Verviers i przygotowywali się do ataku. Jest oczywiste, że z Syrii wrócili z takim dokładnie rozkazem. Belgijskie służby namierzyły ich w grudniu, stąd wyprzedzająca akcja policji.

Co o nich wiemy? Co wiedzieć powinniśmy? Co takiego uczyniliśmy, że Sofiane i Khalid wymierzyli w nas broń? Nasz dramat polega na tym, że życiorysy wojowników Allaha zawsze są podobne. Kiedy zna się jeden, zna się wszystkie. Ich rodziny pochodzą na ogół z odległych wiosek w Maroku albo Algierii, ich korzenie można też odnaleźć w podupadłych slumsach większych miast arabskich. Potem przenoszą się do Europy. Żyją z nami,

ale między sobą, czują swoją odrębność i jej nienawidzą. Ba, gdyby Bruksela była już muzułmańska, gdyby Paryż był już pod kontrolą, życie wyglądałoby inaczej. Ale jeszcze tak nie jest. Brak konwergencji rekompensowany jest ideologią wyższych wartości. Tych może dostarczyć tylko odpowiednia interpretacja wiary. I wtedy nie ma hamulców. Sprawcy zamachów na pociągi w Madrycie – zginęło wówczas sto dziewięćdziesiąt jeden osób i jakoś nikt w Europie nie wyszedł w marszu milczenia na ulice – swoje życie zaczęli w Jemaa Mezuak koło Tétouan w Maroku. Któż mógł przypuszczać, że z tej enklawy analfabetów zagrozi nam totalna wojna religijna? A jednak.

Tęsknota młodych Marokańczyków czy Algierczyków z belgijskimi paszportami za udziałem w bezgranicznym i brutalnym terrorze to jedna strona medalu. Tylko w ciągu ostatnich trzech lat liczba państw, w których rozgrywają się dramatyczne konflikty na tle religijnym, wzrosła o czterdzieści procent. Jest ich już dwadzieścia i w każdym gwałt i terror miały swoje źródła w dżihadzie, religijnej wojnie w imię Allaha. Pojawiła się też zupełnie nowa jakość – Państwo Islamskie, Daesh. Ciągną do niego nie tylko skromni robotnicy z Vilvoorde pod Brukselą, z Borgerhout we Flandrii czy bezrobotni z Molenbeek. Jak plaster miodu przyciąga również naszych współobywateli w garniturach o dobrze płatnych zawodach.

Bo Państwo Islamskie, dające wolną rękę w sprawie obcinania głów i gwałtów na kobietach, potrzebuje jednocześnie sił fachowych: inżynierów, specjalistów, menedżerów. Zyski z wydobycia i sprzedaży ropy, z handlu zabytkami i zrabowanymi dziełami sztuki wymagają zdolniejszej ręki i głowy niż przebiegłość i spryt szabrowników. Że Państwo Islamskie opiera się na terrorze i z niego żyje – no cóż, politolodzy potrafią to objaśnić. To przecież *nation in building*, państwo w okresie powstawania, budowane, jak każde inne, nie za pomocą dobrych słów, tylko złych czynów. Na Bliskim Wschodzie powstała próżnia, więc na gruzach Iraku i Syrii rodzi się nowa struktura państwowa. Że Zachód miał swój udział w rozbiciu tych dwóch organizmów – jasne, że miał, i jak zawsze nie przewidział skutków swojej opartej na sile doktryny upowszechniania demokracji, zachodniej demokracji, na obszarach, gdzie prawo stanowi Bóg, a nie ludzki parlament.

Nie wszyscy młodzi mężczyźni i kobiety, uwiedzeni płynącym z Państwa Islamskiego zapachem krwi, mają zaburzoną psychikę. To byłoby tłumaczenie zbyt proste i rozmijające się z ponurą prawdą. Terrorystyczne akty gwałtu rzadko kiedy dają się objaśnić wyłącznie indywidualnymi problemami i nieprzystosowaniem. Kiedy wzywa terror, nie brakuje oczywiście sadystów i psychopatów zbiegających się zewsząd w nadziei na krwawe żniwa. Ale dopiero w grupie, dającej osłonę, poczucie bezpieczeństwa i utwierdzającej w przekonaniach, ludzie, którzy indywidualnie nigdy nie byliby bestialscy, którym zadrżałaby ręka, stają się brutalni i bezlitośni. W oderwaniu od grupy ich metamorfozy nie wyjaśnią nam najciekawsze nawet indywidualne życiorysy. Stado napisze je od nowa, kiedy jednostkowa tożsamość zostanie wpisana w tożsamość wspólnotową.

Spoiwem jest grupa. Wspólne wartości, sprawdzona w trudnych warunkach przyjaźń, zaufanie, wreszcie siła. Grupa nie może się mylić. To ona daje gwarancję bezkarności, rozdziela nagrody i dyscyplinuje wewnętrznymi restrykcjami. Przynależność do grupy, która sformułowała cele, unieważnia dotychczasowe zakazy i nakazy, ułatwia odejście od moralności na rzecz ideologii. Hannah Arendt nazwała to zjawisko negacją moralności jako takiej. Na jej miejsce pojawia się albo religia, albo ideologia. Wystarczy sięgnąć nieco wstecz, do kart przeszłości, aby znaleźć potwierdzenie, że mechanizm ten zachęca wręcz do terroru, czyni go absolutem opartym na trzech podstawowych formułach. Świat był kiedyś lepszy, obecny jest dekadencki, zepsuty. Nadszedł czas naprawy i lepszej przyszłości. I my to robimy.

Trzy czwarte europejskich wojowników w Państwie Islamskim zwerbowanych zostało przez przyjaciół i razem z nimi wyruszyło do dalekiej Syrii, aby walczyć o lepszy świat. Trzynastoletniego Younesa skusił i zaciągnął do Syrii jego własny brat, głowa grupy terrorystycznej z Verviers, poszukiwany przez policję. Rodzice Younesa nie mają z nim żadnego kontaktu. Nic o nim nie wiemy, ale znamy z doniesień barbarzyństwo innego dziesięcioletniego chłopca z dumą zabijającego rosyjskiego zakładnika. Tego obrazu zapomnieć nie wolno – obok chłopca stoi jego patron, złowrogi wojownik Allaha. Zasłonił twarz, chociaż walczy o lepszy świat, pełen miłosiernego Boga. Małoletni morderca kryć się nie

musi, kara mu nie grozi. Kiedy podrośnie, twarz przed naszym światem zakryje.

Czterdzieści procent belgijskich muzułmanów mieszka w Brukseli – stanowią prawie dwadzieścia pięć procent mieszkańców miasta. Niemal wszyscy belgijscy muzułmanie (dziewięćdziesiąt procent) to potomkowie pierwszych imigrantów, reszta to nowi przybysze tego wyznania. Ojciec przywódcy terrorystów z Verviers, ukrywającego się najpewniej w Syrii, jest zszokowany, przynajmniej przed kamerami. Reporterowi jednego z belgijskich dzienników powiedział, że jego syn okrył hańbą całą rodzinę. „Zawdzięczamy przecież Belgii wszystko", rozpaczał. Ale nie powstrzymał ucieczki do Syrii innego, najmłodszego, niepełnoletniego jeszcze syna, który poszedł w ślady starszego brata. „Bardzo go słuchał, on był dla niego wzorem, razem chodzili do meczetu na modlitwy", rozkładał bezradnie ręce. Ojciec też chodzi do meczetu, ale syn terrorysta spotkał tam, jak widać, innego Boga. I ojciec przegrał.

W ubiegłym roku, 2014, Belgia przyjęła siedemnaście tysięcy politycznych uchodźców – tylu oficjalnie poprosiło o azyl polityczny – prawie wszyscy pochodzili z krajów muzułmańskich: Afganistanu, Iraku, Syrii. Prędzej czy później dostaną w Belgii prawo pobytu. Ilu z nich przysięgło wyprowadzić nas z pogaństwa? Ilu jest gotowych użyć w tym celu miecza? Może lepiej nie pytać. I tak w 2030 Bruksela ma być miastem muzułmańskim, takie są prognozy oparte na realizowanych przez brukselskie uniwersytety badaniach, którym, niestety, trzeba zaufać. Wystarczy zresztą przejrzeć statystyki napływu nowych imigrantów i urodzin w klinikach miejskich. Jakie prawo będzie wtedy porządkować życie mieszkańców? Laickie, zapisane w konstytucji i ustawach oddzielających religię od struktur państwa? Czy inne, boskie, wywiedzione z Księgi, interpretowane przez bezlitosnych fundamentalistów, z praktykowanym na co dzień szariatem?

Niedawno byłem przypadkowym świadkiem awantury dwóch rodzin arabskich w jednym ze sklepów. Rodziny były liczne, kłótnia szybko przerodziła się w rękoczyny. O co poszło? Nie wiadomo, kłócili się po arabsku. Razem z innymi nielicznymi klientami oboje z żoną schowaliśmy się w tyle sklepu, za regałami. Kasjerzy uciekli. Jeszcze chwila i po sklepie

zaczęły fruwać przedmioty, krzesło z kasy rozbiło wystawowe szyby. Ktoś w ukryciu wezwał policję.

Przyjechał jeden radiowóz, potem następny, jeszcze jeden. Młode policjantki i policjanci z wypisanym na twarzy lękiem, a może wstrzemięźliwością? Nie weszli do sklepu, próbowali interweniować z zewnątrz. Nic to nie dało. W końcu dotarły niewielkie posiłki. Rodzina przegrywająca spór powoli zaczęła opuszczać sklep, coś tłumaczyć policjantom. Sklep opuścili także agresorzy. Kłótnia trwała dalej, policja się nie wtrącała. Kiedy jeden z policjantów próbował załagodzić sytuację i nieopatrznie wspomniał coś o sądzie, gdzie można rozwiązać problem, jeden z agresywnych mężczyzn odkrzyknął, że sądy są dla białych, nie dla nich, oni mają własne prawo – i przeciągnął ręką po szyi. W końcu awanturnicy wsiedli do samochodów i odjechali. Wszyscy, łącznie z policją, odetchnęli z ulgą i sprawy jakby nie było. Nikt nie zapytał, czy ktoś odniósł jakieś obrażenia, czy ktoś chce złożyć skargę. Udaliśmy, w milczącym porozumieniu, że nic się nie stało, i szybko rozjechaliśmy się do domów.

Verviers jest niewielkim, pięćdziesięciotysięcznym miastem we wschodniej Walonii, leżącym w pobliżu granicy z Niemcami. Co szósty mieszkaniec jest obcokrajowcem, to znaczy jeszcze nie-Belgiem. Ponad osiemdziesiąt narodowości – Serbowie, Bośniacy, Marokańczycy, Syryjczycy, Hiszpanie, Grecy i wielu innych. Oczywiście byli zaskoczeni, niektórzy przerażeni. W takim małym Verviers tacy groźni terroryści? I już zlatujący się z całego kraju reporterzy notowali piękne deklaracje: żyjemy tu przecież wszyscy spokojnie, w wielkiej przyjaźni, w naszej wielokulturowej przestrzeni czujemy się jak w jednej rodzinie. Tradycyjnie bardzo pięknie. Swój wielki dzień miał redaktor oddziału lokalnej gazety, który normalnie, aby wyżyć, dorabia wieczorami jako recepcjonista w hotelu. Na szczęście hotel leży niedaleko miejsca zdarzenia i mój kolega dziennikarz mógł po piętnastu latach nudnej pracy szybko zająć się sprawą o wymiarze międzynarodowym. Pisał, udzielał wywiadów, objaśniał. Też był zdziwiony, no ale w końcu terroryści byli z importu, z samej Brukseli, właściwie z Molenbeek, Verviers zachowało więc na razie czystą kamizelkę.

W mieście nie ma już prawie przemysłu, zostały ledwie resztki włókienniczego. To jedno z tych walońskich miast, gdzie zamiera nawet wspomnienie o lepszych czasach. Brakuje nie tylko miejsc pracy, ale i ludzi, wielu starych mieszkańców wyjechało. Dlatego władze miasta prowadziły wybitnie liberalną politykę migracyjną, co skusiło wielu przybyszów. Tak to już jest – dopóki nie dzieje się nic nadzwyczajnego, nie interesuje nas substancja problemu. Teraz Verviers stało się znane, więc i dociekamy. Otwartość Verviers doprowadziła, na przykład, do powstania w mieście potężnej kolonii Czeczenów, największej w Europie, a wraz z nią pewnych specyficznych problemów. Jakich? Wystarczy powiedzieć, że fundamentalistycznych, także związanych z wiarą. Któregoś dnia w tym garnku zacznie się ostro gotować.

Stopa bezrobocia w Verviers jest równie wysoka jak w muzułmańskich dzielnicach Brukseli – dwadzieścia sześć procent. Tyle że w Brukseli jakoś tego nie widać, w Verviers tak. W statystyce belgijskiej biedy okolice dwóch ulic zamieszkanych głównie przez imigrantów – Dison i Hodimont – zaliczone zostały do najbiedniejszych w kraju. Dochody ich mieszkańców zaledwie przekraczają dwanaście tysięcy euro rocznie. Za to meczet Al-Sahaba na Rue de Hodimont, jeden z dziewięciu w mieście, jest największy w całej Walonii. Należy do Bractwa Muzułmańskiego i uchodzi za liberalny, od 2008 ma pierwszą w Europie kobietę imamkę – trzydziestopięcioletnią Hourrię Fettah.

Rue de la Colline, ulica przy której terroryści znaleźli czasowe schronienie, nie różni się od innych. Podobne znajdziemy w dziesiątkach belgijskich miasteczek. Naprawdę nic szczególnego. Wielonarodowa mieszanka zapewnia anonimowość. Nowa twarz z brodą albo bez niej nikogo nie interesuje. Dlatego młodzi terroryści wybrali Verviers, miasto na skraju państwa, z dala od zgiełku brukselskich ulic i wścibskich oczu policjantów. Tyle że i oni korzystali z telefonów komórkowych, Skype’a i poczty elektronicznej. Podsłuchiwanie i odsłuchiwanie w Belgii trwa nieco dłużej niż w monoetnicznych i monojęzycznych państwach, takich na przykład jak Polska. Policja musi znać wiele języków i wiele dialektów. Musi znać niuanse i specyficzne skróty językowe, hasła i skróty haseł. Ale tym razem poradziła sobie, zadziałała w porę, przygotowała się na

najgorsze. I było najgorsze. Według narracji wojowników Allaha – zginęli oni w walce za wiarę.

Skrywający się na rosyjskim wygnaniu Edward Snowden nie ma złudzeń. Po ataku na „Charlie-Hebdo” w Paryżu masowe gromadzenie danych przez policję uznaje za zupełnie pozbawione sensu. Powołując się na ekspertyzy amerykańskich służb specjalnych, twierdzi, że podsłuchiwanie nie zapobiegło dotychczas żadnemu zamachowi terrorystycznemu. Państwa inwestują ogromne pieniądze w aparaturę i sprzęt, tymczasem podsłuchujący i analitycy toną w oceanach danych. To szukanie igły w stogu siana, mówi. Przypomina, że od ubiegłego roku Francja posiada najbardziej rozbudowane w Europie ustawodawstwo podsłuchowe i niczemu to nie zapobiegło. Zamachów w Paryżu nie przygotowali przecież głuchoniemi, terroryści musieli się ze sobą wcześniej komunikować, uzgadniać plany, omawiać taktykę. A może służby wiedziały i nie powiedziały? Takich głosów też nie brakuje, naturalnie wśród zwolenników spiskowej teorii dziejów.

Sentencja Snowdena nie może poprawić nam humoru, nie pomaga opanować psychozy strachu. Burmistrzowie Antwerpii i Brukseli, Bart De Wewer i Yvan Mayeur, są zdania, że potworny zamach terrorystyczny w ich miastach jest tylko kwestią czasu. To tak, jakby powiedzieć, że druga linia metra w Warszawie w końcu jednak ruszy. Samosprawdzająca się przepowiednia. Burmistrzowie nie mają wyjścia, dmuchają na zimne, wyrażają powszechne nastroje, ale poczucia bezpieczeństwa takie wypowiedzi nie wzmacniają. Skutki są już widoczne. Odwołuje się spektakle i wystawy, jeżeli istnieje jakiekolwiek nawet najmniejsze prawdopodobieństwo, że mogłyby urazić muzułmanów i sprowokować niektórych z nich do krwawego rewanżu. Szkoły rezygnują z wycieczek do Brukseli. W Welkenraedt w Walonii muzeum ocenzurowało własną, od dawna przygotowywaną, wystawę o cenzurze i zdecydowało się ją zamknąć.

Policja federalna zapowiedziała rezygnację z akcji stacjonarnych kontroli alkoholowych na drogach w całym kraju, ponieważ wtedy funkcjonariusze zbyt długo przebywają w jednym miejscu i mogą stać się dla zamachowców łatwym celem. Akcje, znane jako BOB-campaign – na wybranych odcinkach autostrad przez kilkanaście godzin wszyscy kierowcy

są kontrolowani, a nienaruszający zakazu nagradzani drobnym upominkiem – nie tylko zdobyły popularność i stały się częścią codziennej rutyny, ale i zdecydowanie ograniczyły zagrożenie, jakie stwarzają na drogach pijani kierowcy. No więc teraz ich nie będzie. Paraliż kraju? Jeszcze nie, ale terroryści już mogą zacierać ręce. Wcale nie muszą atakować, a cel już osiągnęli, policja boi się wypełniać swoje zadania w miejscach publicznych, które dla nich są najbardziej interesujące.

Co bardziej wstrzemięźliwi belgijscy psycholodzy mówią o irracjonalnych obawach. Ostatecznie, argumentują, niebezpieczeństwo utraty życia w jakimś zamachu terrorystycznym w Belgii jest wyjątkowo niewielkie, znacznie mniejsze niż ryzyko doznania uszczerbku w wypadku samochodowym. No ale jest przecież różnica, i to wielka. Czy trzeba szerzej ją objaśniać?

Mamy zatem wielki alarm. Jeszcze nie oglądam się za siebie na każdym kroku, jeszcze nie wypatruję brody i kałasznikowa na zakręcie ulicy, ale czuję, jak wszyscy, że pewne niebezpieczeństwo – nie takie znowu małe – jednak istnieje. W zgodnej ocenie ekspertów Belgia to bowiem prawdziwa twierdza dżihadystów, to kraj, w którym przebywa obecnie największa liczba wojowników z Syrii, którzy zostali tam wyszkoleni, zdobyli doświadczenie, wrócili i są przygotowani do walki. Mieszka nas tu jedenaście milionów, dominuje nadal własna kolorowa mozaika – brukselczycy, Flamandowie, Walonowie, Niemcy, ponad sto innych narodowości: dziesiątki tysięcy Turków, Rumunów, Włochów, Francuzów i Polaków, kolejne dziesiątki tysięcy Marokańczyków, Syryjczyków, Algierczyków, Tunezyjczyków. I kilka wyznań.

Kilkanaście lat temu, kiedy przeniosłem się do Brukseli, wyznania żyły obok siebie bez większego niepokoju o swoją przyszłość. Dziś spoglądają na siebie nieufnie i bojaźliwie. Słusznie, ponieważ nic tak ludzi nie dzieli jak własny Bóg. W Verviers prokuratura i policja uspokajały – akcja nie miała nic wspólnego z zamachem w Paryżu, to nie była odnoga terrorystycznego zamachu we Francji. „Koncentrujemy się na Belgii”, mówił rzecznik prokuratury. Czy można uznać, że takie objaśnienie wyciszy nastroje, zminimalizuje zagrożenia?

Na Belgii od dawna skupiają uwagę eksperci i służby specjalne, belgijskie i inne. Środowisko muzułmanów od lat radykalizuje islamska

organizacja, totalnie odrzucająca laicki porządek kraju – Sharia4Belgium. To właśnie jeden z jej członków zamordował w Syrii amerykańskiego dziennikarza Jamesa Foleya. W Antwerpii zakończył się proces kilku z nich. Jak w oblężonej twierdzy. Problem w tym, że oni więzień się nie boją, bardzo skutecznie prowadzą tam akcję werbunkową. Ich za to bardzo obawia się personel więzienny. Niejednokrotnie, z powodu odmowy przyjęcia, trzeba ich wozić od jednego do drugiego więzienia.

Mohamed Galaye, imam Wielkiego Meczetu w Brukseli, jest zdania, że nie religia jest źródłem radykalizacji młodych muzułmanów, a społeczeństwo, w którym żyją, czyli my wszyscy. Rekruci Allaha pochodzą z rodzin żyjących w trudnych warunkach, nierzadko pili wcześniej alkohol, pewnie jeszcze chodzili na dyskoteki i podrywali chrześcijanki, co zresztą skutecznie robią, zwłaszcza Polki, no i tak zepsuci dokonywali przestępstw, zanim ulegli ideologii walki. Islam zabrania, jak wiadomo, picia alkoholu, chrześcijaństwo nie, jasne więc kto kogo psuje. „Nie czują się obywatelami Belgii”, mówi nam dalej imam, „święta wojna jest dla nich pretekstem do popełniania zbrodni i przestępstw, które popełniali już wcześniej”. Tyle że teraz, dodajmy od siebie, będzie na nich czekać nagroda. I jeszcze wskazówka imama, jak poradzić sobie z groźbą islamskiego terroru. „Zamknąć wiele stron mediów społecznościowych”, mówi. Święte słowa.

Każde państwo ma obowiązek chronić swoich obywateli, zapewnić im bezpieczeństwo. Ta formuła traci jednak na wymowie w muzułmańskich dzielnicach Brukseli. Tam panuje inny porządek, państwa jakoś nie widać, nie wiadomo nawet, jak to wszystko się kręci. Trudno dociec, w jaki sposób mogłoby chronić swoich muzułmańskich obywateli przed ich współwyznawcami. Jak mogłoby rozpoznać tlące się tam zarzewie? A jednak muzułmanie-obywatele Belgii też mają prawo żyć bezpiecznie.

Na spotkaniu noworocznym w Cercle Royal przemawia Joseph Daul, francuski polityk chadecki, przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej, najsilniejszej grupy politycznej w Parlamencie Europejskim, wieloletni jej szef. Daul jest Alzatczykiem, urodził się w Strasburgu wkrótce po wojnie. Na jego życiorysie odcisnęła piętno historia powojennej Europy i wysiłku całych generacji, aby ten mały skrawek ziemi zaznał wreszcie pokoju w dobrobycie. Daul nie ma spokojnej twarzy, za oknem zbyt wiele

dramatycznych wyzwań, które nad jego dotychczasową drogą życiową próbują postawić wielki znak zapytania. Na sali trzysta osób od lat związanych z chadeckim nurtem europejskiej polityki. Powaga i koncentracja. Projekt europejski zyskał nowy koloryt i temperament – dużo w nim szarości i niepokoju.

W mowie Daula zderzają się dwie Europy. Niestety, już niekompatybilne. Alzacki rolnik, który stał się europejskim politykiem, swoją osobą przywołuje Europę zdewastowaną wojną, głodem, strachem i alternatywę dla tego szaleństwa, jaką miała być wspólna Europa – jeden obszar prawa, pokoju, porządku, dobrobytu. Tamtą wielką nienawiść kosztującą wiele istnień ludzkich udało się pokonać, na swój sposób była bowiem racjonalna. Stały za nią dwa silne narody i państwa mimo wrogości jakoś w końcu obliczalne, zdolne przerwać łańcuch odwetu i zemsty, rewanżu i wystawiania krwawych rachunków. Ale Daul nie ma złudzeń, to już historia, dla dzisiejszych generacji odległa i mało przekonująca. Dzisiejsze generacje sprawiają wrażenie, jakby chętnie powąchały prochu. Dramatyczne, ale jakoś bliskie prawdy. Zwłaszcza że za progiem konflikt na Ukrainie.

Coś musiało zawieść, co – nie bardzo wiadomo. To właściwie klęska narracji europejskiej. Trzydziestolatków, którzy bez paszportów i wiz mogą się przemieszczać do każdego zakątka Europy, nie interesuje głód i brak butów pokolenia Daula. Pokój, dobrobyt, bezpieczeństwo stały się czymś codziennym, oderwanym od ich życiowych tęsknot. To ich nuży. Machają ręką, kiedy słyszą, że jeszcze niedawno było zupełnie inaczej, groźnie i bez perspektyw. Daul i jego rówieśnicy napracowali się dla siebie i dla innych, ale teraz dostrzegają, że nie dobiegli do mety. Wiadomo, cudze rany nie bolą.

Konfrontacja z rzeczywistością, której ojcowie Europy nie przewidzieli, dopełnia miary goryczy. Muzułmanie są realnym elementem tej rzeczywistości, nigdzie z Europy już się nie przeniosą. Trzeba ułożyć sobie z nimi stosunki. „To są nasi obywatele”, mówi Daul. I jakkolwiek gorzko i deprymująco brzmiałaby ta prawda, terroryzm we Francji czy w Belgii jest terroryzmem naszym własnym, domowym. Oni są wśród nas. To są nasi terroryści.

Joseph Daul, doświadczony Alzatczyk z grona zdeklarowanych Europejczyków – niejeden z nich niósł brzemię bólu i wojennej straty, a wszyscy jak jeden mąż podpisali się pod projektem wspólnej Europy – przywołuje jeszcze jedną trudną prawdę. Nie wszyscy muzułmanie są terrorystami, ale wszyscy nasi terroryści są, niestety, muzułmanami. Mówi to z ciężkim sercem, obawia się reakcji słuchaczy, ale przecież w głębi duszy przyznają mu rację. „Raz wreszcie trzeba było to powiedzieć”, dodaje, jakby chciał usprawiedliwić złamanie poprawności politycznej. „Mamy doświadczenie, mamy dorobek, który nie może być zmarnowany, musimy sobie poradzić z tym problemem”.

Joseph Daul wysłał sygnał SOS. Do nas samych.

Sierota Charlie

Z tym musimy się oswoić. To są nasi terroryści. Według paszportów i dowodów osobistych – Europejczycy. Sąsiedzi. Współpracownicy. Znajomi z podwórka i metra. Koledzy ze szkoły i z pracy. Jedni z nas. Wychowani z nami i między nami, choć nie przez nas wyszkoleni. Straszą nas informacje z mediów. Oto Belgowie walczą w Syrii. Czołowym przywódcą Państwa Islamskiego jest Norweg, większość wojowników Allaha to Skandynawowie – Duńczycy czy Szwedzi. Głowy w Syrii ścinają Niemcy. Holendrzy torturują. Ale to nieprawda. Jest jedna bardzo zasadnicza różnica. Oni pochodzą stąd, są od nas, ale nie są nami. Mają takie jak nasze obywatelstwa, takie same paszporty, ale nie takie same zachodnie serca. Media o tym nie wspominają, ponieważ moi koledzy dziennikarze nikogo nie chcą urazić.

Czyż można się dziwić niepoprawnym humanistom, że wobec ataków, mordów i zabójstw natychmiast nawołują do opanowania, wzywają do odrzucenia strachu, bo ten w prostej linii prowadzi do nienawiści? Nie, nie można. Chodzi przecież o naszą wspólnotę, mówią, o jej wewnętrzny porządek, o ułożenie sobie życia z nimi. Że na ich modłę, już nie dodają. W przeciwnym razie nic innego nam nie pozostanie, jak tylko się stąd wynieść. Tylko dokąd?

Czytam w jednej z gazet płomienny apel młodej dziennikarki: „Oby ich śmierć nie poszła na marne”. „Ich” to znaczy paryskich rysowników i dziennikarzy. Chciałem przyklasnąć, chciałem być Charlie, tymczasem słyszę w telewizji francuskiej słowa towarzyszki życiowej zamordowanego strzałem w głowę szefa „Charlie Hebdo”: *Najgorsze, co mogłoby nas teraz spotkać, to gdyby się okazało, że zmarł niepotrzebnie*. Nie słyszę „został zabity” albo „został zamordowany”, tylko „zmarł”. Jakby po ciężkiej nieuleczalnej chorobie swoim cierpieniem chciał nam dodać odwagi. Chodzi więc o miłosierdzie. Czyli mówiąc w zwykłym ludzkim języku, nie

wzdragajmy się, broń Boże, przed podaniem ręki kolegom morderców, idźmy dalej wspólną drogą. Ja wiem, że skłonności terrorystyczne przejawia tylko niewielka część wielkiej społeczności muzułmańskiej, że większość chodzi do meczetu nie po to, aby szkolić się w nienawiści. Ale ta społeczność jest dla nas nieprzenikliwa, niedostępna, jak więc mamy odróżnić od złych tych sprawiedliwych? Nie będziemy przecież wzywać na pomoc Boga, który swoich i tak rozpozna.

Czytam w innej gazecie: „Podczas gdy setki tysięcy wyszły na ulice w solidarnym proteście, tysiące innych podnoszą pięści…”. Podnoszą, bo mają dosyć. Ale to właśnie nie wypada. Cóż za faux pas, bać się terroru i okazywać swój gniew. Autorka pisze o tych, co się boją: „Nie obchodzi ich, że ich syn od dawna dzieli klasę z Aslamem i Fatimą, z Mohammedem i Aiszą”. Przeciwnie, właśnie bardzo ich obchodzi i dlatego protestują. Pomyślmy o proporcjach – proporcje są właściwe: jedno dziecko chrześcijańskie czy bezwyznaniowe i czwórka muzułmańskich: Aslam, Fatima, Mohammed i Aisza. Tak to wygląda dziś w wielu szkołach. Kto komu kształtuje w nich charakter? Kto komu podporządkowuje się na lekcjach i w przerwach między nimi?

Czytam w kolejnej: „A gdzie kontrdemonstracje muzułmanów? Dlaczego nie wychodzą na ulice i nie protestują przeciw nienawiści, która ich otacza?”. Otwieram oczy ze zdziwienia, rzeczywiście, zabrakło demonstracji przeciw naszej nienawiści. Ha, odpowiedź jest prosta – wmieszali się w tłum milczących, niektórzy nawet trzymają w rękach ołówki, więc manifestują. Poza tym boją się nas. Chociaż nie strzelamy. To mogę jakoś zrozumieć. Sam sobie zadawałem ostatnio wiele razy to pytanie: a gdybym był jednym z nich, ze śniadą cerą, z brodą, w kaftanie i z Koranem pod pachą, czy bałbym się wychodzić na ulicę, jechać do dzielnicy, w której nie ma muzułmanów? I co bym powiedział, gdybym został przyciśnięty do muru i zapytany, skrzyczany czy wręcz znieważony? Że islam to religia miłości, tylko wy tego nie rozumiecie? No tak, na szczęście nie noszę brody.

I raz jeszcze gazeta: „Nie ma co ukrywać, coraz więcej ludzi na świecie obawia się islamu, traktuje go jako wroga numer jeden”, pisze odkrywczo autorka. Jest nawet jeszcze gorzej, zaraz bowiem dodaje: „Ta nienawiść nie pojawiła się wcale wraz z paryskim zamachem”. O nie. Pojawiła się

podstępnie, autorka tak właśnie pisze: podstępnie. Zatem znienacka i jakby bez powodu. Przeczytajmy całe zdanie: „Podstępnie ujawniła się już po zamachach w 2001 roku, a dziś jest, niestety, powszechnie akceptowana!”. No cóż, mieliśmy zamachom przyklasnąć, zamachowców pochwalić i stanąć po ich stronie? Nie? To teraz z naszej winy przez wszystkie warstwy społeczne przewija się strach przed *rzekomą islamizacją* Europy i nie jest to błaha sprawa. „Nowe wyprawy krzyżowe na ulicach miast, takie jakie organizuje Pegida, są dla naszego pokoju i spokoju o wiele bardziej niebezpieczne niż szalone czyny ekstremistycznych terrorystów”. Oto manifest prawdziwie chrześcijańskiego miłosierdzia. Wyjście na ulice w ramach protestu jest niebezpiecznym zagrożeniem dla naszej egzystencji, szalone czyny terrorystów – nie.

Zapyta ktoś: czy to możliwe, czy to prawdziwe? Tak, to bardzo prawdziwe i bardzo niebezpieczne. Receptą na naszą chorobę strachu przed terroryzmem ma bowiem być odejście od „myślenia w kategoriach grup religijnych”. Autorka tych słów argumentuje:

> W końcu cywilizacja cyfrowa jest rzeczywistością, w żaden sposób nie da się jej cofnąć, więc najwyższy czas praktykować tę otwartość na co dzień. *Chodzi przecież o przyszłość Aslama, ale i Mathiasa. Dzieci nie mogą siedzieć pełne strachu w jednej szkolnej ławce. Potrzebne jest spoiwo dla tej nowej generacji. Wspólnym celem jest wielostronne, ale też i pokojowe, silne społeczeństwo. W przeciwnym razie Charb, szef „Charlie Hebdo”, zginął niepotrzebnie*.

Tyle pięknych i naiwnych słów bez większego praktycznego znaczenia dla naszych sąsiadów w innej wierze. I nawet można by tym słowom dać wiarę, gdyby nie fakt, że wezwanie do rezygnacji z „myślenia w kategoriach grup religijnych” skierowane jest wyłącznie do nas, czyli do niemuzułmanów. Odwrócenia się od Allaha nasza przepojona cyfrowym humanizmem autorka nigdy by muzułmanom przecież nie zaproponowała. To my tak myślimy, nie oni. To my jesteśmy mało elastyczni, skostniali. To my popełniamy błędy. Wobec tego winę za zamachy na nas samych i nasze wartości ponosimy my sami. Dlaczego nie mają do nas strzelać?

Ale zmiana myślenia to minimum. Aby się dostosować do naszych współobywateli wyznania islamskiego, powinniśmy zrezygnować z kilku innych elementów naszej tożsamości kulturowej, społecznej i politycznej, bo to one hamują ich ekspansję. Na przykład z naszego rozumienia wolności, równości, naszego przywiązania do demokracji, równouprawnienia kobiet, odpowiedzialności za swój etos. I dalej jeszcze – z tak istotnych zdobyczy jak przezwyciężona po dramatycznych ofiarach skłonność do wojen i sporów religijnych czy podstawowa zasada porządku społecznego, jaką jest rozdzielenie instytucji państwa od kościelnych, a zatem i religijnych struktur. Wiara także w naszym kręgu kulturowym nie do końca jest sprawą wyłącznie prywatną. Ma wpływ na nasze wychowanie i kanon zachowań, a Kościół chciałby ingerować w naszą prywatność. Nie jest jednak sprawą publiczną czy raczej państwową, ponieważ w charakterze naszych państw nie leży ich podporządkowanie konfesjonałowi. Zupełnie inaczej niż w państwach muzułmańskich, o muzułmańskich wspólnotach wyznaniowych w naszym otoczeniu już nie mówiąc. Czy to jest zbieżność kultur? Czy to jest równoległość doświadczeń? Czy to jest punkt wyjścia do wzajemnego przenikania?

Zmarły w 2008 amerykański politolog Samuel Huntington dwadzieścia dwa lata temu w renomowanym piśmie „Foreign Affairs” ogłosił zakotwiczoną dziś w naszym myśleniu politycznym tezę o zasadniczej sprzeczności między kulturą zachodnią a islamską. Postawił wówczas pytanie, czy ów antagonizm nieodwołalnie doprowadzi do konfrontacji. Tak narodziło się określenie, które jak żadne inne doskonale odnosi się do obecnej sytuacji i naszego w niej położenia – „walka kultur”. Trzy lata później, w 1996, Huntington rozwinął tę myśl w książce *The Clash of Civilisations* (*Zderzenie cywilizacji*, MUZA, Warszawa 2008). I już bardzo konkretnie przeciwstawił się poglądowi, że istnieje jedna, uniwersalna „światowa kultura”. O występowaniu takiego wszechmonolitu kulturowego przekonany był inny amerykański politolog Francis Fukuyama. Po rozpadzie Związku Radzieckiego i zniesieniu zagrożeń zimnej wojny polityka czy raczej geopolityka stworzyć miała ramy do wielowarstwowej i wielopłaszczyznowej wymiany idei, poglądów, doświadczeń, obszarów kultury i tradycji – tak by czerpały z siebie nawzajem. Stan niemal idealny. Do globalnej wioski, w której wszyscy się znają i śpiewają tę samą

piosenkę, przekonywał już pięćdziesiąt lat temu Marshall McLuhan. Miała w niej dominować oczywiście kultura zachodnia (nie mylić z coca-colą), bo inne się wtedy, gdy ogłosił swoją tezę, nie liczyły. W sumie przeliczył się i on.

Ale byliśmy ostrzeżeni, tyle że mamy krótką pamięć i zapomnieliśmy o Huntingtonie. Najpierw nie wypadało być aż tak obcesowym i pozbawionym wiary w dobre intencje cywilizacji innych od naszej, później wielkim wysiłkiem wielu politologów udało się ograniczyć ważność tego ostrzeżenia, dlatego choćby, że popierał akcje antyterrorystyczne – celowe, a więc o ograniczonym charakterze (sprzeciwił się jednak wojnie w Iraku). Jako kontrapunkt do jego tezy o zderzeniu cywilizacji przedstawiano utopię świata dobrej woli, pozbawionego fundamentalnych rdzeni kulturowych. Miały one być tylko naszymi mitami.

No cóż, to jednak Huntington miał i ma rację. Wyróżnił dziewięć typów cywilizacji, z których dziś w multipolarnej geopolityce mają dla nas znaczenie właściwie trzy: hinduska, chińska i islamska, przy czym ostatnia stanowi dla cywilizacji zachodniej – przynajmniej w chwili obecnej i najbliższej przyszłości – największe i groźne wyzwanie. To ona bowiem w najbardziej czytelnej i niebezpiecznej zarazem formie kwestionuje nasze wyobrażenia o wartościach, ich przeżywanie, doświadczenia naszej historii, znaczenie naszej religii. To ona napina strunę i testuje naszą odporność.

Ale amerykański politolog jest krytyczny również wobec zachodniej cywilizacji, i nie jest w tym sam. Trzeba się z nim zgodzić, kiedy mówi o długiej, fałszywej i błędnej, także niebezpiecznej, wywiedzionej z arogancji linii polityki, która w procesie globalnego rozwoju gospodarczego i następującej w jego konsekwencji modernizacji zakładała równoległe, niemal automatyczne upowszechnienie zachodnich norm, zasad, kodeksów – tego wszystkiego, co wypowiadający się dziś politycy chętnie określają terminem „nasze zachodnie wartości”.

Sprzeczność ideologii określających rację bytu państw powiązanych w bloki militarno-polityczne doprowadziła do wyczerpania połowy świata, naruszenia jego surowców i obnażyła naszą bezradność wobec zaczadzenia umysłów. Huntington wpisał w ten scenariusz nie antagonizm z islamem w podobnej skali (antagonizm można przecież jakoś załagodzić), lecz

zderzenie obu cywilizacji. Doradzał powściąganie arogancji i ograniczenie polityki forsowania na całym świecie obrony praw człowieka oraz uprawianie w zamian rozsądnej polityki siły, powiązanej ze wzmocnieniem kanonu tożsamości zachodniej. Wzywał do sanacji angloprotestanckich wartości wyznawanych przez pierwszych amerykańskich osadników, stanowiących według niego jedyną możliwą blokadę dla ewolucji społeczeństwa w stronę bipolarnego systemu wartości. Prorokował globalne i przede wszystkim rozgrywane wewnątrz społeczeństw konflikty między muzułmanami a niemuzułmanami. Jednym słowem, wskazywał, że decydującymi aktywami w polityce międzynarodowej są tożsamość kulturowa i wynikające z niej różnice. Wywołują one, siłą rzeczy, i będą wywoływać kontrreakcję przeciw dominującej linii w inspirowanej przez Zachód globalizacji.

Być może Huntington przesadził nieco z jednowymiarową koncentracją jedynie na religii i kulturze, na tożsamość człowieka wpływają bowiem także inne czynniki. Minimalizacja wymiarów ludzkiej egzystencji prowadząca do najprostszego podziału – „my i oni” – bardzo odpowiada fundamentalistom islamskim, to dla nich wręcz punkt wyjścia. Tymczasem żaden człowiek, przynajmniej w naszym kręgu kulturowym, nie jest na nią skazany, może się przecież rozwijać, uzupełniać i powiększać swoją tożsamość i przestrzeń kulturową. W tym sensie rację mają Ilija Trojanow i Ranjit Hoskoté, krytycy Huntingtona, którzy w wydanej w 2007 w Monachium książce *Kampfabsage. Kulturen bekämpfen sich nicht – sie fliessen zusammen* (Odmowa walki. Kultury nie zwalczają się – kultury płyną razem) wyrażają pogląd, że kultury nie tylko czy nie tyle się zwalczają, ile przenikają. Teza nie jest odkrywcza, ale warto ją w tym miejscu przypomnieć, w końcu to właśnie wymiana sztuki, filozofii, nauki, technologii, gospodarki, a nawet mody rozwinęła i współkształtowała dzisiejszą substancję cywilizacji zachodniej. Tyle że odbywała się, jeśli można tak powiedzieć, w kręgu kulturowym bardzo obszernym, od Grecji po Skandynawię, ale wewnętrznym. Kultura, religia i tradycja islamska do niedawna miały na naszą cywilizację niewielki wpływ. Podobnie jak nie określiły jej w żaden znaczący sposób wpływy tradycji i kultury chińskiej czy hinduskiej.

Nieprawdziwa jest inna teza obu autorów, ta mianowicie, że kultury nie posiadają niezmiennego, stanowiącego fundament tożsamości, rdzenia. Taki pogląd to tradycyjny ukłon w stronę islamu, zachęta do oddziaływania na nas i infiltracji, do narzucenia nam norm islamskich. Ale gdybyśmy nawet założyli, że nasze wartości łatwo wykorzenić, pogląd autorów nieodwołalnie zatrzymuje się przed drzwiami meczetów. Tam rdzeń ma się dobrze i nie podlega żadnym modyfikacjom, a już zwłaszcza jakimkolwiek naszym wpływom. Może więc chodzić tylko o nasz rdzeń. Przyjmijmy w końcu, że go nie mamy, i stańmy się jednymi z nich – tak nam podpowiadają.

Idą nawet dalej, twierdząc, że zderzenie cywilizacji zachodniej z islamem jest czystym mitem. Oto jak argumentują. Nie może dojść do takiego zderzenia z tej prostej przyczyny, że od czasu upadku Imperium Osmańskiego islam nie dysponuje siłą zbrojną zdolną zagrozić Zachodowi. Nawet gdyby światu islamskiemu jakimś cudem udało się zjednoczyć siły do walki z nami, nie powinniśmy mieć powodów do obaw, bo tę ewentualną śmiertelną bitwę rozstrzygnie na naszą korzyść zachodnia przewaga w technologii militarnej, sprawności organizacyjnej i zdolnościach operacyjnych.

Niezbyt miła to pociecha. I zlekceważenie naszych obaw. Tym bardziej gorzkie, że doświadczenia z Iraku czy Afganistanu, teraz także z Państwem Islamskim, mówią coś odmiennego, a państwa islamskie wszelkimi sposobami dążą do wejścia w posiadanie broni nuklearnej. Poza wszystkim, mówiąc o islamizacji Europy czy świata zachodniego, wcale nie mamy na myśli islamskich armii, które już-już przekraczają Rubikon. Nie myślimy też o agresji Państwa Islamskiego na Bliskim Wschodzie – ostatecznie jego wojownicy na razie islamizują sam islam. Ale i tak jest równie niebezpiecznie. Ten proces obywa się bez zaciężnych wojsk. Regularne i spektakularne akcje terrorystyczne skierowane przeciw nam są w nim jedynie elementem taktyki zastraszania – islamiści oczekują po nich naszych kolejnych ustępstw i je otrzymują. Podlegamy islamizacji cichej, skrojonej na miarę odporności poszczególnych społeczeństw. Jesteśmy ofiarami wciskania się obrządku islamskiego bez rozgłosu, krok po kroku, w każdą szczelinę naszych wolności i obyczajów, w każdą normalną dla nas przestrzeń swobody. Zderzenie cywilizacji, o którym pisał Huntington,

odbywa się, przynajmniej na razie, bez oficjalnego wypowiedzenia wojny. Jest jak picie coca-coli light: smakuje jak normalna, tylko nieco wolniej się od niej tyje.

Przykład? Proszę bardzo, pierwszy z brzegu. Młoda muzułmanka, która przychodzi na publiczny basen i czuje się skrępowana obecnością swobodnych niemuzułmanek, oczekuje, że znikną i nie będą jej krępować. Albo że zostanie wpuszczona do wody tak, jak stoi. Jeżeli uznamy burkę za okrycie najbardziej naturalne w Paryżu i Brukseli – to przecież nic, po co ta awantura, niech każdy ubiera się, jak chce – za chwilę będziemy tu mieli Bagdad i Mekkę. Burka w pojęciu muzułmanów nie jest ubiorem jak każdy inny, to demonstracja wiary. Naciskami, aby uzyskać zgodę na jej noszenie, testuje się nie tylko naszą religijną odporność, ale i wrażliwość estetyczną. Można oczywiście machnąć ręką, ale to my musimy machnąć ręką, u nas w domu. Oni nie. Oni demonstracyjnie chcą się nosić, jak gdyby mieszkali w Mosulu, a my, *mądrzejsi przecież od nich* (to częsty i ważny argument), powinniśmy się na to zgodzić. Inny przykład. Kiedy wyznawcy Allaha idą gremialnie w piątek do meczetu i blokują ruch na pobliskich ulicach, kto ma pierwszeństwo? Naturalnie, nie ma o co się kłócić, można przecież poczekać. Ale to nie oni czekają, czekać musimy my.

W podtytule swojej książki o przenikaniu się kultur autorzy piszą: *To the Inhabitants of the In-between*, Dla tych, którzy zamieszkują „pomiędzy”. Piękny manifest czystego humanistycznego maksymalizmu. Kogóż to mają bowiem na myśli? Kto mieszka już „pomiędzy”? Oczywiście my. Udowadniają to na dwustu stronach. Brakuje tylko opisu, jak inni żyją „pomiędzy”, na przykład muzułmanie. Ale nie o nich przecież chodzi, ich kultura i tradycja mają zdrowy, niezmienny rdzeń. To my podlegamy wpływom, to nasz rdzeń mięknie. A na domiar złego w naszym wyniosłym zarozumialstwie nie chcemy się do tego przyznać.

Spróbuję jednak położyć rękę na sercu – czy nie mają czasem racji? Jedną z dominujących cech kultury i tradycji zachodniej jest arbitralność. Ma ona wiele odcieni i barw, ale jej wymowa jest zawsze ta sama – wiemy lepiej, jesteśmy mądrzejsi. Albo ujęte inaczej – oni wiedzą lepiej, oni są najmądrzejsi. Przykładów znów nie trzeba szukać daleko. Ani tylko w Antwerpii czy Marsylii. Wystarczy przypomnieć kilka lat poprzedzających wstąpienie Polski do Unii Europejskiej. Z definicji to

Polacy wiedzieli wtedy mniej i mniej byli mądrzy. Najmarniejszy urzędnik z Komisji Europejskiej wiedział więcej od polskich ekspertów, ba – jakich znowu ekspertów, takich przecież jeszcze u nas nie było. Tak jak gdybyśmy do tej pory nie jedli, nie pili, nie mnożyli się, nie oddychali. Dziesiątki specjalistów zachodnich zaludniały miesiącami warszawski hotel Marriott i uczyły polskich ministrów, profesorów i ekspertów rozumu. Sprzeciw był niewskazany. Każda rada do przyjęcia. Reklamacji nie uwzględniano. Czy nie byliśmy wtedy trochę muzułmanami upadłego systemu komunistycznego? I czy nie mamy dziś Polaków muzułmanów, którym trzeba objaśniać świat zachodni? I czy nie stroimy się w obce piórka, nie powtarzamy chętnie najgłupszych nawet zachodnich sloganów, nie kopiujemy najbardziej prymitywnych zachowań, nie ubieramy się jak w Bronksie? I czy nie instalujemy w najmniejszych nawet miastach targowisk z kulawymi budami pod nazwą „Manhattan”? I teraz w rewanżu: czy nasze pierogi ponoć *najlepsze* na świecie zalały Zachód? Czy nasza *najlepsza* na świecie czekolada Wedla wypędziła z zachodnich sklepów szwajcarską lub belgijską? A świat zapił się do nieprzytomności naszą polską wódką, która ponoć nie ma sobie równych na ziemskim globie? Czy na Manhattanie w Nowym Jorku otworzyli kramy z galanterią i ochrzcili je „Pułtusk” albo „Sochaczew”, no niech będzie i „Kraków”?

A co dopiero z muzułmaninem realnym, którego ojciec po czterdziestu latach pracy dorobił się wrzodów żołądka na wywożeniu miejskich śmieci albo skręcaniu muter w fabryce Forda? A co dopiero z muzułmaninem prawdziwym, którego religia i język, obyczaj i przywieziona z marokańskiej wioski analfabetów hermetyczna tradycja natychmiast postawiły na obrzeżu społeczeństwa, zwłaszcza że to społeczeństwo, choć go przyjęło, nie chciało mieć z nim wiele wspólnego? Być może właśnie owo niedostosowanie, jakby z góry zaprogramowane, owa przestrzeń bez życiowej pewności wpędza w ramiona złowrogich kaznodziejów młodych ludzi szukających uznania, pochwały, miejsca na świecie i akceptacji. Niestety, czynią to naszym kosztem, ponieważ jesteśmy ich naturalnym wrogiem. Gdyby chcieli podjąć dialog, gdyby się otworzyli, gdyby uchylili drzwi meczetów…

Ale tam zaglądać nie wolno, to nie miejsce dla niewiernych, a przecież nie ma szans spotkać ich gdzie indziej. Przy każdym meczecie

organizowane jest wprawdzie centrum kultury – pod takim zresztą pretekstem, i temu trudno odmówić, muzułmanie otrzymują zezwolenia na budowę. Zawsze ma to być praca kulturalno-oświatowa, szkoła – ale trzeba być muzułmaninem, żeby wypić tam herbatę. To jest ich świat, świat zamknięty wokół nich samych i dla nas, ludzi z zewnątrz. Tak, arogancji na Zachodzie nie brakuje, ale nie brakuje też arogancji po drugiej stronie, bo to my według nich jesteśmy na niższym etapie rozwoju – ich religia jest dopełnieniem wszystkich religii, nie nasza.

A przecież obok istnieje inny świat za domkniętymi drzwiami. W synagodze. Czy z niego wypływa jakaś życiowa dla nas groźba? Czy obawiamy się żydowskich terrorystów w Antwerpii? Czy fanatycy żydowscy napadają na muzułmanów spieszących w piątek do meczetu? Przed kim belgijskie synagogi chronione są dniem i nocą? Przed chasydami? Chrześcijanami?

W 2014, dwudziestego czwartego maja, Mehdi Nemmouche, Francuz algierskiego pochodzenia, wszedł do Muzeum Żydowskiego w Brukseli, zastrzelił z karabinu Kałasznikowa cztery znajdujące się tam osoby – małżeństwo z Izraela, Francuzkę i Belga, po czym włożył karabin do torby podróżnej i wyszedł. Tę dramatyczną scenę zarejestrował monitoring i cały świat po raz kolejny stał się niemym świadkiem zbrodni wojownika Allaha, jak sam określił się w ujawnionym w internecie nagraniu wideo. Gdyby nie pochwalił się swoją zbrodnią w internecie, nie wpisałby się na listę bohaterów – teraz rodzina i przyjaciele już wiedzą i są dumni, a wielu młodych wojowników może mu zazdrościć. Sześć dni później policja francuska zatrzymała go na południu Francji, a on sam długo się zastanawiał, czy wyrazić zgodę na ekstradycję do Belgii. Jest przecież Francuzem, więc nie musiał, w końcu zrobił jednak tę łaskę, ale postawił jakieś swoje warunki. Wcześniej spędził rok w Syrii w Państwie Islamskim i, jak pisały gazety, „ponoć”, „rzekomo” brał udział nie tylko w mordach, to byłoby jeszcze jakoś zrozumiałe – piszę to ironicznie – ale i w torturowaniu więźniów. Gazety użyły tych eufemizmów z prostego powodu i we własnym interesie, żyjemy wszak w państwie prawa, nie wolno oskarżać bez dowodów, a w Syrii nikt go podczas torturowania więźniów za rękę nie złapał.

Muzeum leży niedaleko Wielkiej Synagogi. Jej budynek od dawna jest strzeżony, Nemmouche wybrał więc miejsce ze swojej natury bezbronne jak kościół, chociaż meczet – już nie. Teraz zresztą i muzeum ma ochronę. Takich stref, chronionych, w miastach zachodnich przybywa. Człowiek taki jak ja jeszcze się tam pojawia, ale nie czuje się najlepiej, skoro atak może nadejść znienacka albo on sam przez swoją nieuwagę czy niefrasobliwość może stać się podejrzanym. No tak, ale to nie o mnie chodzi, tylko o żydowskich współmieszkańców, którym drzwi do domu modlitwy otwiera policja.

Historia ich prześladowań, wywózek, pogromów, poniżania, zabójstw, odrzucenia, izolacji i wreszcie ludobójstwa jeszcze się nie skończyła. W cieplarniach społeczeństw zachodnich w sposób przez nikogo niezauważony wyrosło nowe niebezpieczeństwo, nowa nienawiść, której stają się konkretną, częstą ofiarą. Żydowskie Muzeum w Brukseli to ostatni wpis na długiej, współczesnej liście zbrodni. Znajduje się na niej seria aktów wandalizmu, obrzucania koktajlami Mołotowa, dewastacji synagog w Charleroi, Antwerpii, Anderlechcie. Zamach na brukselskie biuro izraelskich linii lotniczych El Al, na pracowników ambasady izraelskiej w Brukseli, zamachy na szkoły żydowskie, wzięcie przez grupę Al-Fatah zakładników na obozie dzieci żydowskich w Ardenach i zabójstwo jednego z nich, eksplozja bomby pod synagogą w Antwerpii i śmierć dwojga modlących się, atak z bronią maszynową na wychodzących z synagogi w Brukseli, wreszcie zamach i zabicie sześciu osób (dwadzieścia ciężko rannych) w restauracji żydowskiej w centrum Brukseli. To wszystko w Belgii, w ostatnich latach, a nie na ulicach miast Zachodniego Brzegu.

No i teraz jeszcze muzeum. Szok, szok w gazetach, potępienie, wyrazy solidarności. Ale na ulicę nikt nie wyszedł, a internet, i nie tylko, natychmiast wypełnił się bardziej lub mniej subtelnymi sugestiami i insynuacjami jakoś tam tłumaczącymi dzielnych wojowników Allaha walczących z Państwem Izraela. Nie zabrakło nawet porównań z Holocaustem – w końcu Izrael postępuje z Palestyńczykami jak niegdyś naziści z Żydami… Tak uważa, na przykład, dwadzieścia siedem procent badanych ostatnio Niemców, a osiemnaście procent z nich jest zdania, że sami Żydzi doprowadzili swoim zachowaniem do ludobójstwa dokonanego na ich narodzie. We Francji tylko w ostatnim roku o sto procent wzrosła

liczba ataków i napaści na żydowskich współmieszkańców i ich własność, a także ośrodki kultu: w 2013 policja zanotowała czterysta dwadzieścia trzy takie przestępstwa, w 2014 już osiemset pięćdziesiąt jeden. Nie stoją za nimi przecież profesorowie uniwersytetów. Poważny wzrost liczby antysemickich napaści zanotowano także w Belgii. Podczas gdy w 2013 odnotowano sześćdziesiąt dwa takie zdarzenia, w ostatnim roku, 2014, już sto dwa. Propaganda proislamska i antyżydowska nabrały w tym czasie wyraźnego kolorytu i rozmachu w związku z sukcesami wojowników Państwa Islamskiego.

Po terrorystycznym ataku na muzeum w Brukseli na ulicach nie było protestujących pod hasłami *Je suis Juif*, nie było gremialnych deklaracji *Nous sommes tous Juifs*. Taka demonstracja mogłaby urazić muzułmańskich współmieszkańców. Ot, takie tam porachunki między zwaśnionymi narodami, między niekompatybilnymi religiami. Znane pokłosie konfliktu palestyńskiego, rozgrywanego także na ulicach miast zachodnich.

Ale wróćmy z Bliskiego Wschodu do nas, do Europy, do Belgii. Czy łatwo być dziś Żydem w Belgii? Czy istnieje dialog żydowsko-muzułmański? Czy występuje zjawisko przenikania kultur – islamskiej z żydowską w centrum Europy?

Jakiś czas temu przyjąłem zaproszenie na spotkanie w brukselskiej Wielkiej Synagodze siódmego dnia święta Chanuki. Hans, mój znajomy i gospodarz, miał na mnie czekać przed wejściem. Synagoga leży przy jednej z najważniejszych ulic miasta, nieopodal Place Sablon. O dziewiętnastej było już ciemno, padał deszcz, Hans się spóźniał. Nie było gdzie się schronić, próbowałem pod portalem wielkich drzwi wejściowych. Wkrótce pojawili się obok mnie dwaj groźni mężczyźni i kazali mi odejść, chcieli też sprawdzić zawartość mojej niewielkiej torby. Nie interesowało ich to, że mam być gościem uroczystości. Nie pozwolili mi nawet zadzwonić, musiałem odejść od budynku na bezpieczną odległość, telefon komórkowy mógł być przecież nafaszerowany semteksem, a ja mogłem być zamachowcem samobójcą. W bocznej, sąsiadującej z synagogą uliczce spostrzegłem radiowozy policyjne.

Po kilku minutach pojawił się Hans i znów ci sami dwaj poważnie wyglądający mężczyźni. Ale już w zupełnie innym nastroju. Przywitali się

z moim przyjacielem, ten szybko wyjaśnił, że jestem jego gościem, sprawdzili listę, moje nazwisko na niej było, przeprosili mnie i weszliśmy do wnętrza świątyni. Później, po modlitwach, wspólnie z innymi członkami gminy spożyliśmy chanukową wieczerzę. Wychodziliśmy na samym końcu, jeden z obecnych zamknął na wiele zamków boczne drzwi budynku i dopiero na jego znak policja odjechała. Ale jeden wóz pozostał w ukryciu.

Wówczas odebrałem te środki bezpieczeństwa jako przesadne, czułem się nawet dotknięty szorstkością pilnujących, którzy nie dopuszczali do żadnych wyjaśnień, ale dziś wiem, że to ja się myliłem. Cóż za paradoks! W świecie nieograniczonych ponoć wolności obywatelskich członkowie brukselskiej gminy żydowskiej modlą się w swoim domu modlitwy chronieni przez policję. Jeszcze kilka lat temu, mówił Hans, robiąc zakupy w mieście albo spacerując ulicami, nosiłem na głowie kipę. Dziś już nie. Moi ortodoksyjni znajomi ubierają się jeszcze tradycyjnie i nie narzekają na złe spojrzenia czy zaczepki, no ale to jest Bruksela i odpowiednia dzielnica. Pojedź do Antwerpii, tam jest inaczej. Inaczej, znaczy gorzej, niebezpieczniej, wyjaśnił Hans. Pojechałem.

„Kleinblatt”, najstarsza w Europie, założona w 1903 roku żydowska piekarnia w Antwerpii, nie narzeka jeszcze na brak stałych klientów. Jej znakomite serniki i chałki znikają każdego dnia tak samo szybko jak przedtem. Ale ich niepowtarzalny smak i tradycyjna od dziesiątków, a może i setek lat receptura nie powstrzyma na dłuższą metę exodusu antwerpskich Żydów. W ślad za młodymi, którzy nie widzą swojej przyszłości w tej „Jerozolimie Północy”, miasto opuszczają i starzy. Ci pierwsi wyjeżdżają na studia, głównie do USA, i już nie wracają. Drudzy albo podążają za dziećmi, albo w większości przenoszą się do Izraela, gdzie nikt nie strąci im z głów kipy-jarmułki.

Dla jednych i drugich życie w Belgii stało się mniej pociągające. Dziesiątki „tłustych”, a może po prostu pięknych, beztroskich lat, kiedy antwerpski sztetl nie tylko dawał im gwarancję spokojnego i zasobnego życia, ale i otwierał drzwi do lepszego świata, zdają się przemijać. W dodatku w sposób prawie niezauważalny dla otoczenia zdominowanej przez ortodoksyjnych chasydów gminy żydowskiej. Jej hermetyczność, zamknięcie i niedostępność dla obcych sprawiły, że informacje o postępującym exodusie przyjmowane są z pewnym niedowierzaniem. „Za

pięćdziesiąt lat w Antwerpii nie będzie już Żydów", donosiła na pierwszej stronie w zeszłym roku antwerpska gazeta „De Standaard". Nie będzie Żydów w Antwerpii?, zaczęto dopytywać. Jak to, dlaczego? To niemożliwe.

A jednak możliwe. Ostrzeżenie było alarmujące, ale wiarygodne, pochodziło z wiarygodnego źródła, od Alexandra Zanzera, dyrektora organizacji charytatywnej gminy żydowskiej, który o mieszkańcach sztetla wie wszystko. „Kiedyś Antwerpia dawała poczucie bezpieczeństwa i zapewniała dobrobyt", mówi. Ale już nie dzisiaj. Żydzi wypychani są z handlu diamentami, tracą tradycyjny fundament utrzymania licznych rodzin, a ich publiczna, nieskrępowana przez lata obecność w mieście coraz częściej narażona jest na wulgarne ataki ze strony muzułmańskich mieszkańców Antwerpii. Dlatego wyjeżdżają. Niektórzy mówią nawet o dwóch tysiącach rocznie, inni o tysiącu. Niezależnie jednak od tego, ilu ich jest, powstającej luki nie wypełniają nawet żydowscy imigranci z Rosji.

Antwerpia bez codziennego widoku młodych i starych Żydów z pejsami i w sztrajmlach na głowie? Bez codziennego pozdrowienia *Masl un broche*, Szczęścia i błogosławieństwa? Bez tajemniczego jidisz na ulicach wokół dworca i w niezliczonych warsztatach pierwszorzędnych szlifierzy? To rzeczywiście niewiarygodne.

Żydzi wpisani są w historię Antwerpii od XV wieku, kiedy wypędzeni najpierw przez królową Izabelę I Katolicką z Hiszpanii, a później z Portugalii osiedlali się masowo w mieście nad Skaldą. W szybkim tempie zorganizowali *joodse buurt*, swoją dzielnicę, jeszcze nie getto, w której żyją, ze zmiennym szczęściem, do dzisiaj. Kiedy pod koniec XVI wieku Antwerpia dostała się w hiszpańskie ręce, i to na długie lata, większość znów uciekła przed Hiszpanami na północ do Amsterdamu i na wschód do Frankfurtu nad Menem. W tamtej wędrówce ludów towarzyszyli im także miejscowi – protestanci. Hiszpańskie miecze spadały na ich głowy równie bezwzględnie jak na żydowskie.

Nie łatwiej było pod panowaniem Austriaków, ale miasto Antwerpia, silne i bogate, zdawało sobie sprawę z gospodarczego znaczenia gminy żydowskiej, tolerowało ich pobyt i chroniło przed większością represji. To właśnie do Antwerpii uciekały przed pogromami tysiące Żydów rosyjskich, także z zaboru rosyjskiego, a exodus do miasta trwał i później. Przedostatni

– w latach nazistowskich prześladowań w Niemczech Hitlera, a ostatni – w konsekwencji rozpadu Związku Radzieckiego.

W mieście istnieją trzy gminy żydowskie. Świat żydowski w Antwerpii jest wymieszany, ale funkcjonuje się w nim według obyczaju własnej społeczności. Od kołyski po grób antwerpski Żyd spędza życie w swojej rodzinie, jak chcą ścisłe, nieprzejednane nakazy i zakazy. Antwerpia oferuje coś, czego nie ma już nigdzie indziej poza Izraelem. Jest to jedyne miasto, w którym Żydzi sefardyjscy, aszkenazyjscy, ortodoksyjni i chasydzi nie tylko mówią na co dzień w jidysz, ale i żyją według rygorystycznych reguł Talmudu, niezależnie od zmian w otaczającym ich świecie. Przez całe lata nikt się do nich nie wtrącał, nikt im niczego nie narzucał, do niczego nie przymuszał i nikogo nie interesowało też, jak żyją i sobie radzą. Być może dlatego Belgowie nie zauważyli, że antwerpski sztetl się kurczy.

Prawie połowa tutejszych Żydów to Żydzi ortodoksyjni lub ultraortodoksyjni. Wyróżniają się nie tylko tradycyjnym ubiorem, rytuałem dnia codziennego, modlitwą na ustach. Nie mają telewizorów, nie posyłają swoich dzieci na studia. Wielu z nich nie pracuje, poświęca się studiowaniu Tory. Do pracy chodzi żona, ale niewiele zarabia. Kiedy wybierają się w podróż do Izraela, na brukselskim lotnisku w Zaventem zawsze wzbudzają sensację, są jakby z innego świata. Ich bezpieczeństwa pilnują uzbrojeni po zęby policjanci. Gdyby nosili dżinsy, modne koszule, mieli w rękach telefony komórkowe, wtopiliby się w tłum milionów pasażerów aeroportu. Ale oni ustawiają się w długiej kolejce do stanowiska El Al Airlines w swoich długich kaftanach, jedwabnych pończochach, z kipami i sztrajmlami na głowie, z długimi pejsami. Zajęci modlitwą i gromadkami dzieci nie rozglądają się wokół, robi to za nich policja. Po jej obecności na lotnisku podczas odprawy do Tel Awiwu można poznać, że gdzieś w Belgii albo gdzieś na świecie służby znów odebrały niepokojący sygnał.

Ale niezależnie od tego, co dzieje się w dalekim świecie, jakie stamtąd płynie zagrożenie, najważniejsze jest, co dzieje się w tym bliskim, domowym. Od pewnego czasu na brukselskim lotnisku przybywa lecących tylko w jedną stronę. Kryzysów w historii antwerpskiej dzielnicy żydowskiej nie brakowało. Zawsze jakoś udawało się wyjść z nich obronną ręką. Tym razem jest inaczej. W mieście tolerancji, w którym jedni nie interesowali się pochodzeniem drugich, ubrani w swoje tradycyjne stroje

Żydzi rzucają się w oczy innym przybyszom z odległych stron, muzułmanom. W Antwerpii jest ich dwa razy więcej, i coraz więcej. Nie jest to już ta pierwsza, skromna, pracowita generacja ojców, którzy dotarli do Europy za chlebem i tu osiedli, aby zapewnić dzieciom lepsze życie. Ta nowa, agresywna, zaczepna, lekceważąca otoczenie, nikogo nie słucha. Z miejscem, w którym żyje, nie łączą jej żadne więzi, nawet rodzinne. Widzi wroga w każdym Żydzie, także w dalekiej od Maroka, Gazy, Ramallah czy Algierii Antwerpii. I atakuje.

Zrywanie z głów jarmułek jest zaledwie zabawą nieokiełznanych wyrostków. Poważniej bywa w żydowskie święta, a także w Nowy Rok. Uzbrojona po zęby policja wydaje się wobec muzułmańskiego motłochu bezsilna. Młoda islamska generacja z belgijskimi paszportami to także wyborcy, potrzebna jest więc ostrożność i wstrzemięźliwość. Dla polityków twardy orzech do zgryzienia. Nie mogą przecież popierać gwałtów, muszą się więc ćwiczyć w słownej ekwilibrystyce, aby nie urazić muzułmanów. I nie jest to teoretyczny problem naukowców, którzy widzą świat lepszym, niż jest w istocie – to codzienna rzeczywistość polityki belgijskiej. Otwarcie o zagrożeniu dla Żydów mówią przedstawiciele organizacji żydowskich. I pytają, dlaczego Żydzi są opluwani na ulicach. Dlaczego zrywa się im z głów nakrycia, popycha, znieważa? Dlaczego motłoch zapowiada krwawe porachunki?

Cóż można im powiedzieć? Jak szczerze wyjaśnić, że nie ma odwrotu?

Nie wszyscy skłonni są czekać w sytuacji, gdy ciarki chodzą po plecach. Organizacje żydowskie przestrzegają wprawdzie przed popadaniem w defetyzm, ale uruchomiły już dla żydowskiej społeczności wewnętrzny esemesowy serwis ostrzegania przed niebezpieczeństwem na ulicach, w miejscach publicznych, przed szkołami, w parkach. SMS jako broń w walce z antysemityzmem to broń mało skuteczna. Dlatego niektórzy pakują walizki i wyjeżdżają. Antwerpia przestaje być diamentową „Jerozolimą Północy”. Wypędzenie z miasta Żydów, coś, co nie udało się nazistom, powiedzie się globalizacji z jej procesem przenikania kultur i coraz silniejszą w Belgii pozycją islamu.

Kultury się przenikają i płyną jednym wielkim światowym nurtem – tak namalowali nam nowy wspaniały świat autorzy książki o kulturach, które się nie zwalczają. Być może jeszcze tak jest na uniwersytetach, gdzie

wykładają. Ale z całą pewnością są obszary w Europie, gdzie przynajmniej jedna z kultur jest hermetyczna i zaborcza, gdzie panuje Kulturkampf. Coraz ich więcej i wszędzie niekoniecznie przegrywa słabszy, mniej odporny. Raczej lepiej wychowany, bardziej wstrzemięźliwy, ograniczający swoją zuchwałość i samowolę.

Przypomnijmy sobie tezę o niestabilnych rdzeniach. Kultura żydowska, podobnie jak islamska, z pewnością należy do tych z bardzo twardym rdzeniem. I ustępuje. Żydzi z Antwerpii pakują walizki, Francję opuszczają Żydzi francuscy, jadą do Izraela. Mają gdzie.

A my?

Mój sąsiad islamista

My chcemy zostać. I powinniśmy zostać u siebie. Tyle że nie przeniesieni siłą do islamskiego kręgu kulturowego. Obecny prezydent Turcji Recep Tayyip Erdogan, kiedy mówił o przyszłości islamu – wtedy był jeszcze burmistrzem Stambułu – wyraził się jasno: meczety są jego koszarami, minarety bagnetami, kopuły meczetów hełmami, a system demokratyczny to narzędzie, które posłuży do uzyskania przewagi islamu nad pozostałymi państwami. Erdogan konsekwentnie redukuje w Turcji laicką tradycję Mustafy Kemala Atatürka, twórcy nowoczesnego państwa tureckiego, i to do tego stopnia, że z ulic zniknęły jego portrety, a nową siedzibę prezydenta, czyli swoją, wyniósł z Ankary, miasta wielkiego tureckiego przywódcy. Tylko patrzeć, jak lotnisko stambulskie jego imienia również zniknie z mapy – po drugiej stronie miasta, w azjatyckiej części Stambułu budowane jest nowe, już bez dotychczasowego patrona.

Podczas swoich podróży do Niemiec Erdogan, którego żona demonstracyjnie nosi chustę na głowie, za każdym razem przestrzega dość liczną grupę mieszkających w tym kraju Turków, aby za bardzo nie integrowali się z Niemcami, z Europą, bo zawsze odbywa się to ze stratą dla ich tożsamości religijnej, a przecież nie taki jest cel wyznawców islamu. Turcy, zakotwiczeni od dziesiątków lat w Niemczech, liczni i aktywni, nie należą wcale do najbardziej radykalnych. Pod tym względem ustępują wielu innym współmieszkańcom Niemiec „z tłem migracyjnym”, jak eufemistycznie określa się nie-Niemców. Mimo to przedstawiciel związku muzułmanów tureckich w Niemczech napisał list do jednego z polityków i wyłożył karty na stół.

Napisał wprost, że to obcokrajowcy, w większości Turcy, odbudowali Niemcy ze zniszczeń wojennych i gdyby nie ich wysiłek Niemcy błąkaliby się do dziś po gruzach swoich miast. Jaki stąd wniosek? Ano taki, że kraj należy do tych, którzy go odbudowali, czyli do Turków. Dlatego

muzułmański przywódca żąda, aby następnym kanclerzem Niemiec był Turek, krzyże zniknęły, a islam stał się najsilniejszą religią kraju. Islam zresztą i tak zwycięży, zapowiedział bez ogródek, a może postraszył.

Chcemy zostać, ale wobec tego – gdzie? To nie jest zresztą problem bezpośrednio dotyczący Polaków, muzułmanie i inni imigranci nie pchają się drzwiami i oknami do kraju nad Wisłą. Już prędzej skonfrontowane zostaną z nim tysiące Polaków w Wielkiej Brytanii, Holandii, Norwegii, Szwecji, Niemczech. Podobnie jak muzułmanie Polacy przyjeżdżają tam za chlebem i pracą i siłą rzeczy zderzają się ze swoją konkurencją. Obie grupy przynoszą do krajów tymczasowego lub trwałego osiedlenia swoje obyczaje, tradycje i religie. W ślad za muzułmanami podążają imamowie, w ślad za Polakami – księża. I jedni, i drudzy oddają się natychmiast wielkiej tęsknocie za „swoimi prawdziwymi" pozostawionymi w domach wartościami i doświadczają długiego okresu nieprzystosowania. Pierwsi pielęgnują i rozpowszechniają jedyną prawdziwą wiarę w Allaha, drudzy popadają w patriotyczny mistycyzm, którego matecznikiem na obczyźnie jest zawsze Kościół. I obie grupy są zdania, że mają prawo do zaspokajania swoich potrzeb wyznaniowych, oczekują też od tubylców ich respektowania. Czy obecność Polaków wzmacnia chrześcijańskie przekonania zachodnich Europejczyków? To interesujący, ale odrębny temat.

Kiedy Polska nie była jeszcze w Unii Europejskiej, a do Brukseli ciągnęły pielgrzymki polskich polityków, ekspertów, rolników, właściwie wszystkich, wielu z nich dziwił wygląd ulic brukselskich i wcale tego nie ukrywali. Pierwsza refleksja zawsze była taka sama – Boże, ilu tu „kolorowych"… Naszym globtroterom, przez lata zamkniętym w polskim socjalistycznym kurniku, ludzie o odmiennym kolorze skóry rzucali się natychmiast w oczy. Nie kryli nie tylko zdziwienia, ale i dystansu. I satysfakcji, że Polska jest taka „czysta", taka „jednokolorowa". Minęły lata. Polska pozostała w swoim dawnym kolorycie, problemy z islamizacją są dla milionów Polaków tematem egzotycznym.

Kiedy więc piszę, że chcemy zostać, mam na myśli przede wszystkim rodowitych mieszkańców Belgii czy Niemiec i wraz z nimi tych Polaków, którzy jak wszyscy inni w krajach zachodnich codziennie mijają coraz

liczniejsze meczety, a w pracy bardzo muszą uważać, aby nie naruszyć wrażliwości muzułmanów.

A zatem gdzie teraz jesteśmy? Interesującej odpowiedzi na to pytanie dostarczył najnowszy, przeprowadzony po ataku na „Charlie Hebdo" sondaż Ipsos, międzynarodowego Instytutu Badania Rynku i Opinii Publicznej z siedzibą w Paryżu. Wyniki pokazują, jak wielki wpływ na nasze postrzeganie zjawiska imigracji i islamu ma nie tylko terrorystyczny szantaż, któremu podlegamy, ale i trwałe zakotwiczenie ekspansji islamu w świadomości społecznej. Otóż sondaż wykazał zastanawiające zakłócenia w percepcji tych zjawisk. We wszystkich badanych krajach oceny mieszkańców odbiegają od realnego stanu rzeczy. Ludziom wydaje się więcej, niż jest faktycznie. Ale żadna to pociecha.

Francuzi, na przykład, są przekonani, że aż dwadzieścia osiem procent mieszkańców ich kraju to imigranci, podczas gdy w rzeczywistości stanowią oni dziesięć procent. Podobnie jest w Szwecji – tam szesnaście procent populacji to ludzie napływowi, ale w odczuciu Szwedów już prawie jedna czwarta. We Włoszech nie inaczej – Włosi są zdania, że co trzeci mieszkaniec ich kraju pochodzi z zewnątrz, choć naprawdę jest to siedem procent. W Niemczech nie-Niemcy to trzynaście procent ludności, ale Niemcy myślą inaczej i uważają, że imigranci stanowią aż dwadzieścia trzy procent. No i Polska, i bardzo interesująca projekcja postrzegania rzeczywistości: Polacy sądzą, że żyje wśród nich już czternaście procent imigrantów, podczas gdy na tle innych europejskich krajów Polska niknie w statystykach, ponieważ stanowią oni zaledwie półtora procent ogółu ludności.

Dodajmy do tych wyników inne porównanie zestawiające postrzeganie obecności muzułmanów z jej realnymi rozmiarami. Otóż Francuzi są zdania, że co trzeci mieszkaniec ich kraju jest muzułmaninem, ale to nieprawda – muzułmanie stanowią osiem procent populacji. W Niemczech jest pięć procent muzułmanów, ale ludzie uważają, że aż cztery razy więcej. Podobnie w Szwecji, gdzie w odczuciu Szwedów jest już siedemnaście procent wyznawców islamu, chociaż w rzeczywistości tylko pięć. We Włoszech, które jak żaden inny kraj Unii Europejskiej konfrontowane są z masowym napływem imigrantów z krajów muzułmańskich, mieszkańcy są zdania, że co piąty mieszkaniec wyznaje islam, ale na razie to tylko

cztery procent. No i na końcu raz jeszcze Polska. Polacy sądzą, że co dwudziesty mieszkaniec Polski to muzułmanin, tymczasem w rzeczywistości jest nim tylko co tysięczny. Polska nie ma więc problemu islamu i jego wyznawców. Problem islamizacji Polski nie dotyczy.

Nasze wyobrażenia i projekcje tak dalece nie odpowiadają rzeczywistości, że można by powiedzieć: aż tak całkiem źle nie jest, mogłoby być gorzej. I że na razie jesteśmy jeszcze we własnym domu. Islamofobia bez islamistów? Kamień z serca? Zbędny alarm, nadwrażliwość? Niekoniecznie. Rozbieżność między tym, co postrzegamy, a tym, co realne, nie jest bowiem argumentem za demobilizacją nastrojów i nie redukuje skali procesu islamizacji. To dobry argument dla polityków, którzy muszą gasić pożary, ale dla praktyki życia codziennego w miastach zachodnich rozbieżność ta nie ma większego znaczenia.

Liczą się bowiem ludzkie odczucia i refleksje, doświadczenia i obserwacje, zderzenia i konfrontacje – na ulicach, w sklepach, w miejscach pracy i zamieszkania. A te nie biorą się z powietrza, nie są wirtualne. Wprost przeciwnie, ideologiczna ekspansja islamizmu, rozmiary jego przenikania do świadomości społeczeństw zachodnich, spotęgowane przez celowe, zamierzone akcje terrorystyczne, przynoszą widoczne rezultaty w postaci rozszerzających się obszarów niepewności, strachu i szantażu. I sugerują nieuchronność zwycięstwa wojowników Allaha. Bo boimy się bardziej, niż powinniśmy. Bo widzimy ich częściej i więcej, niżby należało. Jesteśmy przekonani, że już dzielimy nasze mieszkanie z islamem, że jeszcze chwila i z wieży Eiffla rozlegnie się po arabsku wezwanie do modlitwy. A więc ustąpiliśmy mentalnie, uważamy, że nasz opór jest bez sensu. Paranoiczna ocena rzeczywistości? Zamglony obraz ślepców i głuchych?

Nie, wcale nie. Meczety są prawdziwe, wypychanie rdzennych mieszkańców praktykowane, redukowanie naszej obecności skuteczne, ustępowanie dla świętego spokoju powszechne, a zamachy boleśnie realne. Kiedy kościoły zamienia się w meczety, kiedy brytyjska policja ściga mężczyznę głośno krytykującego w autobusie islam, kiedy w wielu szwedzkich gminach Szwedzi stanowią mniejszość, kiedy sąd w Brukseli odstępuje od wymierzenia kary, aby z islamisty nie czynić męczennika, kiedy policja belgijska pilnuje porządku na basenach publicznych, gdzie

muzułmańska chuliganeria poluje na dziewczyny niemuzułmanki, kiedy młodzi Marokańczycy, gwałciciele, tłumaczą, że nie dokonaliby gwałtu, gdyby ofiara była muzułmanką, wcale nie mamy do czynienia z dywagacjami na temat islamizacji, która ma nastąpić – ten proces jest w toku. Terrorystyczne zamachy w Europie są fragmentem krwawej wojny prowadzonej w globalnej skali.

Zwyczajnie byłoby wtedy, gdyby podobne sondaże ujawniły inną rzeczywistość. Gdyby, na przykład, w Szwecji albo we Francji już sześćdziesiąt procent mieszkańców stanowili muzułmanie, a żaden rodowity Szwed czy Francuz w ogóle tego nie zauważył. Potwierdzałoby to, że islam jest sprawą prywatną, że jego wyznawcy nie obnoszą się z nim, nie demonstrują wyznaniowej wyższości, że chodzą do meczetu, nie robiąc z tego nadzwyczajnego wydarzenia, żyją jak wszyscy Szwedzi czy Francuzi, nie indoktrynują, nie wtrącają się do innych, nie narzucają swojej wiary i nie wymuszają stosowania boskich prawideł w codziennym życiu pod groźbą utraty głowy. Tak jednak nie jest, islam nie jest wiarą, która chowa się w czterech ścianach. Staje się sprawą publiczną, skoro jej najpełniejszym wymiarem ma być islamski porządek państwowy oparty na szariacie, boskim prawie wymyślonym przez ludzi.

To, że widzimy muzułmanów częściej i liczniej, niż to jest w rzeczywistości, nie wynika ani z naszej złej woli, ani z noszenia szkieł powiększających. Wyraża się w tym najbardziej czytelny i widoczny efekt ich wyznaniowej propagandy, siły i skuteczności. Są profesorowie prawa w Niemczech i gdzie indziej nawołujący do zaostrzenia paragrafów kodeksów karnych zakazujących blasfemii – bluźnierstwa wobec religijnych symboli – bo uważają, że niedostatecznie chronią one wyznanie naszych islamskich współmieszkańców. Są politycy w Europie, na przykład sekretarz generalny SPD w Niemczech pani Yasmin Fahimi, wzywający media, aby nie używały nazwy „Państwo Islamskie”, ponieważ obraża to innych muzułmanów. Nieważne, że nazwę tego państwa wymyślili sami islamiści i że opisuje ona dokładnie charakter powstającej terrorystycznej struktury, teraz media dla zachowania parytetu respektu nie powinny jej używać. Dzięki temu prostemu zabiegowi z Państwem Islamskim nie będzie problemu.

Skutki postrzegania rzeczywistości przez pryzmat bolesnych doświadczeń odczuwa brukselska dzielnica Molenbeek, siedlisko, jak się powszechnie uważa, dżihadystów belgijskich. Tak też w istocie jest, ale etykietka najważniejszej twierdzy wojowników Allaha szkodzi wizerunkowi dzielnicy i jej władze podejmują teraz wysiłki, aby udowodnić, że mieszkają w niej zwykli ludzie, a przypadki aresztowań i liczne naloty policji na konspiracyjne mieszkania dżihadystów nie naruszają spokoju i normalnego rytmu życia. Molenbeek ze swoimi ulicami, sklepami i targowiskami przypomina arabskie miasto, to prawdziwy brukselski Kabul, nie brakuje w nim także owego orientalnego charme'u, który tak bardzo cenimy na wakacjach w dalekich krajach. Społeczność muzułmańska jest homogeniczna, dla ludzi takich jak ja zupełnie nieprzenikliwa. Zaraz obok Molenbeek, oddzielona kanałem, po jego drugiej stronie leży enklawa Sainte-Catherine, trendowe miejsce dobrych restauracji, wytwornej tradycyjnej flamandzkiej kuchni, świateł, paryskiego flairu. Jej goście, najczęściej z zagranicy, nie mają najmniejszego pojęcia, że kilkaset metrów dalej swoje gniazda uwili najbardziej nieprzejednani wojownicy Allaha.

To oczywiście żaden zaszczyt dla tej małej miejskiej gminy, jeśli nawet prasa australijska pisze o niej jako o bastionie radykalizmu islamskiego. Z podobnymi problemami borykają się również inne imigranckie dzielnice i inne belgijskie miasta – na przykład Vilvoorde, z którego pochodzi co dziesiąty dżihadysta – ale to właśnie Molenbeek świeci teraz oczyma. I omijane jest szerokim łukiem, choć żyje tam jeszcze garstka rodowitych brukselczyków. Z leżącej w sercu Brukseli dzielnicy wycofują się światowe firmy, zamykają swoje biura, ponieważ ich pracownicy zbyt często byli ofiarami napaści. A to już ma znaczenie dla sprawnego funkcjonowania jej infrastruktury.

W Brukseli mieszka prawie połowa belgijskich wyznawców Allaha. Stolica Europy znana jest również z licznych manifestacji i demonstracji. Tu wylewa się na ulicach żółć i rozgoryczenie europejskich rolników, związkowców, Kurdów, Irańczyków, Afgańczyków, nauczycieli, robotników. I islamistów. A ci potrafią na ulice wyprowadzić więcej ludzi niż kościoły, partie czy związki zawodowe. Nic dziwnego. Już za pięć lat w całej Belgii udział ludności muzułmańskiej wzrośnie do dziesięciu

procent, a w 2030 w Brukseli muzułmanie będą stanowić większość. Sześćdziesiąt procent dziś przychodzących tu na świat noworodków to dzieci muzułmanów.

Większość brukselskich wyznawców islamu – siedemdziesiąt procent – pochodzi z Maroka, dwadzieścia procent z Turcji, pozostali z Albanii, Egiptu, Pakistanu, Afryki Północnej i kilkudziesięciu innych krajów. Sześćdziesiąt procent młodych żeni się z kobietami z państw muzułmańskich sprowadzanych do Brukseli z odległych wiosek i osad, z rodzinnych stron matek i ojców. Swoim dzieciom nadają oni najczęściej imię Mohammed. Połowa dzieci w szkołach podstawowych to dzieci muzułmańskie.

Główny nurt islamu w Belgii to salafizm, najbardziej konserwatywny wśród muzułmańskich ruchów religijnych, prawdziwy panislamistyczny ruch polityczny walczący o odrodzenie islamu poprzez powrót do jego korzeni, rdzenia, do „prawdziwej religii". Cóż mogłoby to nas obchodzić? A jednak musi obchodzić, ponieważ owo odrodzenie odbywa się u nas, obok nas, w naszym domu, a nie w marokańskich wioskach i algierskich osadach.

Od 2011 w Antwerpii działa pierwszy w Europie sąd szariatu powołany przez skrajną i niebezpieczną organizację „Sharia4Belgium" – nazwy nie trzeba chyba tłumaczyć – której przywódcy oficjalnie i bez żenady oświadczają, że ich celem jest stworzenie w Belgii „równoległego sądownictwa", podkopanie autorytetu państwa jako egzekutora ustaw, nieobowiązujących zresztą wyznawców Allaha. Sąd szariacki na razie zaczyna skromnie, rozpatruje „jedynie" rodzinne spory i kłótnie wśród muzułmanów i stosuje – jakżeby inaczej – prawo islamskie. Wydaje wyroki w sprawach rozwodów, opieki nad dziećmi, reguluje sprawy spadkowe. I oczywiście wezwani przed jego oblicze stosują się do jego wyroków.

Belgijscy krytycy prawa szariatu używają argumentu, że nie gwarantuje ono równego traktowania kobiet. Stąd wniosek, że sąd szariacki nie jest sądem sprawiedliwym, a stąd kolejny, że nie powinno się go tolerować. A gdyby był sprawiedliwy i uznawał równość kobiet wobec prawa, to byłby legalny? Mógłby bez przeszkód funkcjonować obok cywilnych sądów belgijskich? Sąd szariacki nie może przecież traktować kobiet na równi z mężczyznami, ma charakter religijny, a ta religia ustaliła raz na zawsze,

kim jest kobieta i jakie ma prawa. Na tym właśnie to polega, on rozpatruje sprawy w zgodzie z islamem, a nie belgijskim kodeksem cywilnym.

Ale to nie wszystko. Szariat jest prawem państwa islamskiego. Sąd szariacki w Antwerpii to pierwszy, dla muzułmanów najważniejszy, element ich tożsamości państwowo-religijnej. Jest już państwo, skoro jest sąd.

Naturalnie, na kłótniach rodzinnych w Antwerpii się nie skończy. Sharia4Belgium jasno zapowiada, że sąd szariacki zajmie się też innymi sprawami, po prostu wszystkim, to wyłącznie kwestia czasu. Chodzi bowiem o rzecz dla islamistów kapitalną – o zbudowanie nieprzekraczalnych barier dla asymilacji w jakiejkolwiek formie. Czy muzułmanie w Antwerpii i całej Belgii, „przywiązani" do belgijskiego prawa i „respektujący" je, lekceważą ten sąd, unikają go, nie chcą przed nim stawać? Odpowiedź jest zbędna. O wiele ważniejsze jest pytanie, kiedy pozostali podlegać będą jego jurysdykcji. Islamiści oficjalnie przyznają, że ich celem jest ujarzmienie wszystkich innych, czyli nas, i podporządkowanie – także niemuzułmanów – ich sądowi. Według nich szariat to perfekcyjny system dla całej ludzkości. Przekonamy się o tym, gdy któregoś dnia przed nim staniemy. Na razie musimy wierzyć na słowo, że jest jedynym prawdziwym regulatorem życia społecznego.

Kiedy strona internetowa organizacji Sharia4Belgium była jeszcze dostępna, można tam było przeczytać:

> W ciągu tysiąca trzystu lat państwa islamskiego doświadczyliśmy porządku, dobrobytu i ochrony praw człowieka. Wszyscy wiedzą, że Hiszpania, Francja i Szwajcaria przeżyły swoje najlepsze lata pod panowaniem szariatu. Podczas tych tysiąca trzystu lat tylko sto dwadzieścia kobiet zostało zgwałconych, dokładnie tyle samo kobiet gwałconych jest dziś w Europie każdego dnia. Podczas tych tysiąca trzystu lat doszło tylko do sześćdziesięciu rabunków… Dlatego zapraszamy wszystkich, rodzinę królewską, parlament, arystokrację i każdego obywatela Belgii, aby dobrowolnie podporządkowali się światłu islamu. Ratujcie siebie i swoje dzieci przed bolesną karą w zaświatach i zapewnijcie sobie wieczne życie w raju.

Jaka więc czeka nas przyszłość? Taka, jakiej symbol widniał na zablokowanej stronie Sharia4Belgium – czarna flaga dżihadystów nad belgijskim parlamentem.

Anjem Choudary, ekstremalny fundamentalista z paszportem brytyjskim, twórca zakazanej organizacji Islam4UK, objaśnił w jednym z wywiadów dla belgijskiej gazety „De Standaard", jak szariat poradzi sobie z opornymi Belgami, którzy nie chcą dojrzeć światła jego wiary: albo większość dobrowolnie przejdzie na islam, albo zagraniczna potęga islamska zdobędzie Belgię, albo dojdzie do powstania ludności muzułmańskiej przeciw jej uciskowi, albo muzułmanie po prostu obalą belgijski reżim. Pardonu, jak widać, nie będzie. Nastanie za to pokój i spokój, bo islam wszystkich nas zjednoczy i pojedna.

Tych słów mądrzy ludzie oczywiście nie lekceważą, ale nie bardzo wiedzą, jak im przeciwdziałać. Sama mądrość i wykształcenie najwyraźniej nie wystarczą. Jak się dotąd wydawało, większość Belgów nastawionych rasistowsko to ludzie o niskim potencjale intelektualnym. Tymczasem badania przeprowadzone wśród studentów alarmują: ponad połowa licznych studentów muzułmańskich jest nastawiona antysemicko i wcale tego nie kryje. A więc skłonność do myślenia w kategoriach rasistowskich nie przejawia się tylko w grupach o niskim poziomie wykształcenia. Mark Elchardus, autor tych badań, wskazał w omówieniu na teologiczne, wywiedzione z nauki wiary uzasadnienie dla islamskiego antysemityzmu i doczekał się w efekcie pozwu sądowego. Aktywiści organizacji muzułmańskiej, która postanowiła ukarać brukselskiego naukowca, oskarżyli go o dyskryminację, ponieważ zranił ich „religijne przekonania", publikując swoje uwagi w gazecie, co owo zranienie przekonań uczyniło publicznym występkiem.

Władze belgijskie zbyt późno dostrzegły realne niebezpieczeństwo w działalności salafitów i ich organizacji. Wielkiego zarzutu za ten poślizg stawiać im nie wypada, cały Zachód oślepł i nadal brodzi po omacku. Islamizacja posunęła się już tak daleko, że każde działania władz, każda reakcja urzędów trafia obok, przynosi przeciwne skutki. Kiedy w 2009, po niewiarygodnych debatach z użyciem całego arsenału środków sprzeciwu, parlament belgijski zabronił w końcu noszenia burki w miejscach publicznych, Sharia4Belgium natychmiast odnotowała wzrost poparcia

i liczby członków, a organizowane przez nią demonstracje przeciw temu zakazowi pokazały całą realną siłę islamizmu w Brukseli.

Niejeden z czytelników zapyta – i słusznie – jak na to wszystko reaguje Unia Europejska, w końcu Bruksela to jej matecznik, a większość demonstracji odbywa się w pobliżu jej gmachów. Jak ma reagować? Artykuł siedemnasty Traktatu z Lizbony zobowiązuje Wspólnotę do regularnego dialogu ze społecznościami religijnymi, ale jak on ma wyglądać w praktyce, zależy od samych zainteresowanych. Dialog Komisji Europejskiej z organizacjami religijnymi to jedna strona medalu, inna – o wiele, jak sądzę, ważniejsza – to dialog między nimi samymi. Z tym jest poważny problem. Co innego bowiem budowanie pomostu między instytucjami europejskimi a Kościołami i związkami wyznaniowymi, a zupełnie co innego budowanie pomostów między religiami: judaizmem i islamem, chrześcijaństwem i islamem, judaizmem i chrześcijaństwem. W tej dziedzinie Komisja nie ma nic do powiedzenia.

Artykuł siedemnasty wyczerpuje kwestię. Wszystkie inne – czy burka może pojawiać się na ulicy, czy młode Marokanki mogą się kąpać w basenach w ubraniach, czy nauczycielki mogą lub powinny nosić w szkołach chusty na głowach, a w urzędach publicznych mogą lub powinny wisieć krzyże – należą nie do kompetencji Unii, tylko państw członkowskich. Komisja Europejska reguluje wiele aspektów naszego życia, ale jest bezsilna – na całe szczęście – wobec naszych uczuć i przekonań. Jak i w co wierzymy, czy w ogóle wierzymy, jak i dlaczego się lubimy lub od siebie odpychamy, jest naszą wewnętrzną sprawą. Jednym słowem, chociaż kwestia obecności religii w życiu publicznym należy do tych ważniejszych, Komisja Europejska nie ma żadnych kompetencji do rozstrzygania powstałych na tym tle sporów. Dlatego problem konfrontacji z islamizmem w Brukseli urzędników Komisji omija instytucjonalnie, choć nie praktycznie – na rondzie Schumana i pobliskich ulicach, na których odbywają się muzułmańskie demonstracje. Czym innym są ich osobiste przekonania. Z pewnością nie brakuje wśród nich muzułmanów, tak samo jak wyznawców poprawności politycznej: gdybyśmy mieli mówić o religii preferowanej przez urzędników Komisji, ta właśnie byłaby najbardziej powszechna.

Toteż Belgia pozostawiona jest sama sobie. W Antwerpii islamiści próbowali przetestować odporność policji i wysyłali na ulice własne „obyczajowe patrole policyjne” zabraniające sprzedaży alkoholu i piwa w barach (oczywiście niemuzułmańskich, tyle że działających na obszarze „ich dzielnicy”), czy zmuszające kobiety do zakrywania twarzy. Podobnie jest w islamskich dzielnicach Brukseli, gdzie aktywiści szariatu pilnują, aby w sklepach sprzedawano tylko mięso halal, pochodzące z rytualnego uboju. W więzieniach z uwagi na liczebność więźniów muzułmańskich kuchnia przygotowuje tylko zgodne z ich obyczajem potrawy – dla wszystkich. W szpitalach muzułmanie żądają przestawiania ich łóżek tak, aby mogli modlić się zwróceni twarzą do Mekki – inaczej krzyczą o dyskryminacji. Żądają, aby opiekę nad nimi sprawowały osoby tej samej płci i wyznania, niezależnie od tego, czy szpital dysponuje wystarczającym personelem. Chociaż nie wolno, podczas ramadanu na brukselskich ulicach zarzynanych jest dwadzieścia tysięcy owiec i jagniąt. Nauczyciele w szkołach są obrażani czynnie przez uczniów muzułmańskich, kiedy wykładają ewolucyjną teorię powstania świata i człowieka lub uczą o Holocauście. Młode muzułmańskie żony trzymane w domach przez mężów i braci przez całe życie pobierają zasiłek. Niemuzułmańskie dzieci nie mogą przynosić do szkoły kanapek z wieprzowiną, ponieważ naruszają wrażliwość islamskich koleżanek i kolegów. Nie daj Boże, wywiesić flagę izraelską na ulicy, którą maszerują muzułmańscy demonstranci – policja zadba, aby szybko zniknęła. Miasta, sklepy i szkoły rezygnują z wystawiania bożonarodzeniowych choinek, ponieważ muzułmańscy funkcjonariusze żądają zachowania całkowitej religijnej neutralności. Nie sposób kupić świątecznych kartek z tradycyjnymi elementami religii chrześcijańskiej, chociaż to przecież sprawa zupełnie prywatna, a instytucje europejskie i natowskie, żeby nikogo, czytaj: muzułmanów, nie urazić, od dawna rozsyłają *season’s greetings*. Nie o to zresztą chodzi, żeby z NATO otrzymać kartkę z betlejemską stajenką, ale o kartkę do rodziny. Protestów oczywiście nie słychać, wszyscy wzruszają ramionami, przecież to zupełnie nieistotna sprawa. Ale nie dla drugiej strony, skoro nie da się kupić kartki z małą stajenką.

Można oczywiście machnąć na wszystko ręką, ale wiadomo, jak to się skończy. Opowiadano mi o przypadku kobiety muzułmanki w ciąży

przywiezionej do kliniki na czas porodu. Towarzyszący jej mąż zabronił lekarzowi anestezjologowi dokonywania jakichkolwiek czynności. Lekarza kobiety nie było, a pobożny mąż nie życzył sobie, aby chrześcijański lekarz mężczyzna oglądał chociaż skrawek ciała jego żony. Dyskusje trwały dwie godziny, w końcu znaleziono kompromis – kobieta została całkowicie zabandażowana, pozostawiono jedynie małe miejsce do wkłucia igły. W międzyczasie wezwano imama, który oficjalnie uznał, że wszystko jest w porządku. Lekarz na tym jednak nie skończył. Został oderwany od innych chorych, stracił wiele czasu, a przy tym stał się ofiarą dyskryminacji religijnej, pozwał więc męża pacjentki do sądu. Nie wiem, jaki był finał tej sprawy, ale domyślam się, że religijny mąż miał w ręku silne argumenty.

Skoro jesteśmy już na sali porodowej, powiedzmy i o tym, że w arabskich konsulatach w państwach zachodnich wyłożone są listy imion, które mogą być nadane nowo narodzonym dzieciom, co gwarantuje, że w rodzinie islamskiej nie pojawią się Jan, Guy, Victoria, Magdalene. Podobne regulacje dotyczą Turków. Tak, nawet imiona dzieci nie są prywatną sprawą pobożnych rodziców, Koran uczy bowiem, że w dniu Sądu Ostatecznego Bóg będzie wzywał wszystkich po imieniu oraz po imieniu ich ojców i musi ich rozpoznać. Stąd popularność imion pochodzących od Mahometa, a także jego żon.

Nie jest przypadkiem, że fundamentalizm islamski znalazł tak dobrą glebę w małej Belgii. I nie jest przypadkiem, że Belgia przoduje, niestety, na liście „własnych” wojowników Allaha walczących w Państwie Islamskim. Czy Belgowie są bardziej tolerancyjni od innych, częściej od innych przymykają oko? Czy nie lubią wtrącać się w nie swoje sprawy? Tak, tak właśnie jest. Nie lubią i nawet własny rząd traktują jak okupanta. Belgia jest idealnym krajem dla ludzi, którzy podobnie jak sami Belgowie nie chcą rzucać się w oczy. W tym małym kraju z łatwością można się dobrze ukryć.

Społeczeństwo belgijskie naznaczone jest genem anarchii i tak heterogeniczne jak żadne w Europie. Niemców powaliłby zawał, gdyby czekali dwa lata na utworzenie rządu, Francuzi obraziliby się do końca życia, gdyby jakimś cudem wepchnął się do ich kultury drugi, równoległy język. W Belgii wszystko to jest możliwe, a to, co jest możliwe i niemożliwe, nikogo nie obchodzi. Trzy języki – francuski, niderlandzki

i niemiecki – mają wprawdzie status oficjalnych, ale nie ma obowiązku nauki w szkołach wszystkich trzech równolegle. Najbardziej typową reakcją Belgów na wiele zjawisk, a przede wszystkim na zjawiska kłopotliwe, jest wzruszenie ramion. Niemiec czuje się w obowiązku zająć stanowisko, Belg przechodzi dalej. Belg nie zajmuje się sprawami, które mają się dopiero zdarzyć. Belgia to kraj absolutnie wolny.

Fundamentem belgijskiej anarchii jest wielowarstwowość narodu i społeczeństwa, a także federalna struktura kraju, nawet dla samych Belgów mało przejrzysta, dublowana, triplowana na wielu płaszczyznach. O wszystkim decyduje parytet, co sprawia, że traci się ogląd całości na rzecz zajmowania się drobnostkami. No i religie – te żyją wyśmienicie od siebie oddzielone, niemal jak w Holandii z jej filarami wyznaniowymi. Nikt się do nich nie wtrąca, więc nikt się nie wtrącał i do islamu. Religia jest w Belgii sprawą absolutnie prywatną nie tylko na papierze. W 1974 islam został oficjalnie uznany za kolejną religię Belgii. Sami muzułmanie mówią skromnie, że ich religia jest trzecim wyznaniem w kraju. Zbędna skromność. To wyznanie drugie, ponieważ protestantyzm praktycznie nie występuje, sześćdziesiąt procent mieszkańców przyznaje się do katolicyzmu, chociaż do kościołów uczęszcza tylko cztery procent, istnieje jeszcze silna grupa laicka, bezwyznaniowa – jakaś jedna trzecia Belgów w nic nie wierzy – no i islam – sześć procent. Postawę laicką, bezwyznaniową, trudno uznać za afirmację jakiejś religii, islam jest zatem drugim wyznaniem kraju.

Do 2007 problem agresywnych islamistów nie był widoczny, nie rzucał się w oczy. Wiara większości imigrantów i uchodźców nie zaprzątała nikomu głowy. Nawet terrorystyczne ataki w 2001 i w konsekwencji wojna z terroryzmem na wielu frontach nie zradykalizowały muzułmanów belgijskich, chociaż wielu obudziły z letargu. Ale potem kryzys zażądał ofiar. Niewielkie zainteresowanie problemami imigrantów, typowe dla zasobnego społeczeństwa, w okresie kryzysu jeszcze się zminimalizowało. Socjolodzy wskazują na postępującą degradację kolejnych generacji imigrantów, brak dla nich perspektyw, przede wszystkim bezrobocie – stopa bezrobocia wśród imigrantów jest trzy razy wyższa od tej wśród urodzonych w Belgii – i wykluczenie jako na podstawowe źródła radykalizacji. Frustrację i poczucie dyskryminacji wykorzystali salafici. Za

brak postępów w integracji winę ponosi państwo, gdyby się odpowiednio zajęło muzułmanami, opracowało i wcieliło w życie programy integracyjne, salafici mieliby mniej do powiedzenia. Tak mówią ci, którzy cierpią z powodu ostatnich zdarzeń i stają się mimowolną ofiarą spirali przemocy.

W rozumieniu wszystkich imigrantów programem integracyjnym zawsze jest praca. Nieważne, skąd kto przybywa, nieważne, jakim mówi językiem, jak ciężkie ma za sobą przeżycia. Nieważne są kwalifikacje, nieważne, czy potrzeba nowych rąk do pracy – ma być praca i tyle. Ale jest pewna różnica. Polacy na Zachodzie piszą w ogłoszeniach, że wprawdzie nie znają języków, nie mają jakichś wybitnych kwalifikacji, za to mają dobre chęci, szybko się uczą i podejmą się każdego zajęcia. Islamscy imigranci, chociaż znają języki, nie przyjmą pracy, która obraża ich wrażliwość religijną. A ponieważ nie dostarcza jej już prywatna gospodarka, powinien ją zapewnić rząd. W integracji chodzi nie o to, aby zwykły Belg mógł pójść na herbatę do arabskiej herbaciarni, tylko o jego miejsce pracy. Jeżeli nie ma się pracy, to można mieć zasiłek. Ale jego wysokość traktowana jest jako dyskryminująca.

Zasiłek nie otwiera też oczywiście drzwi do belgijskich domów, ale dobrze płatna praca w NATO albo w Unii Europejskiej także nie. Belgowie sami decydują, kogo zapraszają do domów, programów integracyjnych nie potrzebują.

Medal, jak zawsze, ma dwie strony, wolno zatem pytać o gotowość samych muzułmanów do integracji w obszarze kultury, tradycji i obyczaju gospodarzy. Wcześniej wydawało się, że sama przestrzeń dobrze funkcjonujących struktur samodzielnie i bez wielkiego wysiłku wchłonie wszystkich przybyszów. Że zrozumieją, jak funkcjonuje to społeczeństwo, i pozwolą się wchłonąć. Na przeszkodzie stanęła jednak radykalizacja religii, nie tylko zresztą islamu. Pobożny muzułmanin, dla którego otaczający go świat jest zepsuty, dekadencki i przekupny, gardzi nim, unika go, nie potrzebuje kontaktu z niewiernymi.

A więc to nasza wina. Jak dalece poprawność polityczna zabrnęła w ślepą uliczkę, niech świadczą rozpaczliwe teksty oświeconych autorów, tłumaczących w okresie gorącej debaty na temat burki, że zakazywanie jej noszenia w miejscach publicznych nie ma większego sensu. Kilka lat temu, w 2009 i 2010, Belgia i Francja przeżyły tsunami przekonywania, że to

takie odzienie jak każde inne. Chociaż wszystkie sondaże były jednoznaczne – Francuzi i Belgowie wypowiadali się za wprowadzeniem bezwzględnego zakazu zakrywania twarzy w miejscach publicznych – praktykujący poprawność polityczną humaniści udowadniali coś przeciwnego. Islamem jest to, w co wierzą muzułmanie, pisali. I tłumaczyli, że jedni uważają, że piwo nie jest zabronione, inni, że kobieta powinna nosić burkę i nikab. Wszystko zależy od społecznego kontekstu – w Afganistanie piwo jest problemem, tak jak w Belgii burka. Są jednak różnice: skoro nie wolno pić piwa w Afganistanie, to nie naruszajmy tego zakazu, aby nie urazić uczuć jego mieszkańców, ale w Belgii walka z burką jest walką z symbolem, więc nie ma sensu. Zakazy nie redukują bowiem barier, wyjaśniali, tylko skuteczniej oddzielają jednych od drugich. Piękne deklaracje i oczywiście prawdziwe, co potwierdzi każdy socjolog. A przy okazji całkowicie w interesie islamu demonstrowanego z przekorą na ulicach zachodnich miast.

No bo cóż w tym trudnego, skoro od muzułmanów oddziela nas tylko zakaz noszenia burki i nikabu? Zgódźmy się, a druga strona zaraz podejmie z nami dialog, otworzy się na nas i dopuści do swoich tajemnic. Zgódźmy się, w przeciwnym razie nieszczęsne kobiety, które bez zgody męża nie mogą opuścić domu, przez nas będą tam siedziały do końca życia. Zezwólmy na noszenie burki, ponieważ pobożnych mężów nie zdołamy przekonać, aby zmienili zdanie. Belgijskim i francuskim parlamentarzystom, na szczęście, nie zabrakło rozsądku i odwagi. „Burka to jest ruchome więzienie”, zdefiniował problem szef frakcji francuskojęzycznych liberałów w parlamencie Belgii Daniel Bacqueline. Odpowiedział mu belgijski związek muzułmanów: zakrywanie twarzy kobiety należy do atrybutów osobistej wolności gwarantowanej przez belgijskie, europejskie i międzynarodowe prawo.

Czytamy często, że Koran nic nie ma wspólnego z nakazem zakrywania twarzy i ciała – i proszę nie utożsamiać islamu z burką! Sięgnijmy do źródła.

> O Proroku! Powiedz swoim żonom i swoim córkom, i kobietom wierzących, aby się szczelnie zakrywały swoimi okryciami. To jest

> najodpowiedniejszy sposób, aby były poznawane, a nie były obrażane. A Bóg jest Przebaczający, Litościwy (sura 33,59).

W innym miejscu:

> Mężczyźni stoją nad kobietami ze względu na to, że Bóg dał wyższość jednym nad drugimi, i ze względu na to, że oni rozdają ze swojego majątku. Przeto cnotliwe kobiety są pokorne i zachowują w skrytości to, co zachował Bóg (sura 4,34).

Wrażliwi na krzywdę i dyskryminację publicyści zachodni pospieszyli z odsieczą: z pewnością nie każda kobieta zakryta burką i zasłonięta nikabem czuje się zniewolona. A poza tym życiowe więzienie, w którym bez wątpienia wiele z nich żyje, wcale nie jest z materiału, składa się z idei. Święta prawda. Tyle że ową budującą więzienny świat islamskich kobiet ideą nasi wrażliwi humaniści już się nie zajmują. Nie wypada.

W Antwerpii po wielu problemach przed sądem rozliczona została Sharia4Belgium. Od 2010, od inauguracji Państwa Islamskiego, zdołała wysłać na front wielu zwerbowanych przez siebie wojowników. Na ławie oskarżonych powinno zasiąść czterdziestu sześciu mężczyzn, ale większość z nich nie pojawiła się na sali sądu. Nadal walczą w Syrii albo już nie żyją. Władze podejrzewają i zapewne mają rację, że werbunki tej organizacji to tylko wierzchołek góry lodowej. Uważa się, że Sharia4Belgium zwerbowała tylko dziesięć procent wojowników z Belgii. Ale większość islamistów nie potrzebuje żadnej organizacji, aby wyjechać na front. Wystarczy bilet lotniczy, trochę pieniędzy i kilka numerów telefonów.

Miejscem skutecznej radykalizacji muzułmanów są więzienia, i to jest jeden ze smutniejszych aspektów problemu. Dlatego każda sprawa przed sądem to prawdziwie twardy orzech do zgryzienia. Chodzi wszak nie tylko o wymiar kary, ale o jej daleko idące konsekwencje.

Czytałem wyznanie jednego z radykałów islamskich, który oderwał się od swojego zatrutego nienawiścią otoczenia. Popełniał w przeszłości wiele występków, kradł, napadał, wreszcie trafił za kratki, i dopiero tu spotkał kogoś, kto naprawdę zainteresował się jego losem – brata muzułmanina. Ten podał mu rękę, otworzył świat i przede wszystkim dał poczucie własnej

wartości. Dopiero w więzieniu sam dla siebie stał się „wartościowym człowiekiem”, zrozumiał, że jest kimś, komuś jest potrzebny, ma jakąś misję do spełnienia.

To naprawdę rozpaczliwe położenie człowieka – odnaleźć sens życia dopiero w więzieniu. Ale takie właśnie ścieżki odnajdujemy nierzadko w życiorysach uwiedzionych wojowników Allaha. Nie wystawiają najpiękniejszego świadectwa naszej rozwiniętej, humanistycznej cywilizacji, pełnej kart i kodeksów praw człowieka powtarzanych jak mantra przy każdej okazji.

Belgijskie czy francuskie więzienia są również miejscem islamskiej inicjacji. Wielu chrześcijan przechodzi w nich na islam. Wypowiadają trzykrotnie szahadę, świadectwo wiary, i zgodnie z nauką islamu wchodzą w jego oczyszczające światło: *La ilaha illa Llah wa Muhammad rasul Allah*, „Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest wysłannikiem Allaha”. W islamie nie ma rytuału porównywalnego do chrztu w chrześcijaństwie, gwarantującego członkostwo we wspólnocie wyznaniowej. Wiarę przyjmuje każdy, kto w obecności świadków wypowie szahadę świadomie i ze szczerym zamiarem. Ten krok jest prosty, ale jego skutki są bardzo poważne. Allah bowiem odpuszcza nawróconym wszystkie dotychczasowe winy i grzechy, rodzą się oni na nowo i są bezgrzeszni. Zaczynają swoje życie od nowa w jedynej wierze, która jest prawdziwa. W wierze wymagającej, żądającej ustawicznego potwierdzania i rozszerzania na świecie, a przede wszystkim całkowitego podporządkowania się Allahowi. Do skrajnej ostateczności.

Odejście od islamu, ridda, jest oczywiście możliwe. Ale chociaż sam Koran nie przewiduje kary za apostazję w doczesnym życiu, szariat nie jest już tak łaskawy. Konsekwencje są nie tylko natury cywilnoprawnej. Można stracić głowę.

Wiara i miecz

Gdzieś na terytorium samozwańczego Państwa Islamskiego. Gdzieś w Syrii albo Iraku. Typowa ulica bliskowschodniego miasta. Zachodnie samochody. Światła regulujące ruch. Zgiełk. Normalne życie, zwykły dzień. Ale to złudzenie.

Na skrzyżowaniu ulic stoi grupa uzbrojonych mężczyzn. Wyglądają groźnie. Prawdziwi wojownicy Allaha. Brodaci, w mundurach khaki, w rękach karabiny Kałasznikowa. I smartfony. Pośród nich drobna bezbronna kobieta. Ma chustę na głowie, ale odkrytą twarz. Chce niepostrzeżenie przejść na drugą stronę ulicy, jakby coś przeczuwała, niewidoczna wśród grupy mężczyzn, dopóki któryś z nich nagle jej nie zatrzyma. Coś do niej wykrzykuje, kobieta staje oszołomiona, jakby nie bardzo wiedziała, o co chodzi. My już się domyślamy.

Scena nie trwa długo. Gesty i mimika twarzy mężczyzny wykrzykującego słowa jakiegoś przekleństwa nie pozostawiają żadnej wątpliwości. Przerażona kobieta, której krew odpłynęła z twarzy, popełniła jakieś przestępstwo, nie była dostatecznie zakryta. Słowa brzmią jednoznacznie groźnie, nawet dla mnie, choć nie znam arabskiego. Najwidoczniej na rozkaz mężczyzny kobieta pada na kolana i pokornie trzyma ręce z tyłu. Grupa wojowników jest znacznie większa niż na początku, wielu filmuje smartfonami zdarzenie, jeden z tych filmów trafi później do internetu – właśnie tu go oglądam. Jeszcze jeden krzyk, jeszcze jakaś sentencja wypowiadana podniesionym głosem. To wyrok. Skulona kobieta pochyla głowę. W dłoni wojownika pojawia się rewolwer. I natychmiast pada strzał, jeden celny strzał, prosto w głowę. A wraz z nim okrzyk: *Allah akbar!* I ponownie: *Allah akbar!*, ze wszystkich gardeł. Zabita zsuwa się z chodnika na jezdnię, nikt się nią nie interesuje, zabójca i jego koledzy odchodzą.

Nie szukałem tego filmu w internecie. Unikam takich filmów. Nie chcę być wspólnikiem zbrodni. Zbyt dobrze znam świat i ludzi, aby mieć jakiekolwiek złudzenia, aby szukać jakiegokolwiek potwierdzenia, że może się mylę. Ale jeden z kolegów dziennikarzy, kiedy rozmawialiśmy wieczorem o problemach świata i własnej bezradności, przerwał naszą rozmowę i powiedział, że coś mi pokaże. I pokazał. „Nigdy tego filmu nie skasuję", powiedział. „Robię to dla niej. Nie zapomnę nigdy twarzy tej kobiety, nigdy nie zapomnę tej anonimowej ofiary diabelskiej przemocy inspirowanej religią", wyjaśnił.

W oceanie zbrodni, który codziennie zalewa naszą niewielką planetę, ta biedna nieznana nikomu kobieta jest tylko małą kroplą. Muzułmańską kroplą w oceanie zbrodni dokonywanych na wyznawcach tej samej religii. Bez miłosierdzia, bez empatii, z zimną krwią, bezwzględnie, na oczach innych ludzi, w pełnym poniżeniu, bez szans na ratunek. Wobec tego, jaki los czeka niewiernych?

Dziennikarze przemieszczający się po świecie widzą wiele zabójstw, mordów, krwi. Na ich oczach ginie wielu ludzi. Zatrważające, na jak wiele sposobów. Egzekucja młodej muzułmanki, obwinionej o coś przez wojowników Allaha, na ulicy dalekiego obcego miasta należy do bezgranicznie brutalnych świadectw ludzkiego upadku. Nasza wobec nich bezradność czyni nas bezbronnymi. I to w każdym wymiarze.

Ale w tej scenie mordu – asystował mu podobno Bóg miłosierny, mordercy wykrzykiwali wszak jego imię – zatrważające jest coś jeszcze innego. Coś jeszcze innego powinno zaprowadzić sprawców tej egzekucji do ognia piekielnego, w który przecież wierzą. Połowa z nich dzierżyła w rękach smartfony, była więc ze światem, tym zewnętrznym, naszym światem, połączona. I tak oto jedno z narzędzi medialnej łączności między normalnymi ludźmi zostało wciągnięte we współuczestnictwo w morderstwie. Barbarzyńcy filmowali nie tylko dla siebie, swoich zwolenników i kolejnych ochotników gotowych wziąć udział w tej wojnie, nie tylko dla własnej satysfakcji i nie tylko po to, aby dać świadectwo swojej religijnej bezkompromisowości. Filmowali również dla nas, dla żyjących w świecie zewnętrznym. Abyśmy wiedzieli i byli wstrząśnięci. Abyśmy obawiali się i nie mieli złudzeń – śmierć może być blisko, a kiedy nadejdzie z rąk wojownika, będzie to śmierć zasłużona, sprawiedliwa.

Dla nas, opanowanych fetyszyzacją życia, śmierć, choć nieunikniona, jest zjawiskiem niepokojącym, spychanym w naszej podświadomości w otchłań, jest koniecznością niepoddającą się zdefiniowaniu. Tymczasem śmierć i świadomość, że nastąpi, są wiernymi towarzyszkami życia muzułmanina. Mówi o niej wielokrotnie i jednoznacznie Koran. Podobnie jak judaizm czy chrześcijaństwo, również islam naucza o nieuchronności śmierci. My w swoim zarozumialstwie wobec czasowości naszego istnienia budujemy ułudny świat nieśmiertelności. A nieśmiertelny według Koranu może być wyłącznie Allah, Bóg wszystkich ludzi, niezależnie od ich wiary. Warto o tym pamiętać. Koran uczy, że nasze życie jest podarowanym nam przez Allaha stanem przejściowym i to on zadecyduje o momencie naszego odejścia. Śmierć nazywana jest odwołaniem, człowiek powraca bowiem po ziemskiej wędrówce do Allaha. Dla muzułmanina śmierć nie jest katastrofą, jest wypełnieniem woli boskiej, a ta nie może być zła. Nawet jeżeli przychodzi z rąk innego muzułmanina.

Słowo „islam” oznacza uległość. Słowo „muzułmanin” oznacza kogoś, kto ulega, podporządkowuje się Allahowi. Według Koranu muzułmaninem nie może być ktoś, kto nie ulega, kto się całkowicie nie podporządkowuje. Skoro tak, ważne staje się pytanie, czego chce, czego żąda od wiernych Allah. Odpowiedzi dostarczają Koran i hadisy, opowieści składające się na tradycję islamską. Większość wyznawców wierzy, że Koran został Mahometowi objawiony. Nie od razu. Od 610, od momentu, gdy archanioł Gabriel przemówił do Mahometa, prorok spisywał wersety Księgi przez dwadzieścia dwa lata. Nie są to słowa proroka, są to słowa pochodzące od Boga. O czynach i słowach proroka opowiadają hadisy, spisane przez bliskich Mahometa i zebrane później przez uczonych w sześć tomów nazwanych od ich nazwisk. Ich autorytet uznają przede wszystkim sunnici. Szyici wiele z nich odrzucają, na przykład opowieść żony Mahometa Aiszy. W świecie niemuzułmańskim hadisy są mało znane, rzadko kto o nich słyszał. Szkoda, bo to one – opowieści o walce, przymusie, podporządkowaniu – są obok Koranu prawdziwym fundamentem współczesnego islamizmu. Konfrontacja islamu z naszą cywilizacją właśnie w nich ma swoje najbardziej żywotne źródła. Stąd wywodzi się także szariat, islamskie prawo określające obowiązki wiernych wobec Allaha.

Dlaczego muzułmanin jest zobowiązany wypełniać wolę Allaha, bezgranicznie mu się podporządkować i przypodobać? Dlatego, że islam jest religią czynów. Na raj trzeba zasłużyć życiem pełnym dzieł miłych Allahowi. I tylko on sam rozstrzyga, kto wyróżnienia tego doświadczy, na kogo spłynie jego bezgraniczna łaska.

Niestety, i to jest w życiu muzułmanina niezmiernie smutne, ale także bardzo dyscyplinujące, czy na to zasłużył, pobożny muzułmanin do końca życia nie wie. Sama pobożna wiara może nie wystarczyć. Jedynym, co gwarantuje wejście do raju, jest dżihad i śmierć w walce z niewiernymi. Dżihad to walka, jasno i prosto opisana walka przeciw każdemu, kto nie chce przyjąć islamu albo staje na drodze ekspansji wiary. Według islamistów walka ze wszystkimi, bo wszyscy ludzie innej wiary są poganami. Dżihad to w gruncie rzeczy swoista „umowa" między muzułmaninem a Allahem. Ty oddajesz życie, a ja wynagradzam cię po śmierci. Sura 4,74 obiecuje wszystkim, którzy swoje doczesne życie „sprzedadzą" za cenę przyszłego, walcząc w imieniu Allaha, wielką nagrodę. Allah wymaże ich grzechy i otworzy im wrota do rajskich ogrodów z wartkimi potokami. Zachęta, dosłownie potraktowana, przekształca się w wezwanie. A do tego, aby czym prędzej znaleźć się w boskiej oazie, najczęściej i najskuteczniej prowadzi dziś pas obwieszony ładunkami wybuchowymi.

Jak każda religia, islam nie pochwala zabójstwa. Ale są wyjątki. Jeden z nich to właśnie odebranie życia niewiernym w obronie wiary lub w walce o jej panowanie. Niewiernych można zabijać, śmierć pogan nie ma znaczenia, nie obciąża sumienia wojownika Allaha, wręcz przeciwnie, przynosi mu chwałę. Koran sankcjonuje również śmierć jako karę za bluźnierstwo, znieważenie Allaha, naruszenie kodeksu wiary, za apostazję. Taka śmierć też nie obciąża winą tych, którzy ją nakazali i wykonali. W większości krajów muzułmańskich istnieje i jest wykonywana kara śmierci, najczęściej przez powieszenie. W Arabii Saudyjskiej – przez ścięcie głowy, a także kończące się często śmiercią nieszczęśnika biczowanie. W Iranie i Pakistanie kobiety karze się za cudzołóstwo ukamienowaniem, podobno coraz rzadziej wykonywanym. Fanatycy islamscy nie poprzestają na „tradycyjnych" formach kary śmierci, rozszerzają katalog, dodając na przykład zakopanie żywcem, zrzucenie ze

skały lub wieży. W dobie cywilizacji cyfrowej powróciła też stosowana kilka tysięcy lat temu kara śmierci przez ukrzyżowanie, najbardziej hańbiąca dla skazanego.

Całospalenie jest natomiast w tradycji pobożnego islamu nieznane. Więcej – nawet zabronione, również podczas wojny, jak objaśnia szejk Salman al Oudah, bardzo wpływowy duchowny saudyjski. To kara zarezerwowana wyłącznie dla Allaha, tylko Allah ma bowiem prawo ukarania grzesznika ogniem piekielnym, ale już po jego śmierci. Tak powiedział prorok Mahomet. Dlatego spalenie żywcem jordańskiego pilota przez terrorystów Państwa Islamskiego jest niezwykle grzesznym występkiem przeciwko samemu Allahowi. Dwudziestoześcioletni pilot Moaz al-Kasasbeh może i powinien być uznany za prawdziwego męczennika, nawet poza islamem. Opublikowane przez barbarzyńców Państwa Islamskiego wideo z jego egzekucji to horror bezgraniczny. To straszne zdjęcia, pełne zbliżeń niewyobrażalnej śmierci. Sam rodzaj egzekucji i jej upublicznienie są kolejnym krokiem w stronę eskalacji zbrodni. W chorych umysłach barbarzyńców mają zszokować świat i przynieść im niepowtarzalny rozgłos. Przekaz jest czytelny – stać ich na wszystko, przed niczym się nie cofną. Wybierają sobie ofiary i rodzaj ich śmierci w zależności od celów, które chcą osiągnąć. W każdym przypadku liczą na powiększenie przestrzeni strachu.

Tu nie chodzi już wyłącznie o religię, o wojnę religijną. To jest wojna o charakter naszej cywilizacji, nawet jeżeli toczy się kilka tysięcy kilometrów od naszych domów. Rozmiar tragedii młodego pilota jest jednak tylko jedną stroną tego barbarzyńskiego wynaturzenia. Drugą, równie parszywą i bezgranicznie haniebną, jest obecność profesjonalnej ekipy, która jego egzekucję filmowała. To nie są zdjęcia zrobione przypadkową komórką, to nie są amatorskie ujęcia filmowane kupioną w markecie kamerą. To jest inscenizowane i profesjonalnie zmontowane. Tu zbrodniarzami są nie tylko terroryści, tu zbrodniarzami są także kamerzyści.

Spalenie ofiary w żelaznej klatce niewątpliwie stanowi olbrzymi wstrząs. I chociaż w dotychczasowym maratonie zbrodni niejedyny, właśnie on będzie miał daleko idące skutki. To punkt zwrotny w walce z Państwem Islamskim, które dotychczas mogło liczyć na mniej lub

bardziej ciche wsparcie własnego regionu. A tylko stamtąd może nadejść właściwa reakcja na występki islamistów, przesądzająca o ich klęsce. Stamtąd, gdzie nikt nie jest wolny od winy. Ktoś pozwolił zrodzić się temu monstrum, ktoś dostarczał mu pieniędzy i sprzętu, ktoś widział w nim bastion w walce z szyitami. Ktoś – w tym właśnie regionie. No i Zachód. Przez długi czas tchórzliwie spoglądał w bok, odwracał głowę, było mu na rękę rozbicie reżimu Asada w Damaszku, a islamiści pracowali na jego upadek. Stara zachodnia taktyka wypędzania Lucyfera z pomocą Belzebuba i w tym przypadku zrodziła Godzillę. Państwo Islamskie w żadnym momencie nie było partnerem do dialogu, nawet wówczas, kiedy wydawało się, że terroryści pokonają reżim Asada. Dziś tym bardziej nim nie jest.

Tradycja rendez-vous ze śmiercią w islamie nie pozostawia wątpliwości, że tak Sajida al-Rishawi, niedoszła samobójczyni, jak i Zijad al-Karbuli, terrorysta Al-Kaidy, powieszeni natychmiast po ujawnieniu spalenia jordańskiego pilota, w rodzinie islamistów stali się męczennikami za wiarę. Zwłaszcza al-Rishawi, która w 2005 w jednym z hoteli w stolicy Jordanii Ammanie wspólnie z mężem chciała wysadzić się w powietrze. Jej mąż zdążył się rozerwać na kawałki i pociągnąć za sobą w otchłań śmierci trzydzieści osiem osób. Zapalnik jego żony w ostatniej sekundzie nie zadziałał. Ona i terrorysta Al-Kaidy mieli wyjść na wolność w zamian za pilota. Rząd Jordanii nie doczekał się jednak znaków jego życia. Rokowania przerwano. Były farsą. Jordański porucznik Moaz al-Kasasbeh nie żył już od dawna. Został spalony miesiąc wcześniej.

„Wzywają was rajskie dziewice”, pisał do swoich wspólników w 2001, na krótko przed zamachem w Nowym Jorku z jedenastego września, Mohammed Atta. O tym, że męczennicy, którzy zginęli w walce dla islamu albo w jego obronie, natychmiast w nagrodę wędrują do raju, wie w krajach muzułmańskich każde dziecko. Słyszy o tym w każdej szkole koranicznej, gdzie wykładana jest Księga. Pociągająca wizja, zachęta tak urzekająca, że ziemskie życie staje się niewiele warte. Męczennik, szahid, spotyka w raju siedemdziesiąt dwie dziewice. Ale nie tylko on. Łaska, jakiej doznaje, spływa również na jego bliskich. Swoim czynem otwiera bowiem drzwi do raju również siedemdziesięciu członkom swojej rodziny. Dlatego jego najbliżsi nie płaczą po samobójczym czynie desperata. Rozpiera ich duma, sąsiedzi z całego serca im gratulują, mają już przecież swoje miejsce

w rajskim ogrodzie. A on sam? Co jest dla niego najważniejsze, gdy zapina na sobie śmiertelny pas? Mężczyzna szykujący się do tego bestialskiego czynu szczególnie troskliwie ochrania metalowymi miseczkami swoje genitalia. Cóż mu bowiem po nagrodzie, po czekających niecierpliwie w rajskich ogrodach dziewicach-hurysach, kiedy genitalia, jak ciało, rozlecą się podczas eksplozji na kawałki?

Ale czy wysadzenie siebie i innych w powietrze jest rzeczywiście prostą drogą do raju? Religijnie uzasadnioną? Doktrynalnie usprawiedliwioną? Czy gotowy na śmierć samobójca może być pewny obiecanej mu nagrody? Czy islamski samobójca albo zabójca z kałasznikowem w rękach może naprawdę liczyć na życie wieczne wśród wartkich potoków raju? Czy stanie się prawdziwym męczennikiem wyróżnionym po śmierci życiem bogatszym niż na ziemi? Zauważmy – wszyscy chętni do uruchomienia zapalnika i odejścia w aureoli męczeństwa kuszeni są nie tyle perspektywą obcowania twarzą w twarz z Allahem, ile orgiami seksualnymi, których opisy w tradycji arabskiej są wprost bezwstydne.

Koran zabrania haramu, samobójstwa. W czasach, gdy został objawiony, jak chcą sunnici, czy stworzony, jak twierdzą szyici, zamachy samobójcze w celu upowszechnienia islamu lub ukarania pogan nie były ani znane, ani tym bardziej praktykowane. Więcej, Koran straszy samobójców niezwykle dotkliwą karą w piekle i zapowiada, że będą musieli w piekielnej wieczności wciąż i wciąż powtarzać swój zabroniony czyn. No tak, ale przecież nie z opowieści tysiąca i jednej nocy, tylko z Koranu czerpią swoją duchową i religijną inspirację samobójcy i ich werbownicy. Z Koranu wywodzą tę współczesną metodę pozbawiania życia siebie i innych, dla nich stanowiącą dowód najwyższego oddania Allahowi i gwarancję jego późniejszej łaski.

W przeciwieństwie do judaizmu i chrześcijaństwa islam nie posiada żadnego centralnego urzędu teologicznego ani urzędu kapłańskiego o najwyższym autorytecie, których wykładnia substancji wiary nadawałaby powszechną poprawność interpretacji jej reguł. Koran jest wprawdzie jeden, ale tak wielowarstwowy i na tyle niejednoznaczny, że żadna interpretacja nie jest do końca satysfakcjonująca, podobnie jak tłumaczenia na inne języki przerastające możliwości najbieglejszych znawców arabskiego. Aby go właściwie zrozumieć, trzeba go właściwie usłyszeć, dać

się porwać arabskim rytmom. To jest – przynajmniej dla nas – praktycznie niemożliwe, a i w wielobarwnym świecie islamu niezwykle trudne do osiągnięcia. Nie wszyscy muzułmanie są przecież Arabami, w gruncie rzeczy większość nie jest, łatwo więc o fałszerstwo, nawet niezamierzone, łatwo o herezję. Stąd wezwania i modlitwy muezinów na całym świecie śpiewane są tylko w języku arabskim, bez tłumaczenia na lokalny język, stąd do rozsianych na globie meczetów przysyłani są arabscy imamowie, mający gwarantować ortodoksyjną wierność słowom Koranu. Trudność zrozumienia i jednocześnie bogactwo znaczeń sprawiają, że pojawia się wiele interpretacji w zależności od tak zwanych szkół koranicznych, tradycji, sporów wewnętrznych, okoliczności czy potrzeb.

W Koranie znajdziemy zresztą wiele sprzeczności. Raz chrześcijanie i Żydzi traktowani są z uznaniem, w innym miejscu skazani na piekło, jeżeli nie przejdą na islam. Raz zabójstwo jest potępione, innym razem tekst zachęca do rozlewu krwi. Raz mowa jest o tym, że muzułmanie nie powinni pić alkoholu, ale tylko przed pójściem w piątek do meczetu, kiedy indziej znów, że alkohol jest całkowicie zakazany. We wcześniejszych zapisach kobiety nie podlegały tak drastycznym zakazom, w późniejszych nakazuje im się siedzenie w domach i okrywanie głowy.

Wszystkie te rozbieżności zmusiły islamskich uczonych do wypracowania pewnego kanonu, do podjęcia decyzji o „ważności” wersetów. Ustalono, że decydujące będzie *nashk*, zniesienie, odwołanie. Skoro Koran spisywany był przez dwadzieścia dwa lata, według *nashk* objawienia późniejsze znoszą substancję objawień wcześniejszych. Jeżeli więc w surze 2 będzie mowa o miłości, przebaczeniu, miłosierdziu, a następująca po niej, nowsza, na przykład sura 10, mówić będzie o obowiązku bezlitosnej i bezwzględnej walki z niewiernymi, to wersety starsze tracą moc, praktycznie nie mają znaczenia, nie istnieją. Koran składa się ze stu czternastu sur, im sury młodsze, tym krótsze. To wielka księga. Aby poznać jej nakazy, aby wiernie się do nich stosować, trzeba dokładnie ją studiować, i to w języku oryginału. I rozmyślać o niej. I pytać znawców. I słuchać imamów.

Nawet jednak uczeni znawcy Koranu różnią się w ocenie zarówno stosowanej przez zamachowców terrorystów praktyki samobójstw, jak i ich skutków. Niektórzy skłonni są zgodzić się, że w określonych

okolicznościach ich czyny są dopuszczalne i religijnie legalne, inni pochwalają jedne zamachy, a potępiają drugie. Tylko niewielka grupa uważa je za niedopuszczalne i traktuje jako bluźniercze wobec Allaha. Generalnie uczeni i teologowie islamscy odrzucają jako „nieislamskie" terrorystyczne i samobójcze zamachy wymierzone w kobiety i dzieci – mężczyźni najwyraźniej mogą być mordowani – nie wyjaśniając przy tym, jaki jest pośmiertny los muzułmańskich ofiar tych zbrodniczych czynów. Czy także wędrują prosto do raju? Czy także są męczennikami na równi ze swoimi zabójcami? Też oczekują ich w raju potoki wartkiej wody, stoły zastawione owocami i rozkoszne dziewice?

Założyciel Hamasu, organizacji zdefiniowanej jako terrorystyczna, szejk Ahmad Jasin popierał zamachy wymierzone w Izraelczyków – według niego były nie tylko uzasadnione, konieczne, ale i sprawiedliwe. Jego argumentacja była prosta i na swój sposób zrozumiała. Mówił: „Gdybyśmy mieli samoloty, czołgi i rakiety, moglibyśmy zastanowić się nad zmianą naszej taktyki, a tak możemy walczyć tylko naszymi rękoma i poświęcać samych siebie". Jak wiadomo, chętnych mu nie brakowało. Z kolei żyjący w Katarze islamski teolog i uczony Jusuf al-Kardawi potępia wprawdzie jako „straszliwą zbrodnię" zamachy w Nowym Jorku, Madrycie i Londynie, ale akceptuje i honoruje samobójcze zamachy palestyńskich terrorystów wymierzone w Izrael i jego mieszkańców. „To wspaniała broń, którą Allah powierzył pobożnym", twierdzi. Żadna inna broń nie może bowiem wroga trafić lepiej i skuteczniej od zamachu samobójczego. Giną przy okazji także kobiety i dzieci? No cóż, ich śmierć nie jest zamierzona, a jeżeli się zdarzy, to islamski teolog wytłumaczy ją „koniecznością wojenną", która, według islamu, zwalnia z przestrzegania boskiego nakazu „nie zabijaj".

Rozbieżność między zakazem samobójstwa, obłożonego surową karą, a dobrowolną śmiercią w zamachu terrorystycznym, wynagradzaną życiem wiecznym w raju, tylko w jeden sposób możemy wytłumaczyć: pierwsze jest przestępstwem i występkiem przeciw Allahowi, drugie miłym mu męczeństwem, więc już nie samobójstwem. Nic dziwnego, że w krajach muzułmańskich, gdzie nie brakuje zamachowców samobójców – praktycznie wszyscy pochodzą z obszaru islamu – statystyki rzeczywistych samobójstw wykazują wartości najniższe na świecie. Zmarły w 2010 szejk Muhammad Tantawi, były rektor islamskiego uniwersytetu w Kairze,

w swoich wystąpieniach podkreślał prawo każdego muzułmanina, każdego Palestyńczyka i każdego Araba do wysadzenia samego siebie w powietrze, o ile zachowa w czystości serca gorącą intencję zabicia Izraelczyków z wyłączeniem kobiet i dzieci. Tak więc, co innego odebrać sobie życie z miłosnego zawodu, a co innego z przekonania i siły wiary w walce z wrogiem. W tym ostatnim przypadku mamy do czynienia wyłącznie z męczennikami.

No cóż, niewiele wiemy o życiu, problemach i kłopotach wyznawców islamu, które mogą prowadzić do tak desperackiego kroku jak odebranie sobie życia. Niewiele wiemy również o naukach, wykładni i interpretacji Koranu prowadzących młodych mężczyzn do samobójczego „uświęconego" czynu męczeństwa. W naszych oczach każdy, kto wysadza się w powietrze i pociąga za sobą inne ofiary, dokonuje przestępstwa. Jest zabójcą, jest terrorystą i jest samobójcą. Przed taką oceną jego czynu bronią się jednak islamscy teologowie. Panuje przecież stan wyjątkowy, mówią, w którym to, co zabronione, jest dozwolone, usprawiedliwione. Twierdzą, że zrównywanie bohaterskiego czynu samoofiary z czystym samobójstwem jest narracją izraelsko-zachodnią mającą odwieść młodych muzułmanów od wejścia na drogę męczeństwa. Ich opinia znajduje w świecie arabskim zrozumienie i poparcie. Arabia Saudyjska, na przykład, choć ze względów wizerunkowych oficjalnie nie pochwala terrorystów samobójców i wiele razy we własnym interesie skutecznie im przeciwdziałała, zapewnia jednocześnie palestyńskim rodzinom takich samobójców trwałe finansowe wsparcie.

A zatem z punktu widzenia upowszechnionej wykładni islamu męczennik nie jest samobójcą. Zabity w walce, zabity w dżihadzie nie musi czekać w grobie jak inni na decyzję Allaha. Idzie do raju w chwili śmierci. Dlatego grzebany jest wedle odmiennego rytału niż zwykli śmiertelnicy. Przed złożeniem do grobu nie jest obmywany, chowa się go tak, jak zginął, w zakrwawionych szatach, a wierni nie modlą się w jego intencji, bo on tego nie potrzebuje. To raczej oni potrzebują jego wsparcia. Nie jest też odpytywany, jeszcze w grobie, jak wymaga tego Koran, na okoliczność swojego ziemskiego życia. Cała ta decydująca o dalszym losie procedura będzie mu zaoszczędzona, bo swoją samobójczą męczeńską śmiercią sam otworzył sobie drzwi do raju.

Takiej ścieżki do raju nie wymyślili biedacy z arabskich bazarów. Została im wskazana przez uczonych w piśmie i tradycji, którzy wiedzieli, jak zinterpretować Koran i hadisy. O jednym wszak zapomnieli. Nie wyjaśnili dotąd, jaka nagroda oczekuje na rozrywane w eksplozjach na strzępy kobiety samobójczynie, a przecież ich liczba znacznie wzrosła w ostatnich latach. Być może ta ofiara w ogóle się nie liczy, skoro nawet śmiertelny pas wokół bioder nie zmienia ich statusu – wciąż pozostają tylko kobietami podległymi, jak mówi ich wiara, pobożnym mężczyznom.

Właściwie w niczym innym tak bardzo jak w teologicznym stosunku do samobójczej śmierci, uważanej za akt męczeństwa, nie przejawiają się różnice między islamem a judaizmem i chrześcijaństwem. Być może dlatego akty te są dla nas tak odpychające, tak deprawujące nasze zrozumienie wartości życia człowieka jako takiego, tak budzące naszą grozę. Judaizm zna w swojej historii, czy raczej prehistorii, śmierć samobójczą jako akt najwyższej wierności wobec wiary i jej obrony. Rozpaczliwy akt samounicestwienia podejmowany w sytuacjach ostatecznych, aby nie popaść w niewolę religijną, dokumentujący gotowość do własnego cierpienia w imię rezygnacji z gwałtu wobec innych. Chrześcijaństwo zna męczeństwo jako ofiarę. W męczeństwie chrześcijanina dostrzegamy daninę krwi, która przez cierpienie łączy je w nieodwracalny sposób z ofiarą Jezusa. Chrześcijański męczennik, upokorzony zadaną mu śmiercią, przyjmując ją, daje wyraz niepodważalnej osobistej wierności wierze. W księdze historii chrześcijaństwa nie brakuje bardzo krwawych stronic – wypraw krzyżowych, morderstw i zabójstw w imię Zbawiciela, wojen religijnych i przymusu nawrócenia – zapisanych niezliczonymi męczennikami po drugiej stronie. Mimo to pojęcie „męczennik” zawsze w tradycji chrześcijaństwa oznacza rezygnację z użycia siły wobec drugiego. Chrześcijański męczennik nie jest zabójcą, nie jest zamachowcem samobójcą. Umiera sam.

Teologiczne znaki zapytania, rozdzielanie włosa na czworo, przywoływanie Koranu dla podbudowania własnej wizji drogi do raju, doktrynalne wątpliwości uczonych islamskich dla nas nie mają wielkiego praktycznego znaczenia, skoro nie brakuje chętnych do założenia pasa z dynamitem. Cóż nam z potępienia ich czynów przez niektórych światlejszych imamów, jeśli sam Allah nie jest w stanie powstrzymać ich

zbrodni? Przecież według Księgi nie kto inny jak tylko Allah na końcu drogi świata sam zadecyduje, kto zasługuje na miano męczennika, a kto nie. Właściwie powinien stąd wypływać nakaz pokory, nie wypada bowiem samemu przymierzać stroju aktora świętej wojny. A jednak tak się dzieje. Religijny przymus uległości wobec Allaha i trwoga, czy zostanie się wpuszczonym do raju, są decydującymi motywami dla bezkompromisowego złożenia ofiary z własnego życia.

Dżihad dominuje w Koranie, chociaż samo słowo pojawia się jedynie czterdzieści jeden razy. W większości chodzi o duchową strawę, o walkę z własnymi słabościami, z własnym samolubstwem, o samodoskonalenie. W jedenastu przypadkach Koran wymienia dżihad jako narzędzie walki o islam, i tu nie brakuje już drastycznych sformułowań. Mowa jest o niewiernych, o poganach wielbiących bożki, o niemuzułmanach. Ale pamiętajmy, skoro nie chcą o tym pamiętać sami spychający młodych chłopców do piekła werbownicy – wersety te pisane były czternaście wieków wcześniej, nie tyle w pierwszej fazie ekspansji islamu, ile w okresie nieustępliwej walki Mahometa z konkurentami, okresie pełnym zagrożeń dla jego fizycznego istnienia. Po czternastu wiekach od tamtych czasów stanowią dla dzisiejszej wywiedzionej z Koranu tolerancji dla terroryzmu samobójczego prawdziwe wyzwanie. I jest to wyzwanie tak dla nas, jego ofiar, jak i przede wszystkim dla tych, którzy islamem żyją, wierzą weń i składają mu swoje życie w ofierze.

Jesteśmy przecież świadkami przewartościowań w definiowaniu pojęcia „męczennik” – od wczesnoreligijnej osobistej ofiary, od daniny krwi w imię wiary i jej zasad, od ostatecznego wyznania wiary ku celowej krzywdzie, zranieniu, wreszcie dramatycznej śmierci ofiar zamachów samobójczych. Celem są muzułmanie, chrześcijanie, wyznawcy judaizmu, ale i wolnomyśliciele, agnostycy, laicy, ateiści. Wszyscy oni, najczęściej przez zwykły przypadek, trafili na celowniki wojowników Allaha, stali się wehikułem niosącym swych zabójców prosto do raju. Nie możemy się na to zgodzić. Nie możemy używać tej samej semantyki co zbrodniarze. Nie wolno nam mówić o męczennikach. To kolejne, niezasłużone poniżenie ich ofiar.

Tyle my. A muzułmanie? Czy ci wszyscy żyjący wokół nas i gdzieś obok biorą udział w tajemnym spisku i w piwnicach szykują bomby? Oczywiście

nie. Nie wszyscy też wierzą dokładnie w to samo co inni. Podobnie jak w chrześcijaństwie. Są bardzo pobożni tradycjonaliści i ortodoksi, fundamentaliści i muzułmanie – tak ich nazwijmy – świeccy. Ostatni dominują zresztą wśród wyznawców Allaha. Islam jest dla nich spokojną, pogodną religią, akceptują jego rygorystyczne zasady, ale niekoniecznie się do nich stosują. Oni także są ofiarami zamachów, pamiętajmy o tym. Muzułmanie tradycjonaliści wiele czasu poświęcają na studiowanie islamu, wiedzą dokładnie, co oznacza dżihad, nie są mu przeciwni, chociaż wielu z nich rozumie go raczej jako spór, dysputę, jako rodzaj duchowej rozterki. Niełatwo ich namówić na udział w wojnie, ale kiedy trzeba, nie odmówią swojego wsparcia. No i fundamentaliści – to ich się boimy. Większość nosi brody, okrycia głowy, tradycyjne stroje. Chcą żyć dokładnie tak, jak kiedyś żył Mahomet. Mówią o sobie, że praktykują prawdziwy islam. No i chcą nas nawracać, to jest ich pobożne zobowiązanie, ich praca na rzecz Allaha, ich droga do raju. Żeby mieć ostateczną gwarancję otwarcia rajskich bram, wysadzają się w powietrze, ale nie sami.

Bez względu na częstotliwość przeprowadzanych przez nich zamachów, liczbę ofiar i rozległość strat, bez względu na charakter destabilizacji, która jest skutkiem samobójczych aktów terroryzmu, nad bólem rodzin ofiar, nad bezradnością zranionych, nad wściekłością świadków i strachem wszystkich wokół zawsze rozlega się głos ekspertów, znawców i polityków mówiących nam, że islam to religia pokoju. Ma nas to uspokoić, zredukować nasz paraliż, powstrzymać rewanż. I powstrzymuje, chociaż niekoniecznie dlatego, że jesteśmy przekonani i uspokojeni. Po kilku latach terroru wiemy bowiem, że wszelkie próby teoretycznego rozdzielenia w islamie religii od polityki skazane są na fiasko i nadają się co najwyżej do telewizyjnych talk-show z udziałem dyskutantów pełnych dobrej woli, ale z zamkniętymi oczami. Nie rewanżujemy się wysadzaniem w powietrze. Takiego kroku ani nie usprawiedliwiają nasze religie, ani nie cenimy śmierci wyżej od życia.

Kiedy islamscy teologowie i działacze przekonują nas, że islam to religia pokoju, w dużej mierze oddają się tak zwanemu pobożnemu życzeniu. Można im uwierzyć, że chcieliby, aby tak było. Ale nie jest. Nie inaczej zresztą jak w innych przypadkach – na przykład w opisach sytuacji kobiet w islamie. W Parlamencie Europejskim w Brukseli można być w ciągu roku

świadkiem wielu spotkań, podczas których padają niezliczone zaklęcia o równoprawnym statusie kobiet. Bardzo przekonująco mówią o nim zwłaszcza zaproszone na takie spotkania muzułmanki ubrane w hidżab. Noszenie chusty na głowie lub burki jest zawsze osobistą decyzją kobiety, tak nam się to przedstawia. Przecież, rzekomo, gdyby nie chciała, toby się tak nie ubrała. Przywoływane są słowa Koranu o kobiecie jako o pełnowartościowym dziele stwórcy, o tym, że kobiety są zrównane w prawach z mężczyznami, że Koran gwarantuje im wszystkie niezbędne prawa. Piękne życzenia, i niespełnione.

Nie trzeba nawet natychmiast wzywać imama, aby rozstrzygnął wątpliwości, wystarczy odejść kilkaset metrów od budynków parlamentu, aby spojrzeć rzeczywistości w oczy. Tak, równe prawa kobiety to nic innego jak pobożne życzenie. W muzułmańskich dzielnicach Brukseli praktykowane jest na co dzień nie podniosłe uniesienie z sali parlamentu, ale literalne przywiązanie do Koranu. Cóż bowiem mówi Koran o kobietach, które według dobrych ludzi w parlamencie nie powinny narzekać? Które mijamy na ulicach Brukseli?

Wyliczmy główne reguły. Mężczyzna może poślubić cztery żony, jeżeli jest w stanie je utrzymać, kobieta może mieć tylko jednego męża. Kobiety dziedziczą w spadkach tylko połowę tego, co otrzymują mężczyźni. O rozwód występuje tylko mąż, kobieta nie ma takiego prawa. Kobiety oddzielnie modlą się w meczetach, aby nie rozpraszać mężczyzn. Stosująca się do nakazów Koranu kobieta nie może opuścić domu bez zgody męża. Kobiecie nie wolno otworzyć drzwi domu, jeżeli nie ma w nim męża, nawet jeżeli stoi przed nimi jej brat lub bliski kuzyn. Kobiecie nie wolno odmówić współżycia seksualnego z mężem, a jeżeli tak uczyni, mąż może ją do tego fizycznie zmusić. No i kwestia – pisałem już o niej wcześniej – czy kobiecie samobójczyni przysługuje w raju noc z kochankami czy też w nagrodę jest tylko jedną z siedemdziesięciu dwóch dziewic?

Ale w przedstawianiu nam islamu jako religii pokoju, poza pobożnym życzeniem, którego nie mamy prawa odmawiać muzułmanom, o wiele ważniejsze jest celowe, stosowane z premedytacją zwodzenie, mamienie, jednym słowem, oszustwo. Oszustwo dla osiągnięcia celu – nawrócenia na islam. Oszustwo także jest orężem w dżihadzie uprawianym słowem. I to skutecznym.

Pojednanie, bliskie sąsiedztwo z chrześcijaństwem, kooperacja i pokojowe współżycie to nasza semantyka, bliska naszej tradycji i doświadczeniom narracja. Tyle że według islamskiego prawa istnieją dwa gatunki narodów – pierwszy, najważniejszy, należy do domu islamu. Drugi należy do domu wojny. To my. To nasze społeczeństwa, wśród których żyją także muzułmanie. Nigdy nie przedłożą oni lojalności wobec nich nad lojalność wobec religii. Gdyby było inaczej, nie mielibyśmy problemu z burkami, zakazem jadania kanapek z wieprzowiną w szkołach, nie byłoby oddzielnych lekcji pływania dla chrześcijan na basenach publicznych, nie byłoby problemu szariatu, nie byłoby „Charlie Hebdo".

W skrajnych sytuacjach domem wojny mogą stać się społeczeństwa czysto muzułmańskie, jeśli w opinii radykalnych islamistów nie żyją według reguł stricte fundamentalistycznych. Większość państw arabskich czy muzułmańskich to nie są państwa islamskie w ich rozumieniu. Nie zapominajmy! Dla nich pierwszym wrogiem są bracia, sąsiedzi, własne państwa, którym odmawiają lojalności, zwalczając je i tępiąc. Zamachy samobójców w Bagdadzie, eksplozje na targowiskach i przed meczetami mają zabić i zniszczyć nie chrześcijan, nie francuskich wolnomyślicieli, nie belgijskich policjantów, ale muzułmańskich współbraci, niewystarczająco uległych, niedostatecznie gotowych na dżihad z własnym państwem i całym światem. I nie jest to kwestia osobistego stosunku do struktur państwa jako takiego – walkę z nim nakazuje po prostu religia. Wszystkie ruchy i organizacje fundamentalistyczne w państwach arabskich zakazują swoim członkom jakiejkolwiek kooperacji z instytucjami tych państw – nawet ich obrony przed agresją. Wielu Palestyńczyków walczy z Izraelem jako okupantem ich ziemi i ginie w tej walce, ale z punktu widzenia radykalnego Hamasu nie do końca jest to dżihad prawdziwy – tym jest wyłącznie walka z wrogami Allaha (wszystkimi) i walka o odzyskanie Kubatt as-Sahra, Kopuły na Skale.

Muzułmanie wierzą, że skuteczna wojna opiera się na oszustwie, a celowe kłamstwo jest najważniejszym elementem jej taktyki. Stąd reguła dozwolonego kłamstwa, bardzo dla naszej cywilizacji i jej prawnego porządku niebezpieczna. Tysiące uchodźców z krajów arabskich napływa falami do Europy Zachodniej. Nie mają dokumentów, nie mają świadectw, nie mają niczego, co mogłoby uwiarygodnić ich trudne i niebezpieczne

przeżycia. Ich wejście w system zachodniej cywilizacji opiera się wyłącznie na zeznaniach, opowieściach i osobistej wiarygodności. I Zachód im wierzy. Nie tylko dlatego, że nie ma wyjścia, przede wszystkim dlatego, że tak nakazuje mu własny porządek prawny, który nie zakłada z góry wiarołomstwa i celowego oszustwa. Dlatego w państwach prawa tak niezwykle ważny, właściwie najważniejszy, jest osobisty podpis. Zastępuje wszystko, jest gwarancją prawdomówności.

To piękna reguła, oparta na wielkim kapitale zaufania. Nie jest bezpłatna, bowiem kłamstwo nawet udowodnione po latach oznacza śmierć cywilną. Przekonała się o tym na własnej skórze Ayaan Hirsi Ali, holenderska działaczka polityczna, a nawet posłanka do parlamentu, uchodźca z Somalii, aktywistka, która odeszła od islamu i podjęła się wytrwałej z nim walki. W 2006, piętnastego maja, odebrano jej obywatelstwo holenderskie i wkrótce potem Ayaan opuściła Niderlandy, wyjechała do USA, gdzie związała się z neokonserwatywnymi ośrodkami politycznymi. Powód: w 1992 skłamała podczas przesłuchania w sprawie azylu. Procedura odebrania jej obywatelstwa trwała jeden dzień, co graniczyło z urzędową zemstą.

Kłamać według reguł islamu wolno. Więcej, kłamstwo jest wskazane i traktowane jak skuteczna broń, jeżeli tylko służy zwycięstwu islamu. I jeszcze więcej – dozwolone jest nawet oszukańcze wyparcie się własnej wiary, religijne zaprzaństwo, jeżeli tylko posłuży Allahowi. Kłamać wolno w warunkach nadzwyczajnych, wojennych, ale również wtedy, gdy kłamstwo ma powstrzymać Zło.

Nasz problem polega na tym, że nie my decydujemy, co jest Dobrem, a co Złem. Wszystkie systemy polityczne – demokratyczne i dyktatorskie – są według islamskich fundamentalistów dziełem ludzi, a nie Boga, więc są nieważne. Jedyną dopuszczalną formą organizacji jest islam, tak w odniesieniu do religii, jak i struktur państwa.

Sayyid al-Abu al-Ala Maududi, islamski uczony z Pakistanu, duchowy przywódca fundamentalistów i jeden z największych interpretatorów Koranu nauczał:

> Islam nie jest normalną religią jak wszystkie inne religie świata, a narody islamskie nie są normalnymi narodami. Narody islamskie są

> czymś szczególnym, ponieważ otrzymały od Allaha rozkaz panowania nad całym światem i dominacji nad każdym innym narodem świata. Islam jest rewolucyjną wiarą, która jest po to, aby zniszczyć każdą formę państwa stworzoną przez ludzi.

Zniszczyć. Można niszczyć nas słowem, ale skuteczniej jest mieczem.

Liberté, égalité, fraternité? Islamitié!

Dzień po zamachu na redakcję „Charlie Hebdo” w Paryżu, ósmego stycznia, zwiedzałem pałac Topkapi w Stambule. Dzień wcześniej informacje o egzekucji francuskich rysowników i dziennikarzy zdominowały doniesienia mediów tureckich, ale bez znajomości tureckiego trudno mi było ocenić dramat zamachu terrorystycznego, jego rozmiar, znaczenie i przede wszystkim charakter reakcji na zamach w komentarzach medialnych. Rozmawiałem z tureckimi przyjaciółmi, ale i oni nie bardzo wiedzieli, co powiedzieć. Dominowało kłopotliwe przygnębienie, zamachu dokonali przecież terroryści muzułmańscy. Takie zdarzenia zawsze są ewidentnym dowodem na przełamanie jeszcze jednej bariery w naszej cywilizacyjnej konfrontacji i nigdy niczego dobrego nie wróżą. Moi gospodarze byli więcej niż zażenowani, czuli się w obowiązku podkreślać, że wynaturzony terroryzm islamski nie ma nic wspólnego z ich religią. Ale, co w tej sytuacji zrozumiałe, kilka spędzonych w Topkapi godzin upłynęło nam na smutnych osobistych refleksjach, które mimo woli zmieniły charakter doznawanych wrażeń.

Jeśli wierzyć nie tyle własnym oczom, co opisom zgromadzonych w Sali Tronowej pałacu eksponatów, wiele z nich należy do najważniejszych islamskich relikwii. Miecz Mahometa, ślady jego stopy odciśniętej w kamieniu podczas wstępowania proroka do nieba (jedne z sześciu zachowanych), jego łuk i strzały, kielich, z którego pił, laska, na której się wspierał, płaszcz, którym się okrywał, kilka włosów z brody proroka, a nawet kawałek zęba, ułamany w 625, podczas bitwy z obrońcami Mekki. Poza nimi muzeum eksponuje również miecz Dawida, jeden z pierwszych egzemplarzy Koranu należący do kalifa Usmana Ibn Affana, suknię Fatimy, fragmenty wezwania Mahometa skierowanego do Mukaukasa, przywódcy Koptów, aby przeszedł na islam. Przyciąga wzrok zwiedzających laska

Mojżesza, podobno ta sama, którą uderzył w skałę, aby uwolnić wodę i napoić spragnione dzieci Izraela.

Eksponatów, pilnowanych przez uzbrojone straże, nie wolno fotografować, a ich podziwianiu towarzyszy wielkie religijne skupienie. Eksperci powątpiewają w autentyczność większości tych przedmiotów, ale dla zwiedzających muzeum nie ma to większego znaczenia. Większość z nich to muzułmanie, sporo jest Chińczyków, nie brakuje też zachodnich turystów. Być może jest to już jedna z ostatnich okazji, aby muzeum zwiedzić i wniknąć nieco w tajemniczą atmosferę islamu. Ten w Topkapi, choć w wielu muzealnych opisach słowo „dżihad" rzuca się w oczy, pozbawiony jest uderzającego w nas ostrza fanatyków, w końcu relikwie opowiadają historię, a nie teraźniejszość. Tureccy fundamentaliści, i nie tylko tureccy, prowadzą wielką kampanię i naciskają na władze, aby zabroniły nam wstępu do muzeum. Islamskie relikwie nie są dla niewiernych. Świeckość państwa tureckiego jest systematycznie redukowana, niewykluczone więc, że ich postulaty zostaną spełnione.

Pierwszy o dramacie w redakcji „Charlie Hebdo" w Paryżu poinformował Reuters. Siódmego stycznia, w 2015, o dwunastej pięć agencja wysłała pilną krótką depeszę informującą o strzelaninie i dziesięciu ofiarach. Rozmiar tragedii, jej charakter i sprawców poznaliśmy później. Francuzów zamach trafił w samo serce – niezależnie od ich poglądów, preferencji i skłonności politycznych, stanowisk i wpływów. A kilka godzin później również wszystkich innych w Europie i na świecie, którzy oczami wyobraźni widzieli się pośród ofiar. Przy redakcyjnym stole w chwili zamachu siedziało piętnaście osób. „Gdzie jest Charb?!", wykrzykiwali zamaskowani zamachowcy. Stéphane'a Charbonniera, redaktora naczelnego tygodnika, który od dawna liczył się z najgorszym, osłaniał ochroniarz. Obaj zginęli jako pierwsi. „Wolę zginąć, niż żyć na kolanach", mówił wielokrotnie wcześniej Charb. Jego ostatni rysunek w tygodniku, opublikowany akurat w dniu zamachu, pokazywał niechlujnego dżihadystę. Napis nad nim głosił: „Do dziś nie było jeszcze żadnego zamachu we Francji". Z ust wojownika płynęły słowa: „Nie ma pośpiechu, mamy czas do końca stycznia, aby przysłać życzenia". Prorocza intuicja i prowokujące słowa. Wojownicy Allaha spełnili życzenie Charba w najbardziej drastycznej formie. Gdyby wysadzili w powietrze wieżę Eiffla, Francuzi nie

byliby tak głęboko poruszeni i dotknięci tragedią jak w wypadku zamachu na „Charlie Hebdo”. Terroryści strzelali do grupy zgromadzonych przy stole rysowników. Trafili wszystkich.

„Charlie Hebdo” to jeden z najbardziej prowokujących tygodników, a w opinii muzułmanów jeden z najbardziej agresywnych, bluźnierczych tytułów prasy francuskiej. Nie każdy czytywał „Charlie Hebdo”, nie każdy akceptował jego karykaturalny opis świata i ludzi. Pismo było typowym produktem niszowym. Niektórzy nazywali je szmatławcem i z pewnością mieli sporo racji, kiedy odczuwali dyskomfort wywołany prostackim rysunkowym skrótem kpiącym z wrażliwości i dobrego smaku. Pismo, o profilu ewidentnie antyislamskim, miało stosunkowo niewielki nakład, zaledwie trzydzieści tysięcy egzemplarzy, redakcja ustawicznie wzywała sympatyków do hojnego wsparcia. W morzu francuskiej prasy było praktycznie niewidoczne. Poza wydaniami komentującymi w komiksowej manierze dramatyczne zdarzenia. Ale Francja, podobnie jak sąsiednia Belgia, jest właśnie ojczyzną komiksów, *bandes dessinées*, nieznającego świętości karykaturalnego rysunku. To absolutny wręcz wyraz wolności wypowiedzi z jej nieodłączną cechą, jaką jest dystans do samego siebie. Tak to widzą Francuzi, inni już niekoniecznie. Dla pierwszych karykaturalny rysunek nie obala porządku świata, mniej lub bardziej dowcipnie go komentuje, dla wielu innych przekracza dozwolone granice. Muzułmanów nie interesują karykatury opisujące dekadencję Zachodu. Do uderzenia wzywają ich rysunki odnoszące się do ich religii. Znajdują sojuszników wśród tych, których razi przerysowanie i celowa prowokacja. Mówią oni: nie o sam rysunek chodzi, ale o umysły tych, którzy go tworzą i publikują.

To ironia losu, że wkrótce po zamachu nakład tygodnika wzrósł do siedmiu milionów egzemplarzy, chociaż żaden myślący człowiek nie powinien mieć złudzeń. Stojący w kolejkach poruszeni wydarzeniami czytelnicy wyrażali nie tyle akceptację dla oferowanych w piśmie karykatur Mahometa, ile sprzeciw wobec zbrodniczego czynu. Te siedem milionów egzemplarzy tygodnika kupiono w obronie wolności słowa. Wolności słowa stanowiącej w demokratycznym systemie fundament cywilizacyjnego porządku. „Charlie Hebdo”, enfant terrible francuskiej prasy, chętnie

granice tego porządku samolubnie naruszał lub konfrontacyjnie się do nich zbliżał. Na celowniku islamistów znalazł się już dawno.

Kiedy w 2005, trzydziestego września, duńska gazeta „Jyllands-Posten” opublikowała pod nagłówkiem „Twarz Mahometa” całą stronę z karykaturalnymi rysunkami proroka, dotknięci poczuli się muzułmanie mieszkający w Danii i w najdalszych zakątkach świata. Miliony wyznawców islamu groźnie demonstrujących przeciw bezgranicznemu, ich zdaniem, bluźnierstwu, nie miało często pojęcia, gdzie leży Dania, nie znało też karykatur Mahometa będących przedmiotem oburzenia, prasa w ich krajach przecież ich nie opublikowała. A mimo to gotowi byli obciąć głowy wszystkim, którzy stanęli po stronie redakcji. W krwawych protestach daleko od Danii zginęło ponad pięćdziesiąt osób.

W 2006, ósmego lutego, „Charlie Hebdo” opublikowało kilka rysunków z duńskiej gazety. Tytułowa strona pisma przedstawiała karykaturę Mahometa z napisem: „To jest trudne być kochanym przez idiotów”. W pełnej oburzenia reakcji muzułmańskie organizacje we Francji skierowały pozew do sądu. Rok później redakcja proces wygrała. I chociaż sądy we Francji są niezależne, nie da się wykluczyć, że na wyrok sądu miała wpływ wielka kampania wsparcia i solidarności z redakcją, z udziałem prezydenta kraju Sarkozy’ego i Hollande’a, jego ówczesnego politycznego konkurenta i dzisiejszego przywódcy państwa. Obaj nie mieli wątpliwości, po której stanąć stronie. Już wtedy redaktor naczelny pisma potrafił skomentować ataki islamistów słowami: „Uśmiech zabija”. Od tego momentu redakcja była chroniona przez policję – dziewięć lat przed zamachem, który pozbawił życia właściwie cały jej zespół.

Kilka tygodni po lutowej publikacji redakcja „Charlie” znowu dolała oliwy do ognia. Opublikowała manifest w proteście przeciw islamizacji kraju, notabene podpisany również przez wielu autorów muzułmańskich. Manifest przestrzegał przed postępującym zagrożeniem ze strony islamu szykującego nam nowy ogólnoświatowy porządek totalitarny. Przestrzegał przed jego ekspansją nie w dalekiej Syrii czy Iraku, ale w domu, we Francji. Także po tej publikacji policyjna ochrona redakcji została wzmocniona.

W 2011, w listopadzie, redakcja „Charlie Hebdo” padła ofiarą podpalenia. W dniu zamachu pismo ukazało się z rysunkiem Mahometa na

stronie tytułowej i napisem: „Sto uderzeń batem, jeżeli nie umrzecie ze śmiechu”. Ukarane zostało ogniem. Rok później rząd francuski skrytykował je za kolejne karykatury, tym razem opublikowane jako komentarz do wydarzeń wokół konsulatu USA w libijskim mieście Benghazi. Chodziło jednak nie o ich treść, tylko o sam moment publikacji – w i tak już gorącej atmosferze obaw i napięcia. Redakcja ponownie otrzymała ochronę policyjną.

Na początku 2013, po opublikowaniu drugiego stycznia komiksowej biografii Mahometa, „Charlie Hebdo” ściągnęło na siebie gniew reżimu w Iranie. Rząd w Teheranie widział karykatury Mahometa w szerszym kontekście „syjonistycznego” spisku, a taka kwalifikacja u Strażników Rewolucji w Iranie ma swoje konsekwencje. To wprawdzie oczywista przesada, ale tym bardziej dla członków redakcji groźna. Mało znacząca paryska gazeta, forum wolnej ekspresji grupy zasłużonych, niektórych już w wieku emerytalnym, rysowników i karykaturzystów awansowana została do roli głównego przeciwnika. „Charlie Hebdo” wykpiwało i wykpiwa również księży i biskupów, nie oszczędza katolicyzmu (na przykład z okazji Bożego Narodzenia pismo zamieściło rysunek przedstawiający kopulację Świętej Trójcy), jest forpocztą laicyzacji, nie ukrywa swej nienawiści do religii, ale tylko muzułmanie widzą w nim własnego diabła. Charb i jego koledzy dobrze znali tego diabła z własnego doświadczenia – z sąsiedztwa. Islam i zagrożenie jego ideologią, przed którym przestrzegali, to była ich codzienność, potykali się o nie każdego dnia. Nie zajmowali się więc wynurzeniami odległych od Francji islamskich kaznodziejów, nie potrzebowali tego ani nie musieli sięgać tak daleko. Wystarczył im własny, francuski islam tuż za oknem. Katolicyzmem paryscy rysownicy nie przejmowali się aż tak, wiadomo, katolicy mają grubą skórę, a ponadto są przyzwyczajeni.

W Europie żyje dziś czterdzieści cztery miliony muzułmanów. Prawie pięć milionów, nie licząc dzieci i młodocianych, we Francji. Mają do dyspozycji ponad dwa tysiące „centrów kulturalno-oświatowych”, w każdym znajduje się meczet, ponadto w dużych skupiskach muzułmańskich posługę religijną pełni piętnaście tak zwanych wielkich meczetów. Ich funkcje wykraczają ponad znaczenie przypisywane chrześcijańskim katedrom czy bazylikom. To nie tylko domy modlitwy, to

także ośrodki religijnej indoktrynacji, do których państwo nie ma dostępu. Większość wyznawców islamu jest urodzonymi we Francji obywatelami francuskimi. Dynamika przyrostu naturalnego w środowiskach muzułmańskich, a także napływ nowych imigrantów sprawiają, że Francja jest najbardziej zislamizowanym krajem Unii Europejskiej i Europy. Tego procesu nie da się już odwrócić, twierdzą znawcy. Magazyn satyryczny „Charlie Hebdo", dziś pozbawiony swojej długoletniej i wytrwałej w bojach kadry, któregoś dnia z pewnością zniknie. Nie dlatego, że zabraknie mu rysowników. Dla świętego spokoju, by nie przeszkadzał w zbliżeniu i pojednaniu, a może nawet i dlatego, że nie znajdzie czytelników wśród nowej, dominującej warstwy francuskiego społeczeństwa.

Na razie nie jesteśmy jeszcze tak daleko, jeszcze wielu pyta o wolność wypowiedzi i jej granice. I nie po to, aby poddawać je próbie jak „Charlie Hebdo", lecz aby znaleźć odpowiedzi na podstawowe dziś pytanie, na ile ten warunek sine qua non demokracji może zostać zaadaptowany przez religijną wrażliwości muzułmanów, obywateli naszych europejskich krajów, i właściwie przez nich zrozumiany. Mają z nim przecież problem – ewidentny i udokumentowany różnymi dramatycznymi zdarzeniami.

Kurt Tucholsky, zmarły w 1936 niemiecki pisarz, dramaturg i satyryk, dziennikarz i kabarecista, przeciwnik nazizmu i każdej formy totalitaryzmu, zapytany kiedyś wprost, co wolno satyrze, odpowiedział krótko – wszystko. Wszystko? Spójrzmy na problem z punktu widzenia ludzi doświadczonych w praktykowaniu wolności. Satyra jest prowokacyjna, obrazoburcza, pozbawiona respektu, ze skłonnością do przerysowania przedmiotu kpiny, bardzo często także bluźniercza. To dużo, nawet bardzo dużo jak na jeden jedyny gatunek twórczości. Czy ma granice? Takie same jak wolność słowa, dobro, które zaczyna się w głowie, ale kończy na języku. Każde praworządne państwo potrafi je opisać. Nie wolno atakować i poniżać mniejszości tylko dlatego, że jest mniejszością, nie wolno agitować za nienawiścią rasową, nie wolno naruszać dóbr osobistych, nie wolno nawoływać i propagować wojny, nie wolno nawoływać i zachęcać do mordów i zabójstw, nie wolno pochwalać i wzywać do terroryzmu. Kilka prostych zakazów chętnie naruszanych przez prowokatorów lub bardzo uzdolnionych retorycznie polemistów. Dobrze zrozumiane nie ograniczają

w niczym wolności osobistej ekspresji, tego wspólnego dobra, którego urzeczywistnienie kosztowało w przeszłości tysiące ludzkich istnień. I za które wielu szło na barykady równie chętnie, jak stawało do walki o chleb. Anders Fogh Rasmussen, ówczesny duński premier, po wydarzeniach wywołanych publikacją rysunków Mahometa w „Jyllands-Posten” powiedział krótko: „Wolność słowa jest absolutem i nie podlega dyskusji”.

No tak, ale to polityk duński, a nie islamski. Wolność słowa czyni nas wolnymi przede wszystkim wobec władzy i jej siły, również władzy Kościoła. Pisarz, twórca, artysta ma wręcz obowiązek swoim radykalizmem artystycznym powątpiewać we władzę, ograniczać jej siłę, stawiać nad nią znak zapytania. To wielkie niezbywalne prawo jedynej praktycznie grupy społecznej uprawnionej do transmisji każdej prawdy w stronę władzy, każdej władzy. Bez przykrych dla siebie konsekwencji. Wolność wypowiedzi – rozumiana jako prawo do prawdy w zderzeniu z władzą – byłaby bowiem niepełna, gdyby nie towarzyszyła jej wolność twórcy. To nie jest zezwolenie na szerzenie bezprawia. Wolność twórcy byłaby fikcją bez uwolnienia go od odpowiedzialności za słowo, które narusza dobre samopoczucie władzy.

Za dużo tej wolności? Nie, nie za dużo. Potrzeba tylko aktorów, miejsca do jej uprawiania i absorpcji ze strony otoczenia. Twórca nie jest naukowcem, nie musi trzymać się definicji i doświadczalnie sprawdzonych reguł, satyra nie jest pracą doktorską ani deklaracją wiary. Konfrontacja z siłą i władzą nie może następować na płaszczyźnie racjonalnej wymiany opinii i naukowo udowodnionych tez. To jest i musi być atak, zderzenie, prowokacja, szyderstwo, przesada lub uproszczenie, ironia i kpina. A wszystko z wielkim zyskiem dla demokratycznego procesu kształtowania woli politycznej, pod warunkiem że wolność wypowiedzi, wolność słowa pozostaje narzędziem prawdy wobec władzy i jej siły. Autorytetem jest człowiek, a nie sprawowany przez niego urząd. Wartością jest człowiek, a nie dominująca nad nim wspólnota. Także taka, jaką stanowią muzułmanie niezależnie od tego, gdzie mieszkają. W języku arabskim nazywa się ona umma. We Francji są mniejszością, ale tylko w odniesieniu do niemuzułmanów. Sami siebie tak nie postrzegają, uważają, że są częścią ponadpółtoramiliardowej wspólnoty religijnej, ummy, liczniejszej od

chrześcijan. Dlatego, kiedy duńskie pismo krytykuje Mahometa, palą budynki w dalekiej Indonezji, skoro nie mogą w Danii.

Wolność, pierwszy element francuskiej tożsamości, nie tylko ma długą tradycję, ale i jest dla państwa obok dwóch pozostałych – równości i braterstwa – fundamentalna. Razem tworzą niepodważalny kanon narodowy, którego kwestionowanie wyklucza z aktywnego uczestnictwa w życiu społecznym i politycznym. Te trzy słowa – wolność, równość, braterstwo – to francuski wynalazek. Można nigdy we Francji nie być, nie spotkać na swojej życiowej drodze żadnego Francuza, nie wiedzieć nawet, gdzie Francja leży – nieważne, bez znaczenia. Te trzy proste słowa każdemu z osobna i wszystkim na świecie wyjaśniają istotę i charakter Francji. Każdy jako tako wykształcony człowiek, słysząc te trzy słowa, wie, że opisują one Francję.

Kryją się za nimi uniesienie, gotowość do poświęcenia, zakwestionowanie wiecznego porządku, krew, przemoc, walka, wysiłek, konfrontacja, ścinanie głów. Ale i wyzwolenie, zrównanie w prawach, odrzucenie patronatu i dominacji Kościoła, świeckość państwa, które ma służyć ludziom, a nie bogom. To wielka spuścizna Wielkiej Rewolucji Francuskiej, której żaden inny naród na świecie w podobnym wymiarze nie przeżył ani nie doświadczył, ani nie powtórzył. Trzy słowa-hasła w znanej nam wszystkim kolejności to wyłączna własność narodu francuskiego. Wypisane na sztandarach, zapisane na pierwszej stronie konstytucji, powtórzone w ustawach, wyryte w pamięci i głowach są dla Francuzów i metryką urodzenia, i aktem zgonu. Oni się z nimi rodzą i z nimi umierają. Kto tego nie rozumie, ten nie jest Francuzem, nawet jeżeli ma w kieszeni francuski paszport. Paszport to tylko dokument. Być Francuzem to mieć we krwi elementarne cząstki Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Minęło od niej ponad dwieście lat, ale w tej formule jest obecna w tożsamości Francuzów, jakby zdarzyła się wczoraj.

Jak każde wielkie wydarzenie do dziś wywołuje zażarte spory i ściąga na siebie krytykę. Przeciwnicy eksponują przede wszystkim terror. Humanitarny wynalazek doktora Josepha Ignace’a Guillotina – spadający z wysokości topór – miał w zamyśle ograniczyć do minimum cierpienia skazańca. I rzeczywiście odcięcie głowy następowało z niezwykłą, ledwie sekundową szybkością. Pozbawiono w ten sposób życia ponad czterdzieści

tysięcy osób. Dlatego Hannah Arendt, największa postać w światowej socjologii, była zdania, że rewolucja poniosła klęskę. Głosiła wolność, wprowadzała reformy, przenicowała społeczeństwo, spłynęła jednak rzeką krwi. To prawda, ale i Hannah Arendt z wielką trudnością zdołałaby wyliczyć przeorujące substancję narodów rewolucje bez ofiar. Obrońcy rewolucji francuskiej przytaczają inne fakty. Mówią, że terror nie był jej genetycznie przypisany; doszło do niego w reakcji na kontrrewolucję, która nie przebierała w środkach. Przypominają sytuację Francji przedrewolucyjnej i nędzę narodu pozbawionego środków do życia. Zmiana jego losu musiała być drastyczna, tak jak drastyczne i pełne poniżenia było jego życie.

W przededniu rewolucji Francja była najliczniejszym krajem Europy – zamieszkiwało ją blisko dwadzieścia pięć milionów ludzi, z czego dwadzieścia dwa miliony żyło na prowincji, na biednej wsi. W społeczeństwie podzielonym na stany kler stanowił pół procent, szlachta półtora, reszta to tak zwany Tiers-État, stan trzeci, bez praw i głosu. Katolicyzm był religią państwową, kler stanem pierwszym. Niewielka armia – w sumie sto pięćdziesiąt tysięcy osób, w tym osiem tysięcy wyniesionych do najwyższych kościelnych urzędów – decydowała o wszystkim. Dwadzieścia pięć procent francuskiego terytorium należało do Kościoła. Wysokie urzędy kościelne zarezerwowane były wyłącznie dla przedstawicieli szlachty. Dochody kościelnych hierarchów dobrze pokazuje przykład biskupa Strasburga. Podczas gdy w 1780 budżet Francji wynosił sześćset dziesięć milionów liwrów, jego roczne apanaże sięgały dziesięciu milionów. Jeden liwr równoważny był funtowi srebra. Reszta kleru żyła z dziesięciny i żyła biednie. Na prowincji proboszczowie i wikarzy – jedyny element machiny kościelnej wzbudzający skromną sympatię wiernych – przymierali głodem. Głównym zadaniem Kościoła w państwie była organizacja systemu oświaty, podlegała mu każda szkoła. Kościół dominował nad całym życiem Francuzów, w rewolucyjnych pamfletach pisano, że nie mogą urodzić się bez wiedzy kleru, ani bez jego zgody umrzeć.

Szlachta dzieliła się na dwie kategorie: szlachtę miecza, *noblesse d’épée*, czyli dziedziczną, i *noblesse de robe*, czyli mianowaną, z tytułem szlacheckim nabytym automatycznie wraz z piastowanym urzędem lub

otrzymanym za zasługi. Szlachta, podobnie jak kler, zwolniona była od podatków i świadczeń na rzecz państwa. Obsadzała wszystkie państwowe urzędy i stanowiska na dworze. Tylko członkowie jej stanu mogli być oficerami, parlamentarzystami, sędziami, a te stanowiska zwyczajowo podlegały dziedziczeniu.

Reszta, czyli stan trzeci, to ludzie zapewniający w gruncie rzeczy funkcjonowanie państwa – rzemieślnicy, wyrobnicy, niscy urzędnicy, żołnierze, handlarze, chłopi. W tym coraz liczniejsza grupa przegranych: wdów, bezrobotnych, kalek, sierot, chorych, ludzi bez jakichkolwiek dochodów. Połowa Francuzów osiemdziesiąt procent swoich pieniędzy, jeśli je miała, przeznaczała na jeden jedyny produkt – na chleb. Państwo stało na krawędzi bankructwa. Sześćdziesiąt procent przychodów pochłaniała obsługa długu. Utrzymanie dworu królewskiego – sześć procent budżetu. Na kilka miesięcy przed wybuchem rewolucji cena chleba wzrosła o dwieście procent. W efekcie Francja głodowała.

Stany Generalne, reprezentacja narodu i stary filar francuskiego porządku, niezwoływane od prawie dwustu lat, stały się instytucją martwą. W 1789, kiedy piątego maja próbowano przywrócić ją do życia, Francja była już na drodze do radykalnych przemian, ale monarchia nie miała się jeszcze czego obawiać. Francuzi, choć już wykrzykiwali hasła wolności, równości i braterstwa, widzieli w nowym porządku miejsce dla króla. Pierwszą ofiarą eksplodującej w szybkim tempie rewolucji stała się tradycja, wszystko, co związane było z przeszłością.

Rewolucja nie była dziełem masonów. Nie przeprowadziło jej, wbrew powszechnej opinii, oświecenie. Raczej przygotowało dla niej grunt, przeorując ludzkie umysły, kształtując na nowo świadomość narodową i społeczną. Filozofom oświeceniowym chodziło o sprawiedliwe prawo, wolność wypowiedzi, religijną tolerancję, gwarancję ludzkiej godności i wolności obywatelskie. Wolter, jeden z aktywistów oświeceniowej rewolty, był zwolennikiem absolutyzmu oświeconego i monarchii konstytucyjnej. Myśliciele francuscy, aby uniknąć nadużyć w egzekucji uprawnień absolutystycznych, forsowali rozdzielenie władzy – na wykonawczą, ustawodawczą i sądowniczą. Triada ta, do dziś stanowiąca kręgosłup państwa prawa, jest dzieckiem Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Ale nas rewolucja francuska interesuje przede wszystkim z jednego powodu, z powodu zakwestionowania pozycji Kościoła i radykalnego przewartościowania znaczenia i miejsca wiary w przestrzeni publicznej. Ma to wielkie, zasadnicze znaczenie dla zrozumienia świeckości państwa francuskiego i jego stosunku do islamizacji, która element transcendencji wnosi z powrotem nie tylko do codziennego życia, ale i do instytucji państwa. W wielowiekowym doświadczeniu Francji jak w zwierciadle odbija się niekompatybilność islamu ze wszystkim, co składa się na tożsamość Francuzów i substancję ich państwa. Z gwarantowanym przez konstytucję rozdziałem religii od państwa, z laickością Francuzów i ich osobistym antyklerykalnym stosunkiem do wiary. Wiara to sprawa prywatna nie dlatego, że tak mówią paragrafy odpowiednich ustaw. Przeciwnie – to paragrafy potwierdzają prywatność wiary, ponieważ tak chcą Francuzi.

Religijny przekaz katolicyzmu uznany został przez rewolucję francuską za wyraz fanatyzmu. Na jego gruzach powstać miał nowy świat i nowy człowiek, wolny od presji i nacisku kleru. Wiara chrześcijańska nie została zakwestionowana; została jedynie przesunięta z obszaru publicznego do sfery prywatności. Miało to konsekwencje dla konstrukcji państwa – zniesiono monarchię będącą efektem bożej woli i łaski. Francja przestała się określać jako „najstarsza córa Kościoła”. W 1790, dwunastego lipca, wszystkie kościelne dobra upaństwowiono, a kler stał się grupą podległych państwu urzędników cywilnych. Zdecydowana jego większość poparła te zmiany i zaaprobowała nową rolę Kościoła.

Pierwsza faza procesu laicyzacji nastąpiła wraz z zawartym w 1801 przez Napoleona z papieżem Piusem VII konkordatem stawiającym państwo ponad Kościołem, ale wprowadzającym zarazem zasadę „uznawanych przez państwo wyznań”. W konsekwencji państwo przejęło sprawy małżeństw i rodzin, nadając im charakter świecki. Przełomowy okazał się 1882, kiedy laicyzacyjne ustawy Jules’a Ferry’ego, ministra oświaty w rządzie III Republiki, wyprowadziły Kościół ze szkół państwowych i publicznych, zapoczątkowały powszechny obowiązek szkolny i świecką oświatę. Od tego czasu debata na temat laickości we Francji silnie związana jest z systemem szkolnictwa. Dwa lata później wprowadzono we Francji rozwody. Léon Gambetta, polityk, współtwórca

i premier III Republiki, deklarował: „Wróg? Wrogiem jest klerykalizm”. W 1904 Francja zerwała stosunki z Watykanem i wznowiła je dopiero siedemnaście lat później.

Ostateczne rozdzielenie Kościoła od państwa przypieczętowała w 1905 nowa ustawa *Loi de separation*. Zniosła ona zapisy poprzedniego konkordatu z 1801, także ten o „uznawanych przez państwo wyznaniach”, i otworzyła szeroko wrota świeckości w duchu rewolucji. Ustawa, uważana za najważniejszy akt w procesie laicyzacji państwa, liczy czterdzieści cztery artykuły. Pierwsze dwa definiują istotę państwa laickiego: po pierwsze, gwarantuje ono wolność sumienia i swobodę praktykowania wyznawanego kultu, jeżeli nie narusza to określonych interesów porządku publicznego; po drugie, nie uznaje żadnego z wyznań, nie finansuje go i nie wspiera. Dalsze artykuły uregulowały sprawy szczegółowe, między innymi organizowanie procesji w miastach czy bicie kościelnych dzwonów. Zakazane zostały publiczne modlitwy. Ustawa zabroniła organizowania w pomieszczeniach kościelnych służących praktykowaniu kultu jakichkolwiek spotkań o innym charakterze, w tym przede wszystkim politycznym. No i zakazała odbywania lekcji religii w pomieszczeniach szkolnych. Dwa tysiące pięćset szkół katolickich zostało zamkniętych, a księża i siostry zakonne pozbawiono uprawnień do nauczania.

Proces laicyzacji trwał ponad sto lat. We Francji nie do pomyślenia jest dziś, aby deputowani przed otwarciem nowej kadencji uczestniczyli w jakimś nabożeństwie. We wszystkich instytucjach, urzędach i obiektach publicznych obowiązuje zakaz eksponowania symboli religijnych. Nie do pomyślenia jest, aby ksiądz wyświęcał drogi, oczyszczalnie ścieków, samochody policyjne czy pomniki, aby burmistrzowie organizowali specjalne msze w kościołach, publicznie przyjmowali komunię, na oczach mieszkańców paradowali z proboszczami, aby rady miejskie przeznaczały dziesiątki tysięcy złotych na renowacje kapliczek lub figurek świętych stojących przy drogach lub w parkach. Laickość francuska nie dopuszcza, aby Kościół ingerował w sprawy publiczne czy państwowe i nadużywał instytucji państwa we własnym interesie.

We własnych czterech ścianach – to właśnie francuski model przeżywania religii. Dla Francuzów to życiowa oczywistość, że wiara jest wyłącznie ich prywatną sprawą. Dlatego w szkolnych stołówkach

i kantynach uczniowie mogą zjeść potrawy z wieprzowiną. Nie ma rozmów na temat własnej religii, takie debaty między nauczycielami a uczniami są nawet prawnie zakazane. Nie można nosić na głowie ani kipy, ani turbanu, ani chusty, ani obnosić się z krzyżem. Wszystkie te symbole traktowane są przez prawo jako „ostentacyjne wyznanie wiary". Nie inaczej zresztą traktuje ono przynależność polityczną, ta również jest tematem tabu. Ale państwo, tak jak nie zezwala na konfesyjne mieszanie się w jego sprawy, tak samo nie miesza się w sprawy wyznaniowe. We Francji nie prowadzi się statystyk przynależności wyznaniowej. Nie wiadomo dokładnie, ilu jest katolików, chrześcijan innych wyznań, muzułmanów, wyznawców judaizmu, buddystów. Nie ma też statystyk wyznaniowej dyskryminacji na rynku pracy – prawo zakłada przecież, że wszyscy ludzie są równi i ich kłopoty nie mają z religią nic wspólnego. Francja jako państwo nie jest antyreligijna, jest natomiast antyklerykalna i wyznaniowo neutralna.

Laickość przykryła jednak państwo płaszczem, pod którym nie wszystko da się w porę zauważyć. Od ponad dwudziestu lat obserwujemy we Francji tendencje określane przez socjologów „powrotem sumień". Wzrasta zainteresowanie spirytualizmem, częściowo też i sektami, które są oficjalnie zakazane. Chociaż Kościół urzędowy nadal jest niewidoczny, zanotowano pewną rewitalizację katolicyzmu, ale w nowej, odmienionej postaci charyzmatycznych nieformalnych wspólnot. Najbardziej jednak widoczne i najważniejsze zmiany w sferze wyznaniowej nastąpiły wraz z ujawnieniem się siły islamu. Skrywany z początku dotyczył cichych, zamkniętych w sobie byłych żołnierzy wojsk kolonialnych albo imigrantów mężczyzn z Magrebu, rzadziej z Turcji, deklarujących gotowość powrotu po jakimś czasie do swoich krajów. Nikt go wtedy nie dostrzegał i nie traktował jako czynnika zmieniającego charakter neutralnej wyznaniowo przestrzeni publicznej.

Sytuacja ta należy bezpowrotnie do przeszłości. Dziś we Francji jest trzydzieści osiem tysięcy kościołów katolickich i już prawie dwa tysiące pięćset meczetów – trzydzieści lat wcześniej było ich tylko dziewięćset. Ekspansywna obecność muzułmanów stawia państwo przed nowymi problemami w sferze od dziesiątków lat zagospodarowanej polityką świeckości. Nie chodzi tylko o liczne obiekty kultu, ale przede wszystkim o szerzenie się ideologii islamskiej w życiu publicznym, o wymuszany

naciskiem i szantażem respekt dla zachowań religijnych naruszających laickość państwa. Konfrontowane z tymi zjawiskami państwo próbuje się ratować, otwierając debatę nie o *islamie we Francji*, lecz o *islamie z Francji*, i w ten sposób choć trochę sfrancuzić obrosły napięciami problem. To zresztą nie tylko gra słów. To przyznanie, że islam stał się rzeczywistością religijną, drugim pod względem siły i pierwszym pod względem ekspansji i perspektyw wyznaniem.

Zadanie zintegrowania „islamu z Francji" z francuską koncepcją rozdziału państwa od religii jest i będzie dla tego państwa i społeczeństwa największym wyzwaniem. Główna blokada tkwi w głowie – muzułmanom trudno zrozumieć, że państwo francuskie jest nie antyreligijne, tylko neutralne. Jest antyklerykalne i antyislamistyczne, ale nie jest antymuzułmańskie, tak jak nie jest antykatolickie. Oznacza to, że gotowe jest uznać reprezentację muzułmanów jako partnera do dialogu i nie wyklucza zdolności islamu do transformacji. Muzułmanie we Francji są jej obywatelami, z państwowego punktu widzenia nie stanowią żadnej mniejszości, są natomiast mniejszością religijną, wyznaniową żyjącą w zlaicyzowanym otoczeniu. To nowość nie tylko dla samych Francuzów, to nowość także dla muzułmanów, którzy w krajach swego pochodzenia, gdzie państwo ma charakter wyznaniowy, nie mają żadnej religijnej konkurencji. Na końcu procesu zbliżenia, jak zakładają jego zwolennicy, powinna pojawić się możliwość uznania „islamu z Francji" za zjawisko socjologiczne, chociaż już nie prawne. Francja, w przeciwieństwie choćby do Belgii, nie uznaje żadnej religii. Nie uzna więc i islamu. I z tym islam nie chce się pogodzić.

Muzułmanie traktują siebie jako wspólnotę ponadpaństwową, niezwiązaną żadnymi zobowiązaniami z miejscami osiedlenia. Pierwsze próby wpisania ich w rytm francuskiego państwa laickiego w Paryżu zakończyły się fiaskiem. Ostatnie lata XX wieku, a także pierwsze lata obecnego stulecia przyniosły nie tylko wzrost napięć i emocji, ale i groźnego, wojennego radykalizmu o podłożu terrorystycznym. Nadzieja na stworzenie „francuskich muzułmanów" dziś jest bardziej nikła niż przed laty. Oni są we Francji, ale nie są z Francji. Takiej postawie sprzyja polityka bogatych państw arabskich, które finansują budowę obiektów sakralnych, dbają o kształcenie na własną modłę kleru i studentów, o utrzymanie

więzów z ummą. Muzułmanie we Francji mogą liczyć na ich wsparcie, a ta świadomość umacnia ich konfrontacyjną postawę wobec laickiego państwa. Od pierwszego sporu w 1989 na temat noszenia chust i innych okryć głowy w miejscach publicznych konfrontacja nabrała rozpędu i radykalizmu. Można odnieść nawet wrażenie, że im więcej radykalizmu w sporach z państwem, tym większa demonstracyjna gorliwość w wypełnianiu obowiązków religijnych. I odwrotnie, zapał i żar religijny rozpalają gotowość do ostatecznych posunięć.

Islam nie szuka żadnego sojusznika wśród innych wyznań, były one, są i będą mu obce, konkurencyjne, zresztą i fałszywe z jego punktu widzenia. Francja jest pod tym względem miejscem szczególnym. Gromadzi największą wspólnotę muzułmańską Europy, ale żyje tu także najliczniejsza diaspora żydowska. Styk obu społeczności w laickim państwie prowadzi do wielu konfliktów. Żydzi francuscy są częstymi ofiarami ataków, prowokacji i zamachów. Wojownik Allaha z Marsylii nie musi wyjeżdżać na Bliski Wschód, aby prowadzić wojnę z wrogiem, wystarczy, że przyjedzie do centrum Paryża. Radykalizm muzułmański prowokuje podobną odpowiedź innych wyznań. Powrót do religii, również wśród katolików, często następuje w reakcji na wzrost siły islamu. I nie jest to powrót synów marnotrawnych. Radykalizm postaw katolików finalizuje się we wzroście tendencji fundamentalistycznych, tradycyjnych, ortodoksyjnych. W wielu miejscach w Europie mamy już do czynienia ze swoistą gorączką wojny religijnej.

W 2012, w listopadzie, w podparyskim regionie Bobigny powstała partia islamska UDMF, Unia Demokratyczna Muzułmanów Francuskich. Jej przewodniczący Najib Azergui jako główny punkt programu przedstawił żądanie wprowadzenia obowiązkowej nauki języka arabskiego w szkołach francuskich. Inne postulaty partii – wymuszenie zgody na zakrywanie twarzy, walka z utożsamianiem islamu z terroryzmem – to już tylko uzupełnienie. Na razie muzułmanie nie wykazują wielkiego zainteresowania działalnością polityczną, ale gdy zechcą, swoimi głosami będą w stanie zmienić krajobraz polityczny w regionach, w których dominują. Azergui wzywa ich, aby poparli program partii, która chce stworzyć we Francji alternatywę dla obecnego porządku socjalnego, gospodarczego i politycznego. A może to być tylko alternatywa islamska.

Partia liczy około tysiąca członków, nie narzeka na brak funduszy, liczba jej zwolenników jest nieznana. Czy dokładnie o takiego właśnie „muzułmanina z Francji” chodzi propagatorom konwergencji – nie wiemy.

Interesująca jest w tym kontekście ewolucja retoryki Marine Le Pen, przywódczyni prawicowo-populistycznej partii Front National. Od 2011 Le Pen prowadzi skuteczną strategię „oddemonizowania” partii, wie bowiem, w przeciwieństwie do swojego ojca, że wybory wygrywa się w centrum, a nie na obrzeżach mas wyborczych. Szuka więc zwolenników tak wśród ludności żydowskiej (potępiła Holocaust), jak i muzułmańskiej. Przeciwstawia się wprawdzie islamizacji Francji i broni jej laickości, ale w swoich wystąpieniach nie nazywa już rzeczy po imieniu tak dokładnie jak kiedyś. Żąda nadal asymilacji nie-Francuzów, propaguje obcinanie ich świadczeń socjalnych i chciałaby zmienić prawo naturalizacji tak, aby paszport był przyznawany tylko za zasługi, ale przecież nie samych muzułmanów dotyczą te postulaty – nie-Francuzami nadużywającymi świadczeń socjalnych są we Francji również Polacy. Marine Le Pen stała się bardziej spolegliwa nie z miłości dla islamistów, tylko dlatego, że jej jednoznaczny radykalizm odpychał od FN szerokie warstwy mieszczaństwa, niezbyt skłonnego do zachowań ekstremistycznych. Zmieniła strategię w obawie, że utraci część poparcia, że bez potrzeby doleje oliwy do ognia, podsycając i tak już niebezpieczną radykalizację muzułmanów. I tyle wystarczy, jej czarny kolor trochę się rozbielił. Wątpliwe jednak, aby ta zmiana zyskała uznanie w oczach społeczności muzułmańskiej.

Niektórzy jej reprezentanci narzekają, że w ostatnich latach nasiliła się kampania ich stygmatyzacji. Ze wszystkiego i za wszystkich muszą się tłumaczyć, wytykani są palcami, obciążani odpowiedzialnością za każdy islamski występek. Mówią, że we Francji powstaje teoria islamofobii, która ma usprawiedliwić ciągoty rasistowskie. Tysiące młodych muzułmanów chodziło do złych szkół, a dziś nie mogą dostać pracy, czemu winne jest państwo. Nic dziwnego, że uciekają w mistycyzm i radykalizują się w meczecie. To jedyne miejsce, gdzie czują się sobą.

No cóż, większość głoszących kazania w meczetach imamów nie zna w ogóle francuskiego i poza znajomością Koranu nie ma żadnego wykształcenia. Za to minarety we Francji należą do najwyższych w Europie

i nieprzypadkowo sprawiają wrażenie bagnetów. Jeden z duchownych islamskich w Marsylii powiedział, że gdyby sam nie był muzułmaninem, też by się bał. Dwa minarety jednego z najnowszych meczetów w tym mieście mierzą po dwadzieścia pięć metrów. Ich wysokość nie jest miarą uległości wobec Allaha, to sygnał dla niemuzułmanów i dowód politycznych roszczeń wobec zachodniego świata.

Kiedy w 2005 w podparyskich dzielnicach muzułmańskich wybuchły najcięższe od czterdziestu lat rozruchy – tylko w ciągu kilku dni podpalonych zostało dziesięć tysięcy samochodów – media donosiły o nich jako o protestach sfrustrowanych, niezadowolonych młodzieńców. Ja także używałem podobnej stylistyki w swoich telewizyjnych relacjach. Chociaż wszyscy wokół mówili podobnie, nie do końca tak było. Ale wówczas nie wiedziałem, że chodziło o próbę przeniesienia intifady palestyńskiej do Europy. W obawie przed rozruchami sylwestrowymi – młodzież muzułmańska chętnie wychodzi wówczas na ulice – miasta rezygnują po prostu z fajerwerków i ulicznej zabawy. Oczywiście to drobiazg, ale zmienia życie.

Według prasy francuskiej siedemdziesiąt procent więźniów we francuskich zakładach karnych to muzułmanie. Nie inaczej jest w sąsiedniej Hiszpanii, chociaż tam stanowią oni zaledwie cztery procent populacji. Przyczyny wszędzie są podobne: trudne warunki, bieda, niedostosowanie, brak pracy, izolacja, demitologizacja, dezintegracja. Winne jest więc państwo, tylko państwo.

Rzeczywiście, wiele ma ono na sumieniu, zwłaszcza gdy schyla głowę, odwraca wzrok, niedosłyszy, niedowidzi. Jak w przypadku dwudziestoczteroletniego Żyda Ilana Halimiego porwanego na początku 2006 pod Paryżem i przez trzy tygodnie przetrzymywanego w ukryciu, torturowanego bestialsko aż do śmierci przez grupę muzułmańskich wyrostków. Ironia tragedii Halimiego polegała na tym, że także jego rodzina, podobnie jak rodziny większości sprawców, pochodziła z Maroka, skąd wyemigrowała do Francji w poszukiwaniu bezpieczeństwa. Prasa pytała, czy władze wyjaśnią do końca okoliczności tej zbrodni, ujawnią wszystkie jej szczegóły, czy też ulegną obawie przed wybuchem rozruchów. Okazało się bowiem, że wszyscy w otoczeniu porywaczy dokładnie wiedzieli, co się dzieje. Halimi przetrzymywany był w piwnicy domu,

w którym mieszkał główny prowodyr. Wiedzieli o tym jego rodzice, wiedzieli sąsiedzi, wiedziała cała ulica. I potem wszyscy pomagali w ukryciu zbrodniarzy.

Media wskazywały na rozgoryczenie, biedę, frustrację młodych muzułmanów jako na przyczynę tego haniebnego czynu. Tymczasem oni sami powoływali się wyłącznie na islam. W telefonicznych rozmowach cytowali rodzicom porwanego i torturowanego Illana antyżydowskie wersety Koranu. Ich przywódca Youssouf Fofana, urodzony w 1980 w Paryżu syn muzułmańskich imigrantów z Wybrzeża Kości Słoniowej, używał nazwy „Grupa Barbarzyńców". W 2009 wraz z innymi dwudziestoma sześcioma członkami bandy stanął przed sądem. Skazany został na dożywocie.

Porwanie, tortury i śmierć młodego Halimiego nie stanowiły wyjątku. Tyle że nie wszystkim drastycznym przypadkom terroru religijnego media poświęciły tyle samo uwagi. Na przykład wcześniej, w 2003, młody muzułmanin zwabił na parking dwudziestotrzyletniego Żyda, widelcem wydłubał mu oczy, a potem poderżnął gardło. To był jego „męczeński" czyn wojownika, po którym, przechwalał się, pójdzie do raju. Gdyby policja musiała notować każdy przypadek ataku, obrazy, znieważenia żydowskich mieszkańców Francji przez ich muzułmańskich współbraci, zabrakłoby jej notesów.

Świeckiemu państwu nie jest łatwo, zwłaszcza że w określonych sytuacjach ujawnia się niespodziewana wspólnota duchowa fundamentalistów muzułmańskich i chrześcijańskich. Kiedy socjalistyczny rząd Francji ogłosił w ostatnich latach gotowość uznania małżeństw jednopłciowych i przyznania im prawa do adopcji dzieci, na ulice francuskich miast wyległy tłumy protestujących. Pierwsze skrzypce grały oczywiście organizacje muzułmańskie. Ale i katolikom, którzy są przecież na celowniku postępującej islamizacji Francji, nie przeszkadzał taki kabotyński sojusz: ważne było wsparcie, jakiego doświadczyli ze strony społeczności propagującej jedynie prawdziwą religię. Niektórzy zagraniczni nacjonaliści i katolicy ortodoksyjni liczą bardzo na wyborczy sukces Marine Le Pen, wybierają bowiem z jej programu najbardziej interesujący ich wątek – stanowcze „nie" dla małżeństw homoseksualnych. Ma ono świadczyć o „wspólnocie" w obronie „zagrożonych wartości".

W dywagacjach medialnych, nie tylko w samej Francji, bardzo często pojawia się wątek całkowitej dyskryminacji i wykluczenia młodych muzułmanów żyjących w podparyskich czy podmarsylskich *banlieues*, dzielnicach-gettach. Stąd płynie największe zagrożenie, ale nie dlatego, argumentują, że jest ono genetycznie uwarunkowane, tylko jako skutek poniżenia, zapomnienia, deprecjacji. Owe *banlieues*, przedmieścia, to dziś państwo w państwie, prawdziwe „no-go area", gdzie z obawy o własne życie nie chce zaglądać policja, a co dopiero zwykli ludzie. Niezwykle trudny temat i bardzo wymagający – państwo francuskie nie potrafiło zareagować odpowiednio wcześnie i dziś w wielu przypadkach jest już za późno.

Nie oznacza to jednak, że nic nie robiło. Od połowy lat dziewięćdziesiątych wydano we Francji wiele pieniędzy na budowę bibliotek, głównie z myślą o młodych muzułmanach w „krytycznych" dzielnicach, w nadziei, że przybliżą ich do kultury francuskiej i ułatwią konwergencję z wartościami zachodnimi. To był świetny pomysł. Biblioteki, takie było założenie, miały być centrami kultury i oferowały szeroki wachlarz inicjatyw. W realizację programu zaangażowały się setki Francuzów uniesionych ideą kulturowego zbliżenia. Żadna inna instytucja, ani socjalna, ani kulturalna, nie jest bardziej od biblioteki altruistyczna. Ta niczego nie wymaga, do niczego nie zobowiązuje, nie stawia warunków, oferta jest bezpłatna, pozwala obcować z najlepszą stroną aktywności społecznej – myślą i wiedzą. Architekci prześcigali się w projektach budynków, tworzyli prawdziwe miejsca spotkań – wielokulturowe agory, przyjazne pomieszczenia z zachęcającym wystrojem i interdyscyplinarnym wyposażeniem.

Od 1996 do dziś spłonęły już siedemdziesiąt dwie biblioteki. Podpalone przez młodych muzułmanów. Przy okazji rozruchów i bez tych okazji. Dlaczego, jaki jest powód? Bardzo prosty. „Chcą nas uśpić. Chcą, byśmy czytali bajki i siedzieli cicho. Nie potrzebujemy ich bibliotek. Potrzebujemy pracy". To były „ich" biblioteki – z książkami Hugo, Woltera, Zoli, Balzaca, Verne'a, Prousta, Manna, Szekspira – więc zostały spalone.

Akurat w dniu krwawego zamachu na „Charlie Hebdo", w 2015, siódmego stycznia, na francuskim rynku księgarskim ukazała się książka *Soumission* (Uległość). Michel Houellebecq rysuje w niej przygnębiający

scenariusz niedalekiej przyszłości. W 2022 socjaliści, chcąc zapobiec wyborczemu zwycięstwu Marine Le Pen, zawierają sojusz z konserwatystami i decydują się w drugiej turze wyborów wspólnie poprzeć kandydata islamskiego. Ten zwycięża i już wkrótce Francją rządzą „umiarkowani islamiści", których długotrwałą strategią jest nie tylko pełna islamizacja Francji, ale i przesunięcie europejskiego centrum w stronę basenu Morza Śródziemnego. Wkrótce Europa ulega islamowi, Unia Europejska przyjmuje państwa muzułmańskie i powstaje odnowione przez islam „cesarstwo rzymskie".

Główny bohater książki i jej narrator François, wykładowca na Sorbonie, krok po kroku traci swoją dotychczasową tożsamość kulturową. Usiłując ją ochronić, zwraca się ku katolicyzmowi, ale ten mu nie wystarcza, zresztą, jak się prędko okazuje, islam jest znacznie silniejszy, bardziej pociągający. W końcu mu ulega, poddaje się i dostrzega w nim najbardziej intrygującą i pełną religię.

Tyle książka. Interesująca jest jednak nie sama fabuła, ostatecznie powstała w wyobraźni autora, ale jej kontekst – literacki opis występującego w naszej codzienności zderzenia kultur. A ten nie został wzięty z powietrza. Warto przyswoić sobie zdanie wypowiedziane niedawno przez samego autora: „Koran nie jest wcale taki zły. Odkąd go przeczytałem".

W katolicyzmie hołduje się oddawaniu czci figurkom, obrazom, posągom, symbolom. Kościoły pełne są wizerunków Boga, Jezusa, Matki Jezusa, postaci żyjących przed dwoma tysiącami lat świętych. Podczas pasterki w Bazylice św. Piotra w Rzymie, a także w innych wielkich świątyniach księża niosą do stajenek małe laleczki wyobrażające nowo narodzonego Jezuska. Wierni klękają przed nimi i do nich się modlą. Katolicy przyzwyczajeni są do przedstawiania Boga ludzką ręką. Muzułmanie nie. Nie wolno im rysować i malować nie tylko Allaha, ale także Mahometa. Byłaby to czysta uzurpacja, bluźnierstwo.

Dlatego w łańcuchu zdarzeń wokół rysunków czy karykatur Mahometa zamieszczanych w różnych europejskich pismach wcale nie chodzi wyłącznie o treść satyry, o zawartość lub kontekst karykaturalnego rysunku. Chodzi o bluźnierstwo polegające na przedstawianiu postaci proroka. Muzułmanie nie wiedzą, jak wyglądał Mahomet. I nie chcą wiedzieć. Nie

mogą wiedzieć. Kreska francuskich rysowników opisywała jego postać, konkretyzowała jego wizerunek. Mówiła im – tak oto wygląda wasz prorok.

W tej wywiedzionej z wolności słowa uzurpacji wyraża się cały konflikt między islamem a światem zachodnim. Jest to konflikt bez perspektywy na pokojowe rozwiązanie. Jedynym wyjściem z sytuacji jest islamizacja. Francja jest na tej drodze już od dawna.

Dar al-Berlin

W 2010, trzeciego października, w dwudziestą rocznicę zjednoczenia dwóch państw niemieckich, ówczesny prezydent Republiki Federalnej Niemiec Christian Wulff powiedział w publicznym wystąpieniu podczas podniosłych uroczystości w Bremie: *Bez wątpienia chrześcijaństwo należy do Niemiec. Bez wątpienia judaizm należy do Niemiec. To jest nasza wspólna chrześcijańsko-żydowska historia. Ale i islam też już należy do Niemiec*. Najpierw wywołało to zdumienie, po jakimś czasie pojawił się umiarkowany aplauz, wreszcie powiało medialno-intelektualną akceptacją. Brawo, brawo!, zawołali dobrzy ludzie i apostołowie przenikania się kultur w Berlinie i nad Renem. Muzułmanie, co zrozumiałe, natychmiast okrzyknęli Wulffa „swoim" prezydentem, składali mu ukłony, byli z niego dumni. Żydzi milczeli. Reszta Niemców, normalni ludzie, zaczęła się rozglądać wokół siebie i nadstawiać czujnie ucha, czy przypadkiem muezin nie wzywa już do modlitwy i czy jest jeszcze trochę czasu na ostatnie piwo.

W antropologicznym podziale władzy między elitę a masy kwestia, kto objaśnia świat i za pomocą jakiej narracji, od zawsze odgrywa ważną rolę. A przy tym żadna forma władzy nie stroni od zafałszowywania tak historii, jak i rzeczywistości, by pozbawiać wpływów konkurencję polityczną, a samą siebie oczyszczać z wątpliwości. Nie jest od tego wolna również demokracja, która „uwodząc lud" – pisał o tym już Platon – niepostrzeżenie ześlizguje się w narrację odbiegającą od realnego stanu rzeczy. Specjalistami w tej technice byli i są dyktatorzy.

Przez pięć lat po deklaracji Christiana Wulffa Niemcy dociekali, pytali, debatowali, roztrząsali, spierali się, czy islam należy do Niemiec, czy jest już niemiecką rzeczywistością. Tak jak gdyby się pojawił w kraju dopiero z chwilą tego wystąpienia. Jedni widzieli go wszędzie, inni nie dostrzegali nawet tuż za rogiem. Do tej pory skłaniano się ku tezie o tworzonym przez muzułmanów „równoległym świecie", a teraz stwierdzono bez wahania, że

świat niemiecki jest jednorodny i islam należy do niego jak chleb i woda. Klasa polityczna przyklasnęła tezie prezydenta Wulffa i dostarczyła intelektualnej podbudowy. Goście telewizyjnych talk-show, łącznie z przedstawicielami chrześcijańskich Kościołów, jeden przez drugiego przyklepywali odważną deklarację prezydenta. Nie zabrakło też konkretnych postulatów. Laureat Literackiej Nagrody Nobla Günter Grass wezwał do przekształcenia jednego z kościołów w Lubece, w pobliżu której mieszka, w meczet. Czołowy polityk partii Zielonych Hans-Christian Ströbele złożył propozycję likwidacji jednego z chrześcijańskich świąt (do wyboru) i wprowadzenia na jego miejsce ustawowego święta dla muzułmanów, podchwyconą pospiesznie także przez niektórych polityków SPD. A Wolfgang Schäuble, CDU, w 2009 minister spraw wewnętrznych, zajrzał nawet na lekcję do szkoły koranicznej i nie dostrzegł tam niczego zdrożnego. Tylko tak zwani zwykli ludzie, twardo stąpający po ziemi, żyjący obok meczetów i muzułmańskich jatek, z tezą Wulffa nie bardzo chcieli się pogodzić. Ale ich głos zamiatano pod dywan.

Minęło pięć lat i oto w 2015, w styczniu, kanclerz Angela Merkel w obecności premiera Turcji Ahmeta Davutoglu, bawiącego w Berlinie z oficjalną wizytą, powtórzyła tezę Wulffa. Zrobiła mu tym wielką przyjemność. Powiedziała dosłownie: *Były prezydent federalny Wulff powiedział, że islam należy do Niemiec. Dokładnie tak jest. Jestem tego samego zdania.* A zatem nie ma cienia wątpliwości, nie pozostaje nam już nic innego, jak przyjąć do ostatecznej wiadomości: *Islam należy do Niemiec*, islam jest częścią Niemiec. Klamka zapadła.

W ciągu minionych pięciu lat teza Christiana Wulffa została w Niemczech przepracowana na wszystkie możliwe sposoby. Ale pięć lat temu nie było jeszcze „Charlie Hebdo”, nie było Państwa Islamskiego, nie było agresywnych wystąpień salafitów w Niemczech ani protestów antyislamskiego ruchu Pegida i wielu innych drastycznych, wstrząsających zdarzeń, chociaż oczywiście nie brakowało informacji o przymusowych małżeństwach czy mordach honorowych na muzułmankach. Tym razem pojawiły się zatem, najpierw umiarkowane, następnie nieco silniejsze, głosy sprzeciwu. Zdziwienia nie kryje partia Merkel – CDU. To, co w ustach Wulffa pięć lat wcześniej brzmiało jeszcze jak socjologiczna teza, w najnowszej wypowiedzi kanclerz Merkel, i to wobec tureckiego

premiera, można odczytać tylko jako deklarację zgody na każdą formę obecności islamu w kraju. A z tym jest problem, i to poważny. Bo islam chustkowy, ramadanowy, który dominuje w Niemczech, ma wystarczający, a nawet silny potencjał agresji i walki. Islam to przecież nie tylko rytualne posiłki halal, to nie tylko budki z kebabem na każdej ulicy, setki meczetów i zarzynanie owiec w mieszkaniach. To także ekstremizm i dżihad. A te nie mogą korzystać z konstytucyjnej opieki państwa prawa.

Niemcy, jak wiadomo, leżą między Polską, Francją, Belgią, Danią, Czechami, Austrią, Szwajcarią, Luksemburgiem i Holandią. Bundesrepublik Deutschland tkwi w samym sercu Europy. Na skrzyżowaniu wszystkich najważniejszych dróg naszego kontynentu.

Zachodnie wiatry znad Azorów, zanim dotrą do Polski, najpierw przewiewają ciepłem Atlantyku Niemcy. Wyż polarny nadciągający nad Francję znad Skandynawii mrozi wcześniej Berlin i Kolonię. Ci z zachodniej Europy, którzy wybierają się na wschód, pędzą niemieckimi bezpłatnymi autostradami. Ci z północy, chcąc choć trochę ogrzać się pod południowym słońcem, wybierają drogę przez Bawarię. Włosi ciekawi Szwecji jadą ją podziwiać przez Niemcy. Brytyjczycy, aby spenetrować centrum i południe, przebijają się przez Niemcy. To Europa, i w jej środku Niemcy.

Kiedy biedni rybacy znad Morza Śródziemnego i zrozpaczeni brakiem pełnej miski Afrykańczycy, ryzykując życie, przepływają morze na dziurawych łodziach w poszukiwaniu lepszego życia, ich marzeniem jest być przygarniętym przez Niemcy, ten prawdziwy *Sozialamt* całego nieszczęsnego świata. Kiedy zdesperowani wojną i jej skutkami analfabeci z Afganistanu przebijają się przez pustkowia i góry Iranu, celem ich wyczerpującej ucieczki są Niemcy, które płacą dodatki nawet na dzieci pozostawione w namiotach w dalekiej biednej ojczyźnie. Kiedy zmaltretowani władzą mafii przebranej w rządowe garnitury wieśniacy z Kosowa przemykają przez granice w stronę Unii Europejskiej, chcą dostać się do raju na ziemi, do Niemiec, z których nie wypada eksmitować nawet prawdziwych bandytów, a tych wśród nich nie brakuje. To świat, i w jego centrum Niemcy.

W ubiegłym roku, 2014, w Niemczech o azyl polityczny poprosiły dwieście dwa tysiące osiemset trzydzieści cztery osoby z Syrii, Iraku,

Czeczenii, krajów Północnej Afryki, Afganistanu i kilkudziesięciu innych krajów świata. Kolejny wzrost o pięćdziesiąt procent. W tym roku, 2015, według ostrożnych szacunków Federalnego Urzędu do spraw Migracji i Uchodźców o azyl poprosi trzysta tysięcy osób. Tylko w samym styczniu do Niemiec już przedostało się nielegalnie osiemnaście tysięcy mieszkańców Kosowa. Do tego dochodzą setki tysięcy biednych Bułgarów i przede wszystkim Rumunów przemieszczających się po Europie w ramach układu z Schengen. W 2014, tylko w pierwszych sześciu miesiącach Niemcy przyjęły u siebie sześćset sześćdziesiąt siedem tysięcy osób, o sto dwanaście tysięcy więcej niż w roku poprzednim, 2013. Liczba uchodźców z Syrii w pierwszej połowie 2014 wzrosła o dwieście czterdzieści dwa procent. Razem – dwadzieścia dwa tysiące. A praktycznie wszyscy uchodźcy z biednych krajów południa – Afryki, Bliskiego Wschodu i Azji – to muzułmanie.

Mieszka ich obecnie w Niemczech cztery miliony trzysta tysięcy. Siedemdziesiąt dwa procent to Turcy, sześć procent pochodzi z Bośni-Hercegowiny, cztery procent z Maroka, trzy procent z Iraku, trzy procent z Afganistanu. Reszta przeniosła się do Niemiec praktycznie z każdego muzułmańskiego państwa świata. Trzydzieści lat wcześniej było ich cztery razy mniej. Z niewielkimi wyjątkami głównie są sunnitami.

Nie ma drugiego takiego kraju w Europie jak Bundesrepublik Deutschland, nie ma drugiego takiego kraju, o który wszyscy się potykają, który przyciąga ludzi z najdalszych zakątków świata jak lep muchy. Nie tylko zresztą sam biedny muzułmanin patrzy z nadzieją na Niemcy. Na drodze do lepszego życia nie można ich ominąć. Dlatego, choć nie wyłącznie z tego powodu, nikomu w Europie nie powinno być obojętne, jak żyją Niemcy, jak się żyje w Niemczech, co się w Niemczech dzieje i dlaczego tak, a nie inaczej. *Islam należy do Niemiec*. Koniec, kropka. Klamka zapadła.

Naciśnijmy tę klamkę i zajrzyjmy do środka. Niemcy, centrum Europy, 2015, kilka cytatów z opinii niemieckich czytelników.

> Przed kilkoma tygodniami czytałem w jednej z gazet regionalnych artykuł o grupie ewangelickich kobiet – wszystkie kobiety to już panie w dojrzałym wieku – które podczas wieczornego spotkania

zajęły się tematem burki. Jedna z kobiet postarała się o burkę, włożyła ją i była bardzo zdziwiona, jak niezwykle praktyczny jest w gruncie rzeczy ten prosty kawałek materiału. Kobiety były ciekawe i po przymiarce stwierdziły, że burka chroni kobietę przed upałem, pyłem i przede wszystkim przed krępującymi, natarczywymi spojrzeniami obcych, co właściwie każdej kobiecie bardzo przecież odpowiada.

Telewizja norweska donosiła niedawno o eksplozji gwałtów na młodych blondynkach w Oslo. Atakowane są one przez muzułmańskich mężczyzn, także przez tych pochodzących z Nigerii. Agresja ta sprawia, że wiele kobiet farbuje teraz włosy na czarno i próbuje w ten sposób uchronić się przed tą swoistą formą „dżihadu". Niektóre dzielnice Oslo zostały już opuszczone przez policję, a przez miejscowych omijane są jak zadżumione. W Szwecji jest podobnie i nie inaczej w Danii czy Holandii. Jeżeli ktoś chciałby pocieszyć się tym, że u nas w Niemczech jest pod tym względem może trochę lepiej, to polecam mu wybrać się do Berlina i do niektórych jego dzielnic, na przykład w okolice Kottbusser Tor albo Hermannstrasse. Szybko zmieni zdanie. Ale masowych gwałtów jeszcze u nas nie ma, pouczy mnie zaraz jakiś liberalny *Gutmensch*. Zgadza się, jeszcze nie ma. Ale jak długo?

W moim regionie, w Zagłębiu Ruhry, w wielu rejonach miast nikt z miejscowych już nie chce się pokazywać, a policja interweniuje podczas demonstracji w mieszkaniach, z których okien wywieszane są flagi izraelskie. Urzędy pracy są bezradne w obliczu posłusznych szariatowi petentów, stołówki szkolne potulnie przygotowują dania według reguł halal i tak dalej, i tak dalej… Kiedy wreszcie zrozumiemy, że tu nie chodzi o pojedyncze przypadki, ale o działania w ramach ideologii islamu, który wszystkie obszary naszego życia, nawet te bardzo osobiste, chce w pełni kontrolować?

Do wszystkich tolerancyjnych romantyków i wszystkich, którzy lekceważą historię Europy i warunki w krajach z wysokim odsetkiem muzułmanów: warto trzymać w ręku wydanie Koranu i wszystkie te

zjawiska dostrzec w jego kontekście. Wówczas okaże się, że islam nie jest wyłącznie religią; jest formą organizacji życia i państwa z własnym porządkiem prawnym – szariatem. Reguluje wszystkie stosunki między ludźmi, ze wszystkimi detalami.

Odsyłanie nas do Starego Testamentu i wypraw krzyżowych jest standardową refleksją obronną aplikowaną nam przez muzułmanów. Wystarczy jednak rozejrzeć się wokół i chcieć dostrzec, jak zachowują się oni wobec chrześcijan w krajach muzułmańskich (hasło: Dhimmitum), i wszystko stanie się jasne. Nie wiem, dlaczego aktualna polityka dopuszcza do tego wszystkiego, nie mogę tego zrozumieć. Niestety, tym, którzy nas ostrzegają, w imię poprawności politycznej zamyka się często usta. Nikt nie interesuje się też rosnącym na świecie antysemityzmem, a przecież łatwo go dostrzec po muzułmańskiej stronie.

Obok islamizacji Europy „naturalną drogą" (poprzez napływ muzułmanów – przyp. autora) trzeba mówić jeszcze o tym, że gospodarcze i polityczne elity Europy robią ze swojej strony dosłownie wszystko, aby islam miał u nas drzwi i okna szeroko otwarte. Przecież kolaborują z islamskimi reżimami, żeby tylko otrzymać tańszą ropę. Przecież na płaszczyźnie europejskiej chcą likwidacji państwa narodowego i zrażają jedne narody Europy do drugich. Tymczasem powinny zająć się niebezpieczeństwem, które na nas czyha… Jedno jest pewne: elity islamskie zabiegają wyłącznie o islamizację Europy. W przeszłości Europa miała jeszcze odwagę i siłę temu przeciwdziałać. Dziś elita europejska oddała pole islamowi bez walki.

Oddała pole islamowi bez walki… Jesteśmy więc bezradni, by nie powiedzieć straceni. Tak piszą ludzie, Niemcy, którzy na co dzień konfrontowani są z narastającą islamizacją otoczenia – w szkole, w miejscu pracy, w przestrzeni publicznej. I czują się osamotnieni, pozostawieni sami sobie. Czytają w wysokonakładowych gazetach, że nie mają racji, że widzą świat zbyt wąsko, że są przewrażliwieni i skłonni do przesady, a może nawet ujawniają skłonności rasistowskie, co w ogóle wyklucza ich

z dobrego towarzystwa. To nie oni, to przecież elity mają rację. Wszak to elity ujmują zjawiska społeczne całościowo, patrzą na wszystko z wysokości ideału społecznego, idealnego świata opisywanego w pracach doktorskich i widzą każdy aspekt niedostrzegany przy knajpianym barze. Oceniają problem globalnie, bez krępujących przyziemnych niuansów. Realizują pewną wizję i dbają o wizerunek z perspektywy katedry, politycznego stanowiska, redakcji. No i nie interesują ich osobiste doznania Herr Schmidta czy Herr Müllera gdzieś tam na dole, oni mogą się mylić, być uprzedzeni. Przeglądają przecież statystki i widzą, że muzułmanie stanowią tylko pięć procent całej populacji, że kościołów chrześcijańskich jest więcej niż meczetów, że nie wszędzie muzułmanki chodzą w chustach, że wprawdzie mordy w obronie honoru występują, ale nie są masowe, że tu i tam dochodzi do poważnych ekscesów, ale o tym nie ma potrzeby mówić. Gdzież ich bowiem nie ma? Świat islamu nie różni się tak bardzo od świata chrześcijan, a jeżeli się różni, to go wzbogaca, i za to powinniśmy mu być wdzięczni.

Tak pięknie, tak idealnie może i jest w niebie, ale na berlińskiej, kolońskiej czy hamburskiej ulicy już nie tak bardzo – bliżej tu do piekła. Jednym z tych, którzy toczą swoje potyczki na tej ulicy, wszystko o niej wiedzą, jest Heinz Buschkowsky, berlińczyk, polityk SPD i wieloletni burmistrz berlińskiej dzielnicy Neukölln, a przy tym nieustępliwy społecznik, pokonany w końcu przez bezsilność w trosce o miasto i rozpacz. Neukölln, jeżeli ktoś jeszcze nie wie, jedna z centralnych dzielnic miasta nie jest już częścią Berlina. To serce muzułmańskich Niemiec. To Stambuł, Mekka, Ramallah, Kabul i Mosul razem wzięte. Dar al-Berlin.

Buschkowsky urodził się właśnie w Neukölln zaraz po wojnie. Jest synem ślusarza, nie można mu więc przypisać cech znudzonego arystokraty czy niedopieszczonego mieszczucha. Zawsze żył blisko ziemi. Wychowywał się w ogromnej biedzie, rodzina przez lata mieszkała w jednym pokoju bez okna, w piwnicy. Zwykły powojenny los człowieka, na którego spadł historyczny ciężar wojny, jej okrucieństw i destrukcji. Jego droga do SPD, partii biednych ludzi i polityków o wielkich ambicjach, nie była łatwa. Przekonał go do niej dopiero Helmut Schmidt, socjaldemokratyczny kanclerz, odległy w swojej retoryce i działaniu od ideologicznych uniesień partyjnej lewicy. Buschkowsky, konfrontowany na

co dzień z twardą rzeczywistością, a nie z partyjnymi programami, przez partyjnych ideologów zaliczany był do prawego skrzydła SPD. To właśnie życie obok nieprzenikalnej społeczności muzułmańskiej i jego wyzwania przesunęły go nieco bardziej na prawo. Chciał ludziom pomagać, chciał ludzi zrozumieć, chciał ułatwić im wejście w obieg cywilizacji zachodniej, ale widział, co widział. Chociaż się starał, nie wszedł do „równoległego świata" mieszkańców swojej dzielnicy. Te drzwi pozostały przed nim zamknięte, bo jest Niemcem i chrześcijaninem.

Ale tego wszystkiego, co wie, co przeżył, czego doświadczył, pozbawiony wszelkich iluzji burmistrz nie chciał zachować wyłącznie dla siebie. Dlatego sięgnął po pióro. W 2012 wydał książkę *Neukölln ist überall* (Neukölln jest wszędzie), rok temu kolejny raz postawił kropkę nad „i", publikując *Die andere Gesellschaft* (Inne społeczeństwo). Bohaterami jego dramatycznych wyznań są współobywatele „z migracyjnym tłem" i pytanie bez odpowiedzi: jak ułożyć sobie z nimi życie.

Tak właśnie – *Mensch mit Migrationshintergrund*, „człowiek z tłem migracyjnym" – politycznie poprawna nowomowa określa już-Niemców, z paszportami, i jeszcze nie-Niemców, jednych i drugich bez zachodnich nawyków. Taka jest semantyka wymyślona przez poprawnych aż do bólu humanistów i dobrych ludzi. Aby nikogo, broń Boże, nie urazić. Nie można przecież w gazetach pisać, że samochód ukradł „Niemiec polskiego pochodzenia" albo po prostu „Polak". Pisze się, że złodziejem był „współmieszkaniec z tłem migracyjnym", a więc nawet i Szwed, Duńczyk albo i Chińczyk, chociaż oni mercedesów raczej w Berlinie nie kradną. Taka stylistyka ma redukować fobie, ale i tak wszyscy wiedzą, o kogo chodzi. No i oczywiście jest pomysłem chybionym. Muzułmanów jest najwięcej, więc i tak im przypisuje się większość występków popełnionych przez anonimowych współmieszkańców „z tłem migracyjnym".

Buschkowsky zna każdy zaułek w swojej rodzinnej dzielnicy i nie ma wątpliwości – segregacja, której źródłem jest brak woli i umiejętności dostosowania się muzułmanów do otoczenia, jest już faktem. Nie ma na nią rady, nie ma dla niej alternatywy. Równoległy świat istnieje i obowiązkiem cywilizacji zachodniej jest się z nim oswoić i znaleźć jakiś rozsądny modus vivendi. I Buschkowsky proponuje taki środek z żarliwością fanatyka. Uważa, że tylko przymus oświaty i wychowania dzieci muzułmańskich

w respekcie dla nauki otworzy im drogę do jakiejkolwiek integracji. Też nie od razu, oświatowe szlifowanie będzie trwało, no ale kiedyś trzeba zacząć. Niestety, jak uczy doświadczenie, właśnie z oświatą wśród dzieci muzułmanów jest największy problem.

Buschkowsky wie, o czym mówi. To być może ostatni prawdziwy socjaldemokrata w Niemczech – autentyczny, szczery, otwarty, bojowy i dowcipny. I jeden z ostatnich, którzy nie zamiatają wszystkiego pod dywan. Nie poprzestaje na komentowaniu rzeczywistości, chodzi mu przede wszystkim o zmianę jej azymutów. Ale także o codzienny estetyczny wygląd ulic Berlina, co też nie jest bez znaczenia. Czytamy u niego:

> Przestrzeń publiczna ulega islamizacji, przynajmniej w miastach z dużym udziałem ludności muzułmańskiej. Nie mogę powiedzieć, aby mi się to podobało. Wobec przestrzeni, która mnie otacza, w której żyję, którą kocham, mam swoje oczekiwania. Nie należy do nich dominujący w moim mieście widok kobiet w długich czarnych płaszczach i z okrytymi głowami. Obojętne, jak się te okrycia nazywają – burka, nikab, czador czy hidżab. Po prostu nie podobają mi się. Stwarzają we mnie dystans i kradną mi dobre samopoczucie. A jeśli tak chcecie, to i poczucie przynależności do tego miejsca.

Neukölln liczy trzysta trzydzieści tysięcy mieszkańców, niemal tyle samo co Bydgoszcz. Czterdzieści cztery procent, a więc prawie cały Olsztyn, to współobywatele „z tłem migracyjnym”. W większości szkół podstawowych udział dzieci imigrantów sięga osiemdziesięciu procent, są szkoły, w których już prawie nie ma dzieci niemieckich. Dziewięćdziesiąt procent rodziców i opiekunów nie wykonuje żadnej pracy. Jedynym źródłem ich dochodów, poza przypadkami kradzieży i nielegalnego handlu, jest pomoc socjalna. W Neukölln dzieci niemieckie w zasadzie już się nie rodzą. Dlatego każdy, kto chciałby dyskutować na temat równoległego świata, powinien zacząć od wizyty w dzielnicy burmistrza Buschkowsky’ego. Jej dynamika socjalna, procesy, które tam zachodzą, zobrazują mu przyszłość Niemiec. Doświadczenia Buschkowsky’ego są porażające. Nie szczędzi nam więc prawdy.

„Problem nie leży w braku pieniędzy”, monituje. Także nie w braku wystarczających szans. Problemem są rodzice muzułmańscy, którzy nie stanowią dla swoich dzieci wzorca prowadzącego do wpisania się w otaczający świat. Nie interesuje ich zupełnie, jak ich dzieci żyją, co robią, kim zostaną. Ważne są tylko pieniądze, które urząd wpłaca na konto. I te dorobione pracą na czarno. Więcej nic. Dopóki tylko mogą, nawet za cenę pełnej izolacji, wykorzystują system socjalny i nie pozwalają mieszać się w swoje sprawy. Nic innego jak tylko niemiecki system opieki pielęgnuje to niebezpieczne zamknięcie się w sobie i cementuje separację we własnej, przywiezionej z zewnątrz tożsamości kulturowej.

Ale Buschkowsky’ego nie zadawala taka diagnoza. Pyta, dlaczego niemieckim elitom taka sytuacja zawieszenia społecznego odpowiada i dlaczego na nią nie reagują. I poszukując odpowiedzi, wchodzi na polityczne pole minowe. Przywołuje wyświechtaną już tezę, że obcokrajowcy, w tym szczególnie ci z innego kręgu kulturowego, „wzbogacają” niemiecką kulturę, tradycję i obyczaj. I przypomina to, co wynika z definicji „dobrego” muzułmanina: że ktoś inny w ich otoczeniu nie jest już tak dobry, i jest nim Niemiec. To sprawa psychologii politycznej, socjologii politycznej i przede wszystkim – dziedzictwa historii.

Niemcy dźwigają olbrzymi garb. To wojna i jej zbrodnie, to Holocaust, powielany w milionowych wydaniach mord i ludobójstwo. Nie w walce o własną ziemię, nie w obronie własnej egzystencji, choć te i tak nie usprawiedliwiłyby, nie mogłyby usprawiedliwić rozmiarów zbrodni popełnionych w imię morderczej ideologii i rasistowskiej teorii niemieckich nadludzi. Dziedzictwo tak straszne i dotykające tak boleśnie jądra ludzkiej egzystencji, że żadna forma zadośćuczynienia nie jest w stanie zredukować ani pamięci bólu i cierpienia w podświadomości dotkniętych nimi narodów, ani poczucia bezgranicznego wstydu i winy w świadomości samych Niemców. Stąd łatwo, wręcz bezrefleksyjnie wyprowadzane są przekonania, że także dzisiejsze generacje Niemców, które z drugą wojną światową i zbrodniami Holocaustu nie miały nic wspólnego, są nimi dziedzicznie, by nie powiedzieć, genetycznie obciążone. I muszą być konfrontowane z historycznie uzasadnionym podejrzeniem, że w gruncie rzeczy gdzieś w głębi tkanki Niemcy nadal są rasistowskie, pełne pogardy

dla innych i gotowe do rewanżu. Taka optyka prowadzi do wykorzystania dziedzictwa grzechu, do nadużyć i szantażu. Niemcy mają płacić. Muszą płacić, a i tak grzechów nie odkupią. Niemcowi zawsze można rzucić prosto w twarz: „nazista!”.

Ów grzech i brak odpuszczenia winy determinują politykę niemiecką wobec uchodźców i uciekinierów, określają jej stosunek do każdego z osobna i wszystkich razem, współdecydują o substancji niemieckiej polityki imigracyjnej, licencjonują istnienie „równoległego świata” muzułmanów. W Niemczech nie ma przymusu integracji, wola ku niej musi wypływać od samych zainteresowanych. Jeżeli odmawiają uczestnictwa i zdawkowej choćby symbiozy, niemieckie otoczenie musi się z tym pogodzić, nie ma wyjścia. Jakże łatwo pójść tą ścieżką, jeżeli wiedzie na nią religia, jedyna i prawdziwa, a przewodnikiem jest sam Allah. Jakże łatwo w tym procesie zamierzonej separacji posługiwać się językiem nienawiści do Niemców i eksponować swoją dla nich pogardę.

„Integracja”, mówi Buschkowsky, „w pierwszym rzędzie jest obowiązkiem tego, który do nas przychodzi”. I przytacza wiele przykładów udanego wpisania się w niemieckie społeczeństwo innych wyznań, chociażby hindusów, alewitów czy buddystów. W jednym z wywiadów opowiada, jak zapytał pewnego czołowego muzułmańskiego aktywistę podczas debaty w meczecie w Berlinie, co sądzi o obowiązku integracji ze strony przybyszów. „Jak się Niemcom nie podoba, jak my tu żyjemy, niech wynoszą się na Majorkę”, usłyszał w odpowiedzi. Nikt z obecnych na spotkaniu Niemców nie stanął w obronie burmistrza. A dlaczego miałby? Przecież to Buschkowsky swoim pytaniem przeszkadza w przemieszczaniu się w „równoległym świecie”, a nie muzułmański współobywatel „z tłem migracyjnym” swoją odmową.

W muzułmańskich siedliskach w Paryżu czy Brukseli, Londynie czy Rotterdamie nienawiść do rdzennych mieszkańców przybiera charakter sporu cywilizacyjnego i religijnego. Jesteśmy przeżarci zepsuciem, jesteśmy dekadenccy, no i przede wszystkim jesteśmy poganami, niewiernymi. W siedliskach Berlina czy Hanoweru chodzi nie tylko o spór o Boga, również o zademonstrowanie antyniemieckiej postawy. Na wsparcie ze strony organizacji muzułmańskich lokalne władze nigdzie nie mogą liczyć, ale w Niemczech, ale w Berlinie, antyniemiecka postawa ma

swoje dodatkowe silne źródło w rozbudzonym nacjonalizmie. Marokańczycy w Brukseli nie obnoszą się ze swoim umiłowaniem dalekiej islamskiej ojczyzny, Turcy w Berlinie – tak. I pierwsi, i drudzy nie odczuwają żadnej lojalności wobec kraju, w którym żyją, ale to Turcy w niemieckich miastach czują się w obowiązku krzewić, umacniać, rozwijać i propagować turecki nacjonalizm, tak jakby mieszkali u siebie w Anatolii. Im nacjonalizm silniejszy, im bardziej rygorystyczny, tym łatwiej przecież egzekwować prawa islamskiego porządku i wiary. A te są bezwzględne. Należy do nich przymus małżeństwa czy popełniony na kobiecie mord w obronie honoru, jedne z tych zbrodni, które burmistrza Neukölln bardzo poruszały.

Na rogu Oberlandstrasse i Oberlandgarten w berlińskiej dzielnicy Tempelhof stoi maleńki obelisk, właściwie tablica upamiętniająca Hatun Sürücü. Ktoś, kto tu nie zagląda, nie zna tej dzielnicy, odnajdzie go z wielkim trudem. A i wtedy nie będzie wiedział, o co chodzi. Lokalne władze nie zgodziły się na bardziej czytelne wyeksponowanie tablicy z uwagi na wrażliwość współmieszkańców „z tłem migracyjnym”.

Napis głosi: „W tym miejscu 7 lutego 2005 roku została zamordowana Hatun Sürücü (urodzona w 1982 roku), ponieważ nie poddała się przymusowi rodziny i pragnęła prowadzić życie, o którym chciała decydować sama. Tablica ta upamiętnia jej śmierć i inne ofiary wśród kobiet w tym mieście”. Tekst, nieco enigmatyczny, szybko daje się odszyfrować. Mówi o młodej kurdyjskiej dziewczynie z Turcji o orientalnej urodzie, z niemieckim obywatelstwem, zabitej na berlińskiej ulicy kilkoma strzałami w głowę. To była egzekucja. Wykonał ją jeden z jej braci. Hatun była córką pomocnika ogrodnika Karema i jego żony.

Rodzice pochodzili z kurdyjskiej, wschodniej części Turcji, z miasta Erzurum. Mieli dziewięcioro dzieci, ośmioro urodziło się w Berlinie, w dzielnicy Kreuzberg, dokąd przenieśli się na początku lat siedemdziesiątych. Dorastająca Hatun nie bardzo chciała poddać się rygorom religijnym. Ojciec zabrał ją ze szkoły, kiedy miała szesnaście lat, i wywiózł do Turcji, gdzie zmuszono ją do poślubienia jednego ze starszych kuzynów. Rok później Hatun, skłócona z fundamentalistyczną rodziną męża i już w ciąży, uciekła do Berlina. Urodziła tu syna i dała mu imię Cun (dusza, życie). Wróciła do cywilizacji, zamieszkała z dzieckiem w domu dla

niepełnoletnich matek. Zaczęła się uczyć i krok po kroku planować samodzielne życie. Przywiązanie do rodziny sprawiło, że utrzymywała z nią kontakt. W 2005, siódmego lutego, po jednej z wizyt u rodziców i kolejnej kłótni jeden z jej braci odprowadził ją na przystanek autobusowy i po słowach: „żałujesz za swoje grzechy”, zabił ją trzema strzałami w głowę.

Hatun urodziła się w Berlinie i w Berlinie chodziła do szkoły. Turcji nie znała. W Berlinie przyszło na świat jej rodzeństwo. W Berlinie poznawała świat, który ją uwiódł i doprowadził do grobu. Nie chciała nosić chusty, zakrywać twarzy. Nie chciała być niewolnicą. Zapłaciła za to życiem. Ucieczka Hatun z Turcji okryła rodzinę hańbą, zraniła jej honor. Przywrócić go mógł tylko mord, i to z ręki najbliższych. W rodzinach muzułmańskich egzekutorami najczęściej są bracia, wykonanie wyroku jest bowiem zaszczytem i nobilituje. Skazana na śmierć nie może liczyć na pomoc i ochronę ze strony matki. Nierzadko właśnie matki namawiają do mordu.

W wielu miejscowościach w południowej Turcji znajdziemy na cmentarzach rzędy anonimowych grobów. Leżą w nich kobiety zamordowane dla przywrócenia honoru. Bo spojrzały na kogoś, bo były mężowi nieposłuszne, bo zakochały się bez zgody ojca, bo rodzina podejrzewała je, że pozwoliły się dotykać obcym mężczyznom. Ale leżą tam również kobiety, które zostały zgwałcone. Mord bowiem dosięga też niewinne ofiary gwałtów. Nie mężczyzna gwałciciel, a kobieta ofiara płaci za ten haniebny czyn ukamienowaniem. Ofiar takich mordów nie można normalnie pochować. W wielkiej rozpaczy robią to obce kobiety, a grób na zawsze pozostaje anonimowy.

Na szczęście nie mieszkamy na południu Turcji ani w zamkniętych religijną ortodoksją dzielnicach Stambułu czy Kabulu. Nie ma to jednak większego znaczenia. Śmierć podąża w ślad za muzułmanami. Mord Hatun w Berlinie nie był i nie jest żadnym wyjątkiem. Ofiary rytualnych mordów żyją obok, nierzadko mijamy je na schodach. Jak szesnastoletnią Morsal Obeidi, córkę afgańskiej rodziny mieszkającej w Hamburgu. Też chciała tańczyć na dyskotekach, spotykać przyjaciół, słuchać muzyki z koleżankami z hamburskiej szkoły. Miała niemiecki paszport jak jej nieco starszy brat, który ją zamordował. To on dbał o honor rodziny, to na jego siostrze Morsal skupiła się mordercza tradycja bezlitosnej wiary. Morsal wielokrotnie była bita, szukała pomocy u sąsiadów i na policji. Jej brat,

ratując honor według rytuału zadomowionego trzy tysiące kilometrów od Hamburga, zamordował ją dwudziestoma trzema ciosami noża. Własną siostrę.

W obu, i przecież nie tylko w tych opisanych, dramatycznych przypadkach i ofiary, i ich mordercy byli obywatelami Bundesrepublik Deutschland, tak jak inni są obywatelami Francji, Belgii czy Holandii. A więc jednymi spośród nas. A jednak nie prawo ziemi, na której żyją, nie jej obyczaj, nie jej tradycja i nie jej miłosierdzie zagościły w ich domach, głowach i sercach, tylko prawo ich religii, bez której cała reszta jest prymitywnymi poganami. Mordować dla ratowania honoru nakazuje przecież nie sam obyczaj przeniesiony z beznadziejnie zacofanych wiosek, lecz wprost z religii wywiedziona tradycja.

To islam jest odpowiedzialny za *namus*, jak w języku tureckim określany jest „honor", zraniony choćby „nieodpowiednim" ruchem ręki lub spojrzeniem kobiety. *Namus* nie jest w naszym rozumieniu pojęciem prawnym, ale jest nim w myśl szariatu, a plama na honorze musi zostać zmyta krwią ofiary. Do 2004 kodeks karny Turcji uwzględniał „okoliczności łagodzące" w wypadku mordu w obronie „zhańbionego" honoru. Ze względu na starania Turcji o członkostwo w Unii Europejskiej zapis ten został zmieniony – mord jest mordem, ukamienowanie jest mordem, zakopanie żywcem w ziemi jest mordem i hańba na honorze żadnej nie odgrywa już roli. Nie oznacza to, że policja nie ma trudności z ustaleniem zabójcy i przebiegu przestępstwa. Prawo na papierze ma znaczenie tylko wówczas, gdy zapisane zostanie także w głowach.

Dziennikarka turecka Ays¸e Önal wydała w 2008 w Londynie książkę *Honor albo śmierć. Niewierne będą ginąć*. Jej główne pytanie, bolesne i bezradne, brzmi: dlaczego nas zabijacie? Önal opowiedziała historię morderców, którzy pozbawiając życia swoje matki i siostry, nie byli samotni. Bóg czuwał nad nimi i prowadził ich rękę. To jemu chcieli się przypodobać. Zabijali, bo tak ich nauczono, bo tak nakazywała ich bezlitosna religia. Nie polecam tej książki tym, którzy widzą świat z perspektywy wygodnego fotela, zasobnej lodówki i domowej harmonii w szczęśliwej rodzinie. Polecam ją tym, którzy wierzą i wiedzą, że świat jest biedny, okrutny, niemiłosierny, bezlitosny. Że blisko mu do piekła i nie będzie lepszy.

Rytualny mord w obronie zhańbionego honoru w Berlinie, Brukseli, Marsylii, Rotterdamie czy Londynie nie jest na obczyźnie. Jest u siebie w domu. Nie miejmy złudzeń. Ręki brata-mordercy lub ojca-mordercy nie powstrzyma żaden paszport, żadna zapomoga, żadne *tło migracyjne*. Klienci niemieckich urzędów socjalnych mogą nawet jeździć, jak inni, dobrymi samochodami, młodzi mężczyźni mogą ubierać się dokładnie tak samo jak ich niemieccy rówieśnicy. Nie ma znaczenia. Religii i jej kodeksów nie zatrzymały granice Europy. Przeciwnie, upchane do podróżnych toreb, wyłożone zostały uroczyście w Berlinie jako największy skarb i za pomocą tych samych pradawnych metod skutecznie uodpornione na zachodnią infekcję.

Po latach islamowi jest za ciasno w mieszkaniach komunalnych i socjalnych, wychodzi więc do ogrodów, na ulice, do pływalni, szkół, urzędów i banków. Pod hasłem walki z nietolerancją, dyskryminacją i rasizmem wciska się wszędzie tam, gdzie swoje interesy uznaje za najważniejsze. Muzułmańskie dzieci nie muszą wcale zdobywać zachodniego wykształcenia, wystarczy im nauka w szkole koranicznej. Rodzice nie przygotowują ich do życia w społeczności zachodniej. Przygotowują je do dominacji nad tą społecznością według własnych reguł, nakazów i zakazów, o których wiedzę wynoszą z domów. Ich kodeksem jest ostatnie słowo Najwyższego – religia, najbardziej rozwinięta wśród wszystkich wyznań.

Dlatego misja burmistrza Buschkowsky’ego – ratowanie muzułmańskich dzieci i młodzieży w jednej dzielnicy Berlina w gruncie rzeczy przed ich własnymi rodzicami, aby zdobyły wykształcenie, aby obyły się ze światem zewnętrznym i zrozumiały go – to *mission impossible*. W jego retoryce nie ma słów o społeczeństwie obywatelskim. To przecież produkt z innego świata, z planety odległej o setki lat świetlnych, coś, co nie jest w stanie przeniknąć do świadomości ogarniętych religijną gorączką, ani opisać stopniowego, konsekwentnego zawłaszczania ziemi przez islam. W Antwerpii, Paryżu, Brukseli, Marsylii i tak samo w Berlinie miernikiem narastającej islamizacji przestrzeni publicznej nie jest wyłącznie burka w supermarkecie czy chusta na głowie w szkołach. To jest nielegalna, cicha, podstępna aneksja wolności innych.

Liberalni Żydzi w Berlinie nie zakładają już kipy, kiedy wybierają się do synagogi, ich ortodoksyjni sąsiedzi redukują elementy tradycyjnego ubioru, aby nie wpadać w oko, przecież nie niemieckiemu policjantowi, tylko współobywatelom innego wyznania. Rośnie liczba znieważeń i ataków, których w obawie przed zemstą nie zgłaszają policji. Wolność nie jest dla wszystkich, skoro ukazujące się od lat w Berlinie żydowskie pismo „Jüdisches Berlin" nie będzie już, ot tak, normalnie rozsyłane pocztą, tylko pakowane w neutralną kopertę, aby ani listonosze – wielu z nich to ci „z tłem migracyjnym" – ani nikt inny po drodze nie czuł się dotknięty i nie znalazł powodu do „interwencji". Na etykietkach zresztą podawane są adresy, łatwo po nich zidentyfikować tysiące Żydów, którzy mają powody do obaw.

Książki zatroskanego burmistrza wywołały oburzenie. I wcale nie w środowisku muzułmańskim, które nie interesuje się rozterkami berlińskiego gospodarza – stosunek do islamu to przecież nie problem muzułmanów, tylko Niemców. Wątpliwe też, aby ktokolwiek w „równoległym świecie" sięgnął po książki opisujące jego rytuały, tam są one dobrze znane i dobrze się z nimi żyje. Dyskutowali z sobą głównie Niemcy.

Zbrodnia w Paryżu, kolejna w łańcuchu krwawego terroru wojowników Allaha, spotęgowała oczywiście obawy także w Niemczech, ale tylko w niewielkim stopniu zmieniła atmosferę i istotę debaty. Zatroskanych, takich jak Buschkowsky, w Niemczech nie brakuje, ale ich głos niknie w chórze „objaśniających" zjawiska apostołów humanizmu, którzy naprawiają „niewłaściwe" podejście, naruszające dobre imię islamu. I naraz okazuje się, że ofiary strachu i przemocy źle widzą, niedosłyszą, nie rozumieją, popadają w kabotynizm, sami się wykluczają. No bo jak to – w Paryżu islamiści mordują rysowników i Żydów, wykrzykują: *Allah akbar!*, zapowiadają krwawą rzeź, a my z lenistwa, nieuctwa, czy po prostu z nieprzyzwoitego uprzedzenia kojarzymy ten bestialski czyn z islamem zamiast z kosmosem. Tak nie wolno, to wielkie wypaczenie, islam nie ma z tym nic wspólnego – upominają sprostowania. Sami mordercy określają się wprawdzie jako sługi Allaha i miecz w jego ręku, ale najpewniej źle to nam przetłumaczono.

Oto bowiem wydawana w Monachium gazeta internetowa „The Huffington Post Deutschland”, niemiecka odnoga amerykańskiego przedsięwzięcia „Huffington Post International” należącego do AOL Europe Holdings Media, przekonuje nas, że debata na temat odpowiedzialności islamu za terroryzm i morderstwa prowadzi nas w złym kierunku, wiedzie na manowce, nie dotyczy bowiem istoty problemu, czyli islamu. Pogląd charakterystyczny dla adwokatów humanistycznego islamu i odwracania kota ogonem czyniącego nas odpowiedzialnymi za mordy, których padamy ofiarą. Pismo wymienia pięć powodów, aby żadnej odpowiedzialności za zamachy w Paryżu nie przypisywać islamowi. Warto je poznać i zapamiętać do następnego krwawego czynu tych, którzy dżihad w prostej linii wywodzą z islamu.

Islam nie jest równoznaczny z islamizmem, tak jak islamizm nie jest równoznaczny z radykalnym islamizmem, poucza „Huffington Post Deutschland”. I zaraz nas karci – jeżeli tak sądzimy, to ulegamy pomieszaniu pojęć. Na świecie żyje ponad miliard sześćset milionów muzułmanów i w żaden sposób nie wolno utożsamiać ich religii z ruchem islamizmu, który z niej czerpie. A dlaczego nie? Ponieważ nie wszyscy muzułmanie tego chcą, a najlepszym przykładem jest, jak pisze gazeta, twórca nowoczesnej sekularnej Turcji Mustafa Kemal Atatürk. To prawda, ale zdarzyło się to dziewięćdziesiąt lat temu. Przypomnijmy. Atatürk zlikwidował sułtanat, zniósł władzę kalifa, przegonił z przestrzeni publicznej chusty, czadory, burki, turbany. Wprowadził łaciński alfabet na miejsce arabskiego. Zniósł islamskie szkolnictwo. Zrównał w prawach kobiety. Uczynił religię sprawą prywatną. Dla podkreślenia charakteru reform symbolicznie przeniósł stolicę ze Stambułu do Ankary.

W 1925 wielki turecki przywódca, krytykując zakrywanie się kobiet, wypowiedział słowa, które dziś powinny być wypisane na wszystkich publicznych basenach, na przystankach tramwajowych, w metrze, operze, we wszystkich szkołach i urzędach, wszędzie tam, gdzie dzisiejszy islam żąda od nas zgody na noszenie burek, czadorów i hidżabów:

> Przyjaciele, to jest również wina naszego egoizmu. Przyzwoite i ostrożne zachowanie jest wprawdzie konieczne, ale szanowni przyjaciele, także kobiety, jak my, są wyposażone w rozum i są

> rozsądnymi ludźmi […]. Powinny one nie tylko swoje oblicza pokazać światu, ale i swoimi oczyma bez zasłon świat ten uważnie obserwować. Nie ma się tu czego obawiać.

Piękne słowa – kobiety mają rozum, są rozsądnymi ludźmi, nie powinny zasłaniać twarzy, niech świat je ogląda, ale i one niech go oglądają. To wręcz feminizm. A może nawet, z punktu widzenia niektórych ortodoksyjnych religijnych ideologów – *gender-pure*. Powiedziane prawie sto lat temu. I cóż z tego. Według wojujących islamistów niepasujące do naszej rzeczywistości. Zegar cofa wskazówki.

Każdy, kto zna trochę Turcję, wie doskonale, jak wiele Turcja i Europa zawdzięczają Atatürkowi. Dlaczego ma do czynienia z pięknym, otwartym na gości krajem, imponującą kulturą i tradycją. Ankara, Stambuł to wielkie tętniące życiem metropolie, a orientalny flair dodaje im uroku. Czy przeszkadza nam w małych uliczkach starego Stambułu głos muezina wzywającego wiernych na modlitwę do meczetu? Nie, to jest ich ziemia i ich obyczaj.

Turcja jest też bardzo solidnym członkiem NATO. I stanowi barierę przed fundamentalistycznym islamem z Bliskiego Wschodu i Arabii, pamiętajmy o tym. Ale wytrawnemu obserwatorowi nie umkną objawy redukcji tego, co świeckie. No i turecki islam w Berlinie też nie wziął się z powietrza, został w Turcji przechowany w wiejskich chałupach i wraz z migracją dostarczony do Niemiec. Aż strach pomyśleć, z jaką odmianą islamu Heinz Buschkowsky miałby w Berlinie do czynienia, gdyby nie odważne reformy tureckiego polityka, wycofywane przez aktualnych przywódców kraju.

Dalej „Huffington Post Deutschland” objaśnia, że islamizm, kiedy chce, *może pokazać też swoje bardziej miłosierne oblicze*. Bo przecież Koran nakazuje opiekę nad chorymi i wsparcie biednych. Nie mówmy więc, że jest bezlitosny i nieczuły. W razie czego przyzna nam zapomogę.

Wśród muzułmanów islamiści są mniejszością, to kolejne odkrycie niemieckiej wersji internetowej gazety amerykańskiej. W rewanżu trzeba powiedzieć – na całe szczęście. I dodać, że nie większość muzułmanów jest problemem, ale właśnie owa mniejszość uważająca siebie za elitę wyznaniową. Właśnie elitarność jest tak niezwykle atrakcyjna i pociągająca

dla młodych muzułmanów, którzy chcą znaleźć się w jej kręgu. To mniejszość wśród muzułmanów, to elita islamska ścina głowy w tak zwanym Państwie Islamskim. I nie tylko tam.

Ale i na wymowę tych prostych faktów „Huffington Post Deutschland" potrafi znaleźć wyjaśnienie. Zbrodniarze z Paryża i wszyscy inni „porwali" religię, zawładnęli nią dla swoich celów. To oni wypowiedzieli Zachodowi wojnę. Chcą narzucić mu swoje panowanie. „Ale te zamiary nie mają nic wspólnego z fundamentami islamu", pisze, jak sądzę poważnie, niemiecka gazeta. Wychodzi więc na to, że fanatycy muzułmańscy są bezideowcami i niewiernymi, poganami. To prawda tak straszna, że nie wolno jej im ujawnić.

Kto wierzy, że za zamachy w Paryżu odpowiedzialny jest islam, ten przejmuje argumentację zamachowców, mówi ich językiem. Właściwie należałoby zamilknąć. Ale to gorzkie wino trzeba wypić do końca. Tak, właśnie tak myślimy, że za zamachy odpowiedzialny jest islam. Pokornie czytamy zatem dalej: *to jest dokładnie to, co zamachowcy chcą osiągnąć: narzucić nam w imieniu islamu wojnę!* I dalej pada z tej ambony, że żadna religia nie usprawiedliwia mordu. A jeżeli znajdą się muzułmanie, którzy tak sądzą, to nadużywają swojej religii. Ale nie są sami. Podobnie czynią chrześcijańscy Europejczycy, którzy chcą prowadzić wojnę polityczną kosztem tej wielkiej światowej religii. Jesteśmy więc wspólnikami. Islam w Paryżu trzymał karabin, chrześcijaństwo nacisnęło na spust.

Również w imieniu chrześcijaństwa zdarzyły się nienawiść i wiele gwałtu. Ale chrześcijaństwo nie ponosi za to odpowiedzialności – wyciąga do nas rękę „Huffington Post Deutschland". Prawdziwie diabelska pułapka. Zgodzimy się z tą tezą, to przyznamy, że islam też jest niewinny. Nie zgodzimy się – i tak przyznamy, że chrześcijaństwo wydało z siebie mord i gwałt. Zatem musimy jasno powiedzieć: tak, były wyprawy krzyżowe i krzewienie wiary ogniem i mieczem. Ale w czasach, kiedy chrześcijanie byli sfanatyzowani i fałszywie pojmowali własną religię. Jezus powiedział bowiem, *idźcie i nauczajcie*, nie zaś *idźcie i zabijajcie w moje imię*. Chrześcijanie muszą się tego wstydzić, odpowiadają za to, ten grzech ciąży na nich na wieki. A ich pokutą jest wciąż prosić o przebaczenie i nigdy więcej nie pozwolić, aby takie wynaturzenie w jakiejkolwiek formie się powtórzyło.

„Huffington Post Deutschland” tego nie pisze, ale inni bardzo często – islam ma za sobą dopiero czternaście wieków, jest od chrześcijaństwa sześćset lat młodszy i dziś popełnia te same grzechy co chrześcijaństwo sześćset lat temu. Tak, to prawda. Liczby się zgadzają i rachunek się zgadza. Tylko świat się nie zgadza, i ludzie, którzy w nim żyją.

No i ostatnia teza „Huffington Post Deutschland”, tłumaczącego nam, dlaczego islam nie ma nic wspólnego z zamachami terrorystycznymi jego wojowników. Chodzi o karykatury. „Karykatury są prowokacją, ale nie powinny wywoływać przemocy”, pisze gazeta. To jest problem polityki i kultury, nie religii. Jeżeli jednak dochodzi do prowokacji i w rezultacie do reakcji muzułmanów, to kryje się za nimi nienawiść i ludzie, którzy z tej nienawiści czerpią profity. Kto dokładnie, nie wiadomo, gazeta nie ujawnia tajemniczych sukcesorów. Ale możemy się domyślić, wystarczy zwykła logika – profity czerpie ten, kto prowokuje, i jego zleceniodawcy. Zatem prowokatorami są wolnomyśliciele, bo to oni malują, rysują i piszą. Zleceniodawcą – nasz wolny świat i to, jak my go pojmujemy. My mówimy o wolności ekspresji, ale naprawdę chodzi nam o atak na świat muzułmański. Zostaliśmy zdemaskowani.

I wreszcie gazeta wyciąga ostateczny wniosek: „Muzułmanie wykazują wprawdzie niezręczność w podejściu do duchowości, ale w żaden sposób nie wolno tą niezręcznością obciążyć islamu”. Odpowiedzialność leży zatem po naszej stronie. Nic dodać, nic ująć. Islam należy do Niemiec.

A skoro należy, pozostaje tylko ułożyć sobie z nim stosunki. Wiele lat dyskusji i debat, dziesiątki mordów i coraz bardziej drastyczne akty terroru z okrzykami *Allah akbar!* na ustach nie otwierają nam oczu, nie redukują gotowości do układania stosunków. Przeciwnie. Ludzie boją się nie islamu, tylko islamistów, brzmi diagnoza. Jeżeli się porozumiemy, ułożymy z islamem, zniknie i obawa przed islamistami, to przecież dwie różne substancje, niezależne od siebie zjawiska. Pozostaje jednak najważniejsze pytanie, kto ma wziąć na siebie obowiązek walki z islamistami. Muzułmanie nie, nie mają z nimi przecież nic wspólnego. Musimy uporać się z tym sami, ale to niełatwa i niebezpieczna droga, skoro każdy krok w tym kierunku odbierany jest jako „islamofobia”. Przykładem są demonstracje Pegidy w Dreźnie. Wszyscy, którzy w nich uczestniczą – rzemieślnicy, nauczyciele, urzędnicy, malarze, artyści, robotnicy,

chrześcijanie i ateiści – to podejrzane typy, odpryski ideologii rasistowskiej, naziści i kabotyni. Ludzie, którzy przynoszą Niemcom wstyd, stawiają Bundesrepublik w złym świetle. Islam należy do Niemiec.

Gdzie szukać ratunku, kiedy nawet przedstawiciele Kościołów niemieckich stronią od wsparcia dla tych, którzy chcą nam otworzyć oczy? Przewodniczący Kościoła ewangelickiego w Niemczech, biskup Heinrich Bedford-Strohm w jednym z wywiadów na pytanie, czy islam należy do Niemiec, odpowiedział z rozbrajającą szczerością: *Nie mogę sobie wyobrazić, abym mógł powiedzieć, że muzułmanie należą do Niemiec, ale ich religia już nie*. Nie miejmy więc złudzeń, aneksji niemieckiej ziemi przez islam nikt już nie zatrzyma. Pozostaje ułożyć stosunki. Na jakich i czyich warunkach?

Odpowiedzi udziela renomowana gazeta niemiecka „Frankfurter Allgemeine Zeitung", publikując pięć tez za islamem niemieckim. Gazeta pisze: „Dla wielu niemuzułmanów islam nadal pozostaje obcy. Być może Niemcy muszą najpierw stać się częścią islamu, aby oni odbierali Niemcy jako część islamu". Jak może wyglądać niemiecki islam? Pięć tez.

Pierwsza głosi, że *islam niemiecki musi być głoszony po niemiecku*. Język niemiecki nie przebił się do meczetów, nie wypchnął z nich arabskiego, nauki i modlitwy głoszone są po turecku albo arabsku. Dlatego dzieci i młodzież muzułmańska żyją w dyskrepancji – rzeczywistości meczetów nie utożsamia się z rzeczywistością zewnętrznego świata. Wystarczy więc, że niemiecki stanie się językiem islamu i pierwszy krok zostanie uczyniony.

Postulatu tego nie wypada właściwie komentować, świadczy o całkowitym oderwaniu od rzeczywistości i zwykłej niewiedzy. Ale spróbujmy. Otóż, nie ma islamu poza językiem arabskim. Pisałem już: można mieć w domu kilka tłumaczeń Koranu na kilka języków, żadne nie będzie wersją uprawnioną. Jedynym obowiązującym i świętym jest Koran w języku arabskim. Dlatego nauki i kazania wygłaszane są po arabsku, dlatego jedyną prawdziwą modlitwą jest modlitwa w tym języku, dlatego muezin wzywa na modlitwę po arabsku niezależnie od tego, w jakiej części świata stoi meczet. Allah prorokowi Mahometowi dał Koran w tym języku i żaden inny nie może się stać językiem Koranu. Ani francuski, ani polski, ani niemiecki. Poza arabskim nie ma islamu.

Druga teza wzywa, aby *islam niemiecki* (kiedy już go stworzymy) *przyjął do wiadomości, że tak w Niemczech, jak i w Europie pozostanie religią mniejszości*. Co to oznacza w praktyce? Ano to, że musi respektować symbole: minarety nie powinny być wyższe od wież kościołów chrześcijańskich. I musi zrezygnować z przejmowania kościołów pustych, nieużywanych przez chrześcijan. Oczywiście jest to postulat wypowiedziany w ramach wolności i obywatelskich obowiązków. Ale rzecz w tym, że muzułmanie nie czują się nimi związani. Budują meczety tak wysokie, jak chcą, i z zamysłem, aby przesłaniały budowle chrześcijańskie. Dobrowolnie nie ustąpią, a siłą i tak ich nikt nie zmusi.

Trzecia głosi: *Niemiecki islam musi być wypełniony ideą wolności i tolerancji*. To pusty postulat, żaden muzułmanin nie odczuwa islamu jako upokorzenia, jako bezwolnego stanu zbędnej niewoli, a samo słowo „tolerancja” w Koranie w ogóle się nie pojawia. Muzułmanie nie mogą i nie chcą być wolni w naszym znaczeniu. Nazwa ich religii brzmi: „uległość”. Wyznając ją, są ludźmi na wskroś wolnymi. A z tolerancją taką, jak my ją rozumiemy, właśnie walczą. To znaczy wykorzystują nasze skłonności i przyzwyczajenia do zagrabiania przestrzeni publicznej.

Czwarta teza budowania islamu niemieckiego, który sprawi, że Niemcy staną się częścią islamu, a islam częścią Niemiec, mówi o tym, że *muzułmańskie wspólnoty muszą być bardziej cool od dotychczasowych*. Trzeba przyznać, że coś takiego mógł napisać tylko ktoś wysoce nieodpowiedzialny. Otóż młodzież, także muzułmańska, lubi być bardziej cool niż inni, pisze autor. I tylko wtedy, kiedy będziemy dla niej bardziej cool od innych, przeciągniemy ją na swoją stronę. Już to robią salafici – oferują wszak przygodę i zmierzenie się z niebezpieczeństwem. „Młodzi muzułmanie”, pisze autor dalej, „też mają dosyć gderania rodziców i chcą być very cool”. Oto droga do opanowania nawyków i tęsknot młodych muzułmanów. Islam cool. Myślę, że autor tej tezy wymyślił ją tylko dlatego, aby którejś mu nie zabrakło, skoro na początku napisał, że jest ich pięć.

No i ostatnia, piąta, tak poważna, że ciarki chodzą po plecach. *Islam niemiecki musi uwzględniać specyficzną niemiecką historię*. Krótko – niemiecki muzułmanin musi myśleć jak Niemiec obciążony wojnami światowymi i dziedzictwem Holocaustu, który wie, co to nazizm i jego

spuścizna. Musi sobie wyobrazić, na przykład, że jego dziadek trzymał w ręku puszkę z trującym cyklonem. Jest to historyczne wyzwanie o długofalowych skutkach. I całkowicie obok, zupełnie zbędne. Jak wiadomo, muzułmanie nie tylko tak nie myślą, nie tylko nie czują się obciążeni, ale i niewiele wiedzą o niemieckiej historii i jej dziedzicznych garbach, nie chcą wiedzieć i nie ma sposobu, żeby stali się częścią niemieckiej tradycji i historii – dobrej czy złej, wszystko jedno. Nie mają z nią po prostu nic wspólnego, i mieć nie będą, a własnych przewin i grzechów także im nie brakuje. Nie przyjmą cudzych, aby pozbyć się swoich. Ale to nie wszystko, z tezy wynika bowiem inny bardzo subtelny postulat, właściwie nawet zachęta, mianowicie taka, że im szybciej i gremialniej Niemcy przejdą na islam, tym szybciej stanie się on niemiecki, wraz z konwertytami przejmie bagaż historii i stanie się ucywilizowany, nasz, własny. I wówczas nie będziemy się musieli go obawiać.

Przypomnę na koniec punkt wyjścia – wpierw Niemcy jako naród muszą stać się częścią islamu, a wówczas islam odbierany będzie w Niemczech jako ich istotna część, przynależna do jego substancji.

Były prezydent Niemiec Christian Wulff, a za nim kanclerz Angela Merkel ogłosili Niemcom i światu, że islam należy do Niemiec. To nieprawda. Niemieccy niepoprawni humaniści otworzyli nam bowiem oczy – to Niemcy stają się częścią islamu. Klamka zapadła i nie ma odwrotu.

W przeciwnym razie pozostaje tylko przenieść się na Majorkę.

Islamsterdam

To już dziesięć lat, ponad dziesięć lat od tamtego zimnego listopadowego poranka na jednej z ulic w centrum Amsterdamu.

Czas płynie szybko, a jednak w 2014, drugiego listopada, jak każdego roku o tej porze znów zatrzymał się w miejscu. I znów nie krył zdziwienia, zaskoczenia i bezradności. Mord był niezwykle brutalny, wręcz wzorcowy dla mordów dokonywanych przez salafitów. Szokujący wtedy i wstrząsający także dziś. Ofiara właśnie wsiadła na rower. Najpierw z bliska padł strzał, ranny mężczyzna nie miał już szans, nie mógł uciec. Potem morderca bez pośpiechu, patrząc w oczy, rytualnie podciął mu gardło. Następnie przyłożył do piersi przygotowany wcześniej list z wyrokiem i wbił nóż w serce. Starsza kobieta – przypadkowy świadek zbrodni – bezradnie krzyczała w stronę mordercy: „Niech pan przestanie! Niech pan przestanie, nie może pan tego zrobić, nie może!”. „Mogę, i to jeszcze jak mogę”, odpowiedział jej spokojnie. I wbił nóż aż po rękojeść. „Wszystkich was to czeka”. Chwilę później było po wszystkim. Ofiara nie żyła. Doszło do wymiany ognia z policją, morderca został ranny, obezwładniony i zatrzymany. Strzelał do policjantów w nadziei, że go zabiją. Gdyby tak się stało, zginąłby w walce za wiarę, stałby się męczennikiem.

Ofiarą mordu był reżyser i publicysta, satyryk i literat Theo van Gogh, prawnuk sławnego malarza Vincenta. Mordercą dwudziestoszścioletni Mohammed Bouyeri. Też Holender, tyle że wcześniej z Maroka. Obaj mieszkali w Amsterdamie – mieście wolności i tolerancji.

Theo van Gogh korzystał z niej bez ograniczeń. Prowokował, przesadzał, poszerzał jej granice, ale zawsze w obowiązku zachowania dziedzictwa wolności słowa i wypowiedzi. Krytyczny, dostrzegał społeczne problemy szybciej i głębiej od innych, widział je w szerokich kontekstach, w przestrzeniach wykraczających poza jego własną. Równie bezpardonowy

i krytyczny także wobec samego siebie, spoglądał na siebie z dystansem. Fotografował się w masce w kształcie świńskiego łba, mówił o sobie, że jest najbrzydszym mężczyzną Holandii. Był prestidigitatorem, kolorowym ptakiem, klownem i we wszystkich tych rolach przede wszystkim emanacją wolności słowa.

Jego morderca wyrastał tylko kilka przecznic dalej, pił to samo piwo i od czasu do czasu wypalał jointa. W Amsterdamie to żadna ekstrawagancja. Jak inni w jego wieku przemieszczał się po strefach holenderskiej wolności, chociaż sam ani o nią nie walczył, ani nie zabiegał, aby trwała – czynił to za niego Theo van Gogh. I Mohammed przez wiele lat wydawał się jednym z nich wszystkich, Holendrów, człowiekiem, który nie grabił wolności innych. Na tle rosłych blondynów wyróżniały go jedynie nieco inny kolor skóry, barwa włosów – cechy niewidoczne w tolerancyjnym społeczeństwie holenderskim. Do czasu. W którymś momencie Bouyeri powrócił do meczetu, uległ praktykowanej tam duchowości salafickiej i krok po kroku ześlizgnął się w stronę wojującego islamu. Zmienił ubiór i wygląd, stawał się coraz bardziej radykalny. Zanim pozbawił życia Theo van Gogha, był już kilkakrotnie notowany przez policję. Rytualny mord na bluźniercy przeciw Allahowi miał być jego szczytowym religijnym osiągnięciem. I powinnością.

Nóż, którym poderżnął reżyserowi gardło, miał wcześniej pozbawić życia Ayaan Hirsi Ali, holenderską Somalijkę, która porzuciła islam. Hirsi Ali stała się jedną z pierwszych i głośnych wojowniczek o prawa muzułmańskich kobiet. Ostro i bezkompromisowo występowała przeciw ich obrzezaniu. Międzynarodowa Organizacja Zdrowia szacuje, że każdego roku na świecie ofiarami tej barbarzyńskiej tradycji pada ponad trzy miliony kobiet. Tysiące z nich umierają w męczarniach. Większość w Afryce, Malezji, Indonezji. W Europie obrzezanie kobiet jest zabronione, co nie znaczy, że niedokonywane. Dzieje się tak przede wszystkim w środowiskach ortodoksyjnych muzułmanów, którzy do Europy trafiają z odległych, tradycyjnie fundamentalistycznych islamskich enklaw. Hirsi Ali nie godziła się z rolą i miejscem kobiety w islamie, z jej upodleniem, poddaństwem, niewolą. Stała się przeciwnikiem islamu, islam stał się jej wrogiem. Było kwestią czasu, kiedy dosięgnie ją karząca ręka wiernych. To ona, a nie Theo van Gogh miała być ofiarą islamskiego egzekutora.

Ale jej ochrona została wzmocniona po ujawnieniu ostatniej wspólnej produkcji Hirsi Ali i Theo van Gogha, krótkiego filmu *Submission* (2004). Hirshi Ali była autorką scenariusza. Obraz nie ma fabuły, chodzi w nim raczej o narracyjne sugestywne zderzenie ciała kobiety ze słowem Koranu, źródłem kobiecego upokorzenia i ucisku. Film pokazuje młodą kobietę Aminę, która w pomyślanym jako modlitwa wewnętrznym monologu ujawnia swoje uczucia do Allaha. Amina mówi w imieniu trzech ciężko doświadczonych kobiet, opowiada ich przypadki, typowe dla uległości i podporządkowania w islamie – o przymusowym małżeństwie, o małżeńskim gwałcie, o biczowaniu za przedmałżeński stosunek płciowy. Jej dramatyczne wyznania ilustrowane są odpowiednio dobranymi wersetami koranicznymi wyświetlanymi na jej nagim ciele.

Film był dla Hirshi Ali wyrokiem śmierci. Bouyeri śledził ją, przygotowywał zamach. Jej niedoszły morderca nie obawiał się kul policji, która ją ochraniała, ale nie chciał zginąć przed zamachem, przed wykonaniem wyroku. W swojej autobiografii *Moje życie* Hirsi Ali pisze: „Czasem jestem pytana, czy tęsknię za śmiercią, skoro mówię rzeczy, które mówię. Moja odpowiedź brzmi – nie, chciałabym móc dalej żyć. Ale nie mogę milczeć, ponieważ w niektórych sytuacjach poprzez milczenie stajemy się wspólnikami bezprawia”. Wiedziała, że jest zagrożona, otrzymywała nieustannie listy z pogróżkami. Theo van Gogh chroniony nie był. Wprawdzie i on otrzymywał dziesiątki listów z wyrokami, ale z nich kpił. Uważał, że chroni go wszystko to, co składa się na substancję Holandii. Tyle że Bouyeri już do niej nie należał.

Film jest krótki, zaledwie jedenastominutowy, w telewizji holenderskiej VPRO (wcześniej eksponowała swój rys protestancki, dziś rozwija się raczej jako telewizja alternatywna) pokazany został tylko raz, w 2004, dwudziestego czwartego sierpnia, później nie było już ani odważnych, ani chętnych.

Ale ten krótki film poprzez swoje konsekwencje wiele zmienił w niderlandzkiej przestrzeni publicznej. Po pierwsze, sprawił, że pojawiła się w niej świadomość istnienia mordu religijnego, egzekucji dla inaczej myślących, ingerujących w obszary zastrzeżone dla islamu. Chociaż – spójrzmy na chwilę odważnie w przyszłość – w perspektywie jego zwycięstwa także oni będą mu podlegać jak wszyscy muzułmanie. Po

drugie, rozniecił debatę o wolności i identyfikacji w nieznanej dotychczas formule i w tym raz na zawsze, jak się wydawało, uporządkowanym społeczeństwie doprowadził do polaryzacji postaw. Po trzecie, ustanowił cezurę w wolnej od uprzedzeń i tabu debacie narodu chętnie czytającego, dyskutującego i poszukującego dialogu. I po czwarte wreszcie, wbił najważniejszy gwóźdź do trumny niderlandzkiej utopii wielokulturowego społeczeństwa.

„Łaski, łaski, możemy przecież o tym porozmawiać", brzmiały ostatnie, błagalne słowa holenderskiego reżysera skierowane do mordercy. Ilustrują one przepaść, którą ten barbarzyński mord otworzył, i jej niszczycielską głębię. Bouyeri nie chciał rozmawiać, nie miał swojej ofierze nic do powiedzenia, wykonywał wyrok. Rozmawiać zresztą nie mógł, wszystko to, co personifikował swoją osobą i swoim czynem, odrzuciło bowiem rozmowę kata z ofiarą. Wszystko, czym Bouyeri duchowo karmił się przed rytualnym mordem, nieodwołalnie skazywało na śmierć Theo van Gogha.

Jednym ciosem noża Bouyeri cofnął Holandię do okresu wojen religijnych. Oświecenie potrzebowało prawie trzech stuleci, aby przebić się do nas z mocą rozsądku i rozumu, otworzyć przed nami przestrzeń debaty i wpoić nam, że konflikty rozwiązujemy w dyskursie. Że religia nie może stanowić o porządku społecznym, a wyznanie nie jest instytucją prawa i państwa, ponieważ to zawsze prowadzi do katastrofy. Że posługujemy się słowami, a nie nożami, że przekonujemy się opiniami, a nie mordami, że nie ścinamy sobie nawzajem głów, kiedy się różnimy.

Rytualna egzekucja Theo van Gogha uzmysłowiła, że w laickim społeczeństwie znów występują problemy i zjawiska religijne, o których lepiej nie mówić, ponieważ niosą ze sobą niebezpieczeństwo utraty życia. W tym sensie ofiara reżysera holenderskiego poszła na marne – w społeczeństwie dotychczas pozbawionym barier i pławiącym się w wolności słowa ujawnione zostały obszary tabu i związane z nimi strach, obawa i groźba śmierci. Nawet dyskusje na temat tych zagrożeń nie mogą już przebiegać w atmosferze całkowicie pozbawionej groźby i sankcji. Przeciwnie, uczestnicy społecznej i politycznej debaty o stanie społeczeństwa wielokulturowego zachowują w pamięci krwawe sceny z listopadowego mordu. Ta świadomość odbiera jej potrzebną szczerość

i walor niezależności. Znosi potrzebny w niej dystans. Pisałem o tym wszystkim w swojej książce o Holandii.

Od tego czasu Holandia musi mierzyć się z ujawnionym przez dramat reżysera światem, jakiego nie znała, nie mogła i zapewne nawet znać nie chciała. Holendrzy są narodem handlarzy, kupców i żeglarzy. Na trasach swoich kupieckich wędrówek islam poznali kilkaset lat wcześniej. Kooperowali z muzułmanami, handlowali z nimi. Przez dziesiątki powojennych lat, gdy islam zawitał do nich, jego obecności na ziemi holenderskiej nie tyle nie przyjmowali do wiadomości, ile otoczyli ją tolerancyjną obojętnością. To się teraz zmieniło. Ale nie dlatego, że Holendrzy zaczęli być ciekawscy wbrew swojej naturze. Islam wdarł się do ich świadomości rytualnym mordem, aktem pełnym wynaturzenia i niezwykle obcym kulturze narodu. Dziś obecność islamu nie ogranicza się wyłącznie do muzułmańskich dzielnic starych miast, do licznych meczetów niedostępnych dla niewiernych. Obecność islamu przeniknęła z całym impetem do debaty politycznej i obywatelskiej. Wkroczyła do przytulnych holenderskich izb wypełnionych kafelkami z Delftu i obwieszonych Rembrandtami, stała się tematem popołudniowej rozmowy Holendrów przy kawie i ciastku.

Jakże wielkim szokiem dla wielu była wiadomość, że ekspansja muzułmanów zredukowała w Amsterdamie obecność Żydów (właściwie w żadnym innym kraju europejskim nie spotyka się tak często i tak wielu agresywnych napisów, plakatów, ulotek, naklejek na szybach autobusów czy tramwajów – „żydzi do gazu” – pisanych przez młodych islamistów). Że ich stary, piękny Amsterdam właściwie już do nich nie należy, ponieważ przez muzułmańskich mieszkańców nazywany jest bez ceregieli – Islamsterdam. Dowiedzieli się, że już niemal co drugi mieszkaniec Rotterdamu nie jest rodowitym Holendrem, a w Utrechcie są szkoły, w których nie ma ani jednego holenderskiego ucznia. A także, że ponad milion holenderskich muzułmanów – w większości Marokańczyków i Turków – mieszka głównie w czterech miastach kraju: Amsterdamie, Rotterdamie, Hadze i Utrechcie. Że zamieszkane przez nich strefy wciąż się powiększają, a wraz z nimi przybywa obszarów „no-go area”, wolnych nie tylko od obecności „autochtonów”, ale i policji. Nie trzeba zresztą jechać do Rotterdamu czy Utrechtu, wystarczy mieszkać na prowincji, również

i tam pośród pięknych starych wiązów, znanych z obrazów mistrzów holenderskich, w oczy rzucają się minarety meczetów.

Dla Bouyeriego, kiedy odkrył w sobie islam, wszystko na tym świecie było święte, tak jak dla Theo van Gogha nic nie było święte. Van Gogh w odrzuceniu ikon szukał inspiracji, tworzył własne uniwersum absolutnej wolności wpisanej w przestrzeń holenderskiego porządku. Nie jest to ścieżka, którą na co dzień podążają miliony Holendrów, nie każdy przecież musi być van Goghiem, ale każdy z nich żył w tej przestrzeni wolności tak, jak gdyby mógł nim być w każdej chwili. Mordujący van Gogha Bouyeri przeciwstawił mu własne uniwersum – uniwersum ludzi pozbawionych wolności, podległych i uległych Bogu, w imieniu którego on sam był egzekutorem. Mieszkali obok siebie, mijali się na ulicach, znali te same marki piwa i obaj palili jointy. Mówili tym samym językiem. A jednak nie znali nawzajem własnych uniwersów. Dwa bliskie, dwa odległe światy.

Zajrzyjmy na krótko za zasłonę skrywającą świat mordercy.

Jego rodzice, jak tysiące innych biednych marokańskich imigrantów, przybyli do Holandii z innej planety. To musiał być dla nich szok cywilizacyjny, i nie chodzi tu o rozmiary lotniska Schiphol, tempo i ruch na autostradach, komunikacyjne rozwiązania czy wszechogarniającą cyfryzację życia. W dalekim Maroku, wśród podobnych do siebie analfabetów przeżywali swoje życie według rudymentarnych reguł dyktowanych przez najbardziej tradycyjny wiejski islam. Idee Erazma, Spinozy, Locke’a nie miałyby tam czego szukać. Wolter był i jest dla nich kosmitą. Holenderski złoty wiek był i pozostał dla nich tabula rasa. *Straż nocna* Rembrandta i zakryta burką kobieta z dalekiej marokańskiej wioski to nie ten sam kulturowy paradygmat. Rozterki oświecenia, liberalizmu, modernizmu nie wyżłobiły w ich świadomości żadnych śladów, nie pobudziły ich, nie przedostały się do ich krwiobiegu. Emancypacja, równouprawnienie, wolność seksualna, odpowiedzialność, świadomość porządku prawnego, dowolność przekonań politycznych, brak restrykcji wyznaniowych i właśnie wolność słowa i ekspresji nie mogły być przez nich ani w pełni rozumiane, ani antycypowane. W społeczeństwie wolnym, niezdominowanym przymusem transcendencji żyli według własnych reguł, tłumaczących im świat istniejący przed wiekami. Nie mogli w ciągu dwóch

generacji przeskoczyć trzech, czterech stuleci. To niewykonalne zadanie, nawet dla narodów bliższych Holendrom, zza niedalekiej miedzy.

Struktura wyznaniowa i społeczna w Holandii opiera się jeszcze w dużej mierze na filarach religijnych – to wiekowa tradycja, spadek po krwawych wojnach religijnych. Dziś nie odgrywają one tak wielkiej, przesądzającej o wszystkim roli jak jeszcze przed pięćdziesięciu laty, ale nadal są determinantą trwale obecną w dojrzałym życiu. Filary religijne są w pełni autonomiczne i odpowiedzialne za swoich członków. Tworzą przestrzeń, w której mogą się oni spełnić. Nie potrzebują do tego absorpcji innych. Nie wtrącają się do innych. Każdy jest wolny w dochodzeniu do własnego Boga. Kooperacja międzywyznaniowa odbywa się na samych wierzchołkach, na dole praktykowane jest współżycie bez wchodzenia sobie w paradę.

Importowany do kraju islam skorzystał z tej tradycji. Stał się w Holandii jeszcze jednym filarem religijnym, może niekoniecznie przez samą swoją strukturę, ale w przestrzeni wolności duchowej, tej najważniejszej. I podobnie jak pozostałe wyznania – w pełni autonomicznym. Holendrzy nie interesowali się nauką islamu, tak jak nie ingerują w nauki własnych wyznań, nie zaglądali do meczetów. Każdy w tym kraju żyje według własnych prawideł. Nie protestowali więc, kiedy muzułmanie wprowadzili w Holandii na masową skalę barbarzyński ubój zwierząt, nierzadko w mieszkaniach. W przestrzeni duchowej Holendrów zmieścił się także islam, Holendrzy ustąpili mu sporo miejsca na kościelnej ławce. Nie mógł się więc nie rozwijać. I rozkwitał jak tulipany na polach.

Nic tak nie charakteryzuje duszy islamu jak jego wyznanie wiary, szahada. W naszym pojęciu, wyrosłym z zachodniego kręgu kulturowego, ta religijna deklaracja jest afirmacją wolności sumienia i religii. W muzułmańskiej rzeczywistości jest jednak czymś innym. Ayaan Hirsi Ali, i przecież nie tylko ona, otwierała wszystkim wokół oczy: szahada nie jest wyłącznie symbolem wyznania, jest przede wszystkim symbolem politycznym, stemplem porządku prawnego państwa. I ma swoje pozakonfesyjne konsekwencje. Nie trzeba daleko szukać. Oto jedna z najprostszych: jeżeli my znosimy bicie waszych dzwonów kościelnych, to wy musicie akceptować śpiewy naszych muezinów.

W mieszkaniach socjalnych Amsterdamu czy Rotterdamu powstawały wspólnoty beduińskie, kurdyjskie… Świat zewnętrzny nie miał i nie ma do nich dostępu. Tylko niektórzy z ich mieszkańców stali się łącznikami między dwoma przestrzeniami cywilizacyjnymi. Jednym z nich był Bouyeri, zabójca Theo van Gogha. Wyrastał w środowisku, w którym młodzi muzułmanie są nauczani i przekonani, że przyczyną homoseksualizmu u chrześcijan jest spożywanie przez nich wieprzowiny.

Mogli wrócić z tej obcej ziemi do dalekich domów, woleli zostać przy pełnej misce. Mogli się zbliżyć, ale przecież nie rozumieli miejsca, w którym żyją. Bouyeri, kiedy już odnalazł swoją drogę w islamie, jak każdy neofita stał się człowiekiem bardzo wierzącym. Nie tylko żarliwie się modlił. Chciał walczyć z pogaństwem i naprawiać świat. Chciał zmieniać otaczającą go rzeczywistość według islamskiego kodeksu. Bardzo angażował się w renowację podupadłych bloków mieszkalnych w Slotervaart, marokańskiej dzielnicy Amsterdamu, gdzie mieszkał razem z rodzicami. Chwalebna idea: odnowić, odświeżyć, poprawić standard klatek schodowych. O to zabiegał. Tyle że nie chodziło mu wyłącznie o remont, malowanie, o estetykę otoczenia, o habitat; chodziło mu o coś więcej. O islam.

Mieszkania socjalne w Slotervaart, finansowane i utrzymywane przez miasto, miały bowiem zostać „zislamizowane”. Co to oznacza? Przebudowanie klatek schodowych tak, aby żony muzułmanki wracające do domu z zakupów mogły wejść do kuchni bez pokazywania się w mieszkaniu, w którym mogłyby zobaczyć innych mężczyzn, gości pana domu. A więc chodziło o separację, wręcz segregację, i to w centrum Amsterdamu, w centrum holenderskiego porządku prawnego. I o dziwo, magistrat zgodził się – jakżeby inaczej – dlaczego nie, przecież należy respektować wrażliwość muzułmańską, ale spółdzielnia będąca właścicielem domów odrzuciła pomysł. Bouyeri nigdy nie mógł pogodzić się z tą odmową, być może więc i ona doprowadziła do kolejnej radykalizacji. I co z tego, że Bouyeri nie przeprowadzał konsultacji społecznych, nie przepytywał kobiet, czy zgodzą się na taką separację. Ot, po prostu tak uważał, był przecież gorliwym, pobożnym sługą Allaha, działał w jego imieniu i dla jego chwały.

Takie uniwersum tworzył wokół siebie morderca van Gogha, do rzeczywistości holenderskiej wpisywał własne religijne prawidła, nie zważał na zapisy konstytucji (czy ją w ogóle znał?) nakazującej i gwarantującej równe traktowanie. Budował przestrzeń islamską już na stałe, miała być trwała, miała być przyczółkiem, więc do starcia z uniwersum „chodzącej wolności" dojść musiało.

Slotervaart od zawsze miał do czynienia z radykalnymi Marokańczykami, temat to wręcz mantra, najlepiej machnąć ręką, nie zajmować sobie nim głowy, i tak się nic nie zmieni. Lokalnym władzom trudno znaleźć wspólny język z miejscowym imamem, jedynym mającym jakiekolwiek wpływy w tym nieprzenikliwym i nieprzemakalnym środowisku, ponieważ mówi on wyłącznie po arabsku. Niedawno w dzielnicy został otwarty nowy meczet. To swego rodzaju eksperyment, o ile takie w ogóle są w islamie dozwolone. Nazywa się meczetem polderowym (*poldermoskee*), co brzmi jak sygnał ku porozumieniu. Jest pierwszym tego typu w Holandii i ma być dowodem na możliwość istnienia „islamu niderlandzkiego". Polder w języku dialogu społecznego Holendrów oznacza „amortyzację konfliktów poprzez rozmowę i zbliżenie". Tak słowo „polder" rozumieją Holendrzy, ale czy i muzułmanie w Holandii?

Nowość stanowi między innymi dopuszczenie kobiet do wspólnych z mężczyznami piątkowych modłów. Ale to tylko kosmetyka. W gruncie rzeczy chodzi o wzmocnienie oddziaływania islamu wśród młodych muzułmanów zagrożonych zewnętrznym zlaicyzowanym, pogańskim otoczeniem (protestanci czy katolicy są przecież niewiernymi), aby przynieśli – jak się głosi – więcej pożytku społeczeństwu, w którym mieszkają. Ten pożytek pojawi się być może dopiero w dalekiej przyszłości, o ile w ogóle, tymczasem na razie, wysiłek nowego meczetu skupia się po prostu na islamizacji, przy czym obawa przed postępującą radykalizacją postaw młodych muzułmanów wskutek studiowania Koranu ustępuje obawie przed ich utratą dla meczetu. Jednym słowem, więcej islamu ma ich ochronić przed radykalizacją religijną, na czym otoczeniu meczetu powinno zależeć – powinniśmy się więc cieszyć. Bardzo to przewrotne, kto chce, niech wierzy.

W uniwersum mordercy van Gogha rozdział państwa od religii, państwa od Kościoła nie jest znany. Głosi ono, że skoro problemy polityczne

w Holandii mają wiele wspólnego z religią (islamem), państwo nie powinno się chronić za murem świeckości, przeciwnie – powinno ingerować, po myśli islamu oczywiście. Fakt, że nie państwo jest źródłem tych problemów, tylko sama religia, nie ma znaczenia. Kaznodziejom islamu holenderskiego chodzi nie o Amsterdam czy Slotervaart, tylko wyłącznie o Islamsterdam, o islam. Będzie on lepszy, sugerują na przykład, jeżeli będzie wreszcie nauczany w szkołach państwowych na lekcjach religii, a nie w meczetach. Innymi słowy – chcecie, byśmy byli bardziej spolegliwi, mniej radykalni, wpuście nas do swoich szkół z nauką islamu.

W uniwersum Mohammeda Bouyeriego nie podaje się ręki drugiej osobie. Ten zwykły, kulturowy obyczaj powitania jest jednym z podstawowych elementów sporu integracyjnego w Holandii. Zdziwienie? Holendrzy, jak my wszyscy, rękę podają. Ich muzułmańscy współobywatele „z tłem migracyjnym” nie. Nie, i tyle. Nawet jeżeli pełnią w administracjach lokalnych jakieś ważne funkcje. Z przyczyn religijnych. Muzułmański burmistrz jednej z amsterdamskich gmin powołuje się przy tym właśnie na rozdział państwa od Kościoła. Skoro państwo oddzielone jest od Kościoła, mówi, nie można nikogo zmusić do podania ręki, ponieważ narusza się jego uczucia religijne.

Można oczywiście dla tak zwanego świętego spokoju zrezygnować z tego prostego, kulturalnego gestu, przyjąć, że jest przestarzały, może nawet, że z całą siłą wielowiekowej cywilizacji zachodniej uderza w reguły miłującej pokój i ludzi religii. Tyle że kapitulując, nawet w tak marginalnej sprawie, znów oddamy cząstkę naszej tożsamości, jeden z paragrafów naszego kodeksu zachowań. Ustępując, poszerzamy domenę władzy islamu. To nie islam ustąpił nam na naszej ziemi, to my wycofaliśmy się z naszej tradycji w obliczu jego ataku, dlatego rzekomo, że jesteśmy mądrzejsi i lepiej wychowani. Niby nic, niewarte sporu ani przeciągania liny.

Ale nie dla islamu. To jest właśnie jego taktyka: tu i tam, odrobinę i znów odrobinę. Jak z basenami publicznymi. Najpierw oddziela się kotarą przestrzeń basenu, aby nie urazić uczuć muzułmanek, które do wody wchodzą w ubraniach. Ale kotara, kiedy już jest zawieszona, również przeszkadza, ponieważ w basenie wciąż jest ta sama, jedna woda, no i po drugiej stronie obce niewierne. Wyznacza się więc godziny, w których

niemuzułmanki nie mają do basenu dostępu. Niewiele muzułmanek z niego wtedy korzysta, skoro nie ma już okazji do religijnej demonstracji i zawłaszczania, ale fikcja respektu dla uczuć religijnych zostaje, chociaż segregacja rasowa, zakazana w konstytucjach, praktykowana w tym obyczaju, fikcją nie jest.

Holandia to jedno z tych państw Europy Zachodniej, w których żyje najwięcej muzułmanów. Mieszka ich tu ponad milion i wciąż przybywa. Trzy czwarte pochodzi z Maroka i Turcji. Przez lata panowała cisza. Tak w samej Holandii, jak i na zewnątrz. Kraj także i pod tym względem uchodził za wzorcowy. Sporo różnokolorowych ludzi, duży napływ imigrantów, świeci słońce, łodzie na wodzie, wiatraki się kręcą, krowy dają mleko, tulipany rosną, nic się nie dzieje, żadnych problemów. Nikt nikogo nie pyta, w co wierzy, jego sprawa. Wszystko ułożone, zapięte na ostatni guzik. Tylko naśladować. Pozazdrościć. A przedtem, przeczytać jeszcze pierwszy artykuł konstytucji: *Grondwert voor het Koninkrijk Nederlanden*. „Wszyscy, którzy znajdują się w Niderlandach, są w takich samych sytuacjach tak samo traktowani. Nikt z powodu swoich religijnych, światopoglądowych czy politycznych przekonań, z powodu swojej rasy, płci albo z innych przyczyn nie może podlegać dyskryminacji”. I aby nie było wątpliwości – konstytucja w równym stopniu i zakresie odnosi się do instytucji państwa oraz wszystkich obywateli i ich organizacji. To nie są puste słowa. Zobowiązanie jest wspólne i niepodzielne. Nikt, łącznie z organizacjami wyznaniowymi, nie może go naruszać. Także muzułmanie.

I na tym właśnie polega dramat Holandii. Przez całe dziesięciolecia ten zapis konstytucyjny tworzył fundamenty nie tylko porządku prawnego i społecznego, ale i dobrobytu. Równe traktowanie, walka z dyskryminacją, respekt dla odmienności są konstytucyjnymi nakazami i zobowiązaniami. To jest prosta i jasna, czytelna i oczywista deklaracja tolerancji holenderskiej i holenderskiego liberalizmu, także sprzeciwu wobec dyskryminacji mniejszości, w tym narodowych i etnicznych. Wszystkich razem i każdego z osobna. Wolność i tolerancję można praktykować, żyć z nimi i ich doświadczać. Można dzięki nim obszary wolności i tolerancji dalej powiększać. Ale można je również wykorzystać do rozpychania się, zajmowania cudzych miejsc, wypychania z enklaw, siania zamętu i strachu, do dominacji jednej religii nad drugą, do „dyscyplinowania” innych

mniejszości czy wyznań, do wymuszania na współobywatelach określonych i pożądanych zachowań. Powtórzmy: nie wolno dyskryminować muzułmanów, to jasne. Ale również muzułmanom nie wolno dyskryminować chrześcijan i niewierzących – też jasne. Dla nas.

Terroryzm religijny nie jest wyłącznie aktem zbrojnej przemocy. Nie musi być wyłącznie atakiem frontalnym. Rytualne zabójstwo Theo van Gogha dewastujące tkankę społeczną Holandii nie wymagało żadnych sztabowych prac, koncentracji sił i środków, uzgodnień planistycznych, przemieszczania infrastruktury i potajemnego nielegalnego finansowania. A i tak spełniło, i to z nawiązką, swoją podstawową funkcję: wniosło do życia publicznego element śmiertelnego zagrożenia i szantażu politycznego.

Akt terrorystyczny jest krwawym środkiem komunikacji. Jest przesłaniem. Ma nas przestraszyć i wprowadzić w obieg naszego postrzegania świata obawę i uległość. I chociaż po każdym zamachu zwieramy szeregi, idziemy w milczących marszach, mnożą się deklaracje polityków o jedności, o sile naszych wartości i gotowości do ich obrony, chociaż czytamy w nich, że nie damy się zastraszyć, że nasze wartości zwyciężą, terroryści islamscy osiągają dokładnie to, co było ich celem. Naszą polityczną polaryzację, podziały wewnątrz społeczeństw, nacisk na odejście od własnych norm, zasad i reguł, wreszcie także zwrot ku jeszcze większej przemocy. Jednym słowem – nasze osłabienie. A wszystko razem tworzy glebę i pretekst do kolejnego ataku, tym razem w ich przekonaniu bardziej uzasadnionego. Poddani przemocy, ulegamy strachowi, ustępujemy dla świętego spokoju i bezpieczeństwa z przyczółków, których, jak sądzimy, nie warto bronić.

Czy mogło być inaczej? Czy społeczeństwa zachodnie, w tym holenderskie, mogły zaadaptować islam i jego wyznawców? Czy współżycie społeczeństw wielokulturowych mogło się powieść, być wolne od ortodoksji, radykalizacji, strachu, nacisków, zamachów i ofiar? Czy jest jeszcze w ogóle czas i sens dyskutowania na ten temat, skoro kult i mit wielokulturowości ogłoszone zostały tu i ówdzie za umarłe? Próby reanimacji grasują jeszcze w kręgach niepoprawnej lewicy, choć reszta dorosłych społeczeństw odwróciła się od nich plecami i nie chce nic o nich

słyszeć. Ale być może zmarły zapadł tylko na śpiączkę i z letargu jeszcze się podniesie?

Czym jest społeczeństwo wielokulturowe, czym miało i mogłoby być i dlaczego się nie powiodło? I kto przede wszystkim ponosi odpowiedzialność za jego klęskę? Czy miało w ogóle szanse na przetrwanie?

Najprostsza i najwłaściwsza definicja mówi, że to społeczeństwo, w którym ze strony państwa nie występuje ani presja, ani zachęta do asymilacji. Grupy etniczne, kulturowe, religijne mają w nim funkcjonować niezależnie od innych i nie podlegać żadnym natarczywym wpływom ze strony pozostałych. Z tym modelem funkcjonowania związany jest postulat, aby traktowały się wzajemnie jako równoprawne, a wobec pozostałych okazywały zrozumienie, respekt i ćwiczyły się w tolerancji.

Samo pojęcie wielokulturowości wywodzi się z antropologii. Na przełomie ubiegłych wieków zadomowiło się przede wszystkim w Kanadzie, Australii, Stanach Zjednoczonych, a zatem w państwach opierających swoją tożsamość na dziesiątkach grup etnicznych, wyznaniowych, językowych, narodowych. Nie mogło zresztą być inaczej – na ich zasiedlanych w drodze ekspansji obszarach, poza rdzennymi mieszkańcami ulegającymi przymusowej asymilacji, nie występowały żadne struktury homogeniczne. Tkanki narodowej i społecznej najpierw należało dostarczyć, a nikt monopolu na jeden rodzaj wyznania lub języka nie posiadał. Nowy Świat wyrastał z tygla odmienności, wielobarwności, różnego obyczaju, melanżu tradycji i kultury, właśnie wielokulturowości. Owa mieszanka wykazała się olbrzymim potencjałem. Wzbogaceniem. Uwolniła niewiarygodne wręcz możliwości rozwoju. Mogło się wydawać, że jest właściwą receptą dla innych.

Na drugim biegunie występują jednak społeczeństwa jednorodne, monoetniczne, monokulturowe, by nie powiedzieć – jednobarwne. One dostarczały zresztą paliwa dla wielokulturowości Nowego Świata. Dziś coraz ich mniej, chociaż nie zniknęły jeszcze całkowicie – przykładem jest polskie społeczeństwo, jakby okopane w twierdzy z podniesionym zwodzonym mostem. Powie ktoś: przecież w Warszawie też jest niejedna budka z kebabem. Ale to obszar gastronomii, a nie element porządku społecznego.

Do Europy pojęcie wielokulturowego społeczeństwa przedostało się na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku w momencie, gdy okazało się, że zachęceni po wojnie do przyjazdu do pracy robotnicy muzułmańscy tylko w rzadkich przypadkach deklarują chęć powrotu do ojczyzn. Najpierw zrealizowały tę definicję w praktyce Niemcy i Holandia – pierwszy pełnomocnik rządu niemieckiego do spraw migracji i integracji powołany został w roku 1978.

Od samego początku wielokulturowość na naszym skostniałym kontynencie budziła kontrowersje, chociaż wówczas nie było jeszcze wiadomo, czym się je i jak smakuje. Miała to pokazać dopiero praktyka. Wśród najpoważniejszych krytyk od razu utożsamiano to zjawisko z islamizacją. Nic dziwnego. Zdecydowana większość napływowej ludności w państwach zachodnich pochodziła z islamskiego kręgu kulturowego. Ale poza nowym wyznaniem wielokulturowość wnosiła do społeczeństw zachodnich również pewną nową dynamikę, nierozpoznaną jeszcze wtedy i niezdiagnozowaną, a wraz z nią niebagatelny potencjał groźnych konfliktów społecznych. Daniel Cohn-Bendit, zresztą jeden z prekursorów wielokulturowości i przez lata czołowy jej obrońca, już wówczas dostrzegał nie tylko same plusy. „Społeczeństwo wielokulturowe jest twarde, szybkie, okrutne i mało solidarne. Charakteryzuje je poważna nierównowaga sił”, pisał trzydzieści lat wcześniej. Późniejsze lata potwierdziły słuszność jego diagnozy, chociaż sam Cohn-Bendit wolałby zapewne, aby było inaczej. Podobnego zdania byli znaczący filozofowie, pisarze, publicyści. Jeden z nich określił ten model jako niewypał z opóźnionym zapłonem. Niechętnie ich wówczas słuchano. Gospodarka potrzebowała tanich rąk do pracy, a poza tym muzułmanie zarzucili już kotwice i bez wielkiego sztormu, a ten nie leżał w interesie stabilizacji, trudno je było zerwać.

Prawie całą generację później, w 2011, podczas Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium premier Wielkiej Brytanii David Cameron postawił kropkę nad „i”. W zagrożeniu ekstremizmem islamskim zidentyfikował segregację i separatyzm, nieodłączne elementy islamizacji podważające spoistość narodową. Cameron wezwał do budowy opartej na aktywnym i silnym liberalizmie „wspólnej identyfikacji narodowej” w miejsce państw wielokulturowych. Podobnie myśli dziś kanclerz Angela Merkel i nie inaczej również przywódcy Francji. Wielokulturowość

definiują oni jako zasadniczą barierę na drodze do integracji, czym w istocie jest, i w tym sensie ogłaszają jej fiasko. Właściwie tylko jeszcze w kręgach upartej lewicy nadal podgrzewana jest dziś ta utopia i to raczej z braku odwagi przyznania się do fiaska, nie zaś ze względu na pojawienie się nowych, przekonujących impulsów.

Jednym z elementarnych składników ideologii multikulturalizmu jest ponawiane roszczenie do równości, samodzielności i jednocześnie wyjątkowości wszystkich kultur oraz niezgody na jakikolwiek kodeks wspólnych wartości. Żądanie to tylko na pozór wygląda pięknie i bezpiecznie. Ma jednak swoje poważne konsekwencje. „Jeżeli każda kultura miałaby absolutne prawo decydowania, bez względu na wartości uniwersalne, co jest przestępstwem, a co nie jest, to wówczas Auschwitz nie byłby żadną zbrodnią", twierdzi niemiecki historyk Egon Flaig. Diagnoza nie tylko prawdziwa, także przerażająca. Ale idźmy dalej. Gdyby katalog niezbywalnych, porządkujących i łączących nas wartości nie istniał lub nie miał zastosowania, żądanie fundamentalistów islamskich, aby dopuścić stosowanie szariatu w społeczeństwach zachodnich, mieściłoby się w ramach idei społeczeństwa wielokulturowego i byłoby – zgodnie z jego zasadami – nawet swoistym „wzbogaceniem". Właśnie tak argumentują zresztą islamiści: szariat nie ogranicza, tylko wzbogaca. Wizja, przy której pot spływa po plecach.

Pokój wewnętrzny w społeczeństwach przesiąkniętych inwazją migracyjną zależy od potwierdzenia, od akceptacji i od przyznania się do podległości ich porządkowi, opartemu na trwałych, niezbywalnych wartościach. Nie wystarczy bowiem powiedzieć, że żyjemy w społeczeństwie wielokulturowym, o wiele ważniejsze jest, jak żyjemy i jak chcemy w nim żyć. I właśnie owo „jak" wypełnione jest wyzwaniami i wymaganiami, żądaniami i oczekiwaniami – budulcem, który składa się na istotę społeczeństwa wyrosłego w wiekowych zmaganiach o porządkujące go wartości.

Prześladowani, cierpiący, szykanowani za odważne słowo, zagrożeni utratą wolności zawsze szukali drogi do Niderlandów i byli tu przyjmowani. Już w XVII wieku co dwudziesty mieszkaniec kraju nie był Holendrem – wśród przybyszów znaleźli się tak hugenoci z Francji, jak i Żydzi z Portugalii. Nie brakowało rdzennych mieszkańców kolonii

niderlandzkich, zwłaszcza po upadku systemu kolonialnego. Pierwszą poważną grupą narodowościową, która znalazła w tym kraju schronienie byli Molukańczycy. Po odejściu Holendrów z Indonezji groziły im represje, ponieważ walczyli po stronie kolonizatorów, i rząd Holandii zadecydował o ich prawie całkowitej ewakuacji. Obecność Molukańczyków w nowej ojczyźnie, warunki, w jakich się znaleźli, perspektywy, jakie mieli przed sobą, i stosunek Holendrów do nich były pierwszym testem holenderskiej polityki imigracyjnej. Nie zdała ona egzaminu. Molukańczycy żyli w separacji, praktycznie bez kontaktów z Holendrami, podlegali subtelnej dyskryminacji. Ich dzieci nie mogły liczyć na odniesienie życiowego sukcesu.

Kolejna potężna fala imigrantów pojawiła się wraz z proklamacją niepodległości kolonii holenderskiej w Surinamie w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Kraj, żyjący dotychczas pod berłem holenderskiej królowej, popadł w tak wielką niełaskę u nowych władców, że setki tysięcy Surinamczyków wolały żyć z dala od formalnie niepodległej ojczyzny. Kiedy sytuacja gospodarcza Surinamu uległa dalszemu pogorszeniu, do Holandii zjechały kolejne dziesiątki tysięcy. Przeważały rodziny o najniższym statusie, biedne i bez wykształcenia. Pozbawione szans tam na miejscu, w domu, także w nowej sytuacji nie mogły liczyć na szybką odmianę życia. I to wśród nich wyrosła pierwsza groźna generacja, o której politycy i socjologowie mówią, że „stwarza problemy”. Za nimi do kraju dotarły dziesiątki tysięcy gastarbeiterów z Turcji, południowej Europy, Maroka, Tunezji. Obecnie dominującą grupę stanowią Marokańczycy i ich potomkowie. Równie liczną – czterysta tysięcy – Indonezyjczycy. Niemal tyle samo – Turcy. Ponad trzysta pięćdziesiąt tysięcy osób liczy diaspora surinamska. Każda jest inna i każda przyniosła ze sobą zarzewie problemów.

Przez lata wszystko funkcjonowało jednak bez szczególnych regulacji, po prostu na zasadzie porozumień i uzyskanego w efekcie konsensusu. Już w 1985 w Hadze wprowadzono prawo wyborcze dla imigrantów, nielegalnie przebywający w Holandii uchodźcy i przybysze mogli oficjalnie pracować, płacić podatki, ubezpieczać się. To była nowość, także w skali Europy Zachodniej. Podwójne obywatelstwo było na porządku dziennym. Policja przyjmowała imigrantów w swoje szeregi. Aby podkreślić pozycję

prawną nowych mieszkańców, parlament uchwalił ustawy antydyskryminacyjne. Polityka holenderska realizowała wówczas zasadę, i z całą pewnością politycy wierzyli w nią również, że wszystkie decyzje w tak zróżnicowanym i różnokolorowym społeczeństwie powinny zapadać w porozumieniu ze wszystkimi grupami etnicznymi i w zgodzie z ich interesami. To były naprawdę piękne czasy, w których nie wypadało, wręcz nie wolno było, używać nawet słowa *buitenlander* lub *vreemdeling*, obcokrajowiec, cudzoziemiec, bo byłoby się podejrzanym o fobię i nieskrywaną niechęć wobec nowych współmieszkańców.

Ale przymus poszukiwania konsensusu za wszelką cenę, w gruncie rzeczy z pozycji spoglądania w bok, niedociekania, niedostrzegania, zrodził potężny obszar tabu, niedopowiedzenia, z zakazanymi tematami otoczonymi szczelnym milczeniem. Pod tym płaszczem rodziła się Holandia nieujęta w żadne statystyki, niezrozumiana przez polityków i obca większości narodu. Możemy dziś tylko spekulować, jak długo jeszcze płaszcz milczenia okrywałby Holandię, gdyby nie zamach na Pima Fortuyna, gdyby nie rytualny mord na Theo van Goghu, i gdyby nie – *last but not least* – Geert Wilders. Niestety, społeczeństwa często dowiadują się ostatnie. Holendrzy nie wiedzieli, że żyją obok stada wilków. Dopiero rozlana krew otworzyła im w oczy. Winę ewidentnie ponosiła polityka. Tyle że to byłoby wytłumaczeniem w społeczeństwie ludzi mało rozgarniętych. Holendrzy do takich z pewnością nie należą. Ale Holendrzy jak żaden inny naród spoglądają i nie widzą, albo – być może to już czas przeszły – patrzyli i nie widzieli. I nie słyszeli. Tymczasem nie trzeba było wyjeżdżać, studiować islamu w Maroku, zgłębiać jego tajników w Turcji. Wystarczyło wyjść na ulice holenderskie. I dokładnie się przyjrzeć powstającemu tuż obok wielokulturowemu społeczeństwu.

Pierwszym, co się rzuca w oczy na ulicach holenderskich, jest ubrana w dziwny płaszcz kobieta w chuście na głowie, posłusznie krocząca za mężem. Zaraz obok gromadka dzieci. Zwykły widok, ktoś powie. Normalny, więc nie ma potrzeby zaglądać głębiej. Żyją, jak chcą, jak każdy. Nie do końca.

Ucisk kobiety w islamie zaczyna się, zanim jeszcze przyjdzie na świat. I ma zarówno religijne, jak i kulturowe podłoże. Nikt w rodzinie islamskiej nie wyczekuje narodzin dziewczynki, nie chce jej, wszyscy czekają na

chłopców. Narodziny Aysi zamiast Mohammeda traktowane są jako życiowa klęska. Nierzadko rodzice, znając płeć dziecka dzięki badaniom prenatalnym, likwidują płód żeński. Tylko chłopiec potwierdza męskość mężczyzny, córka nigdy. Jest oczywiste, że z narodzin syna cieszą się również matki. Syn podnosi ich wartość, zapewnia im w rodzinie i przede wszystkim u męża szacunek. Dopiero kiedy kobieta urodzi kilku synów, droga na świat dla dziewczynki jest wolna.

Jej życie od samego początku determinuje przekonanie, że honor mężczyzny znajduje się między nogami kobiety. W okresie dojrzewania właściwym dla niej miejscem jest rodzinna klatka, później otacza ją cały system zabezpieczeń – jak w więzieniu o najostrzejszym rygorze. Każdy członek męskiej części rodziny, nawet najdalszy kuzyn, ma prawo się wtrącić i zgłosić swoje pretensje. Zabiegi te, nierzadko poparte siłą, mają wyłącznie jeden cel – „ochronę jej dobrego imienia", a zatem, czy nawet przede wszystkim, dobrego imienia rodziny. Kobiecość dorastającej dziewczyny jest kontrolowana, a jej zdolność małżeńska mierzona liczbą ślubnych ofert. Im więcej, tym rodzina bardziej dumna.

Wybór męża dla córki należy do ojca. Mają zaledwie po dwanaście, czternaście czy piętnaście lat, kiedy są „wydawane" za mąż. Ich śluby mają charakter, nazwijmy je tak, kościelny. Według prawa cywilnego nie są zamężne, nie są przecież pełnoletnie, ale i tak spełniają wszystkie obowiązki małżeńskie. W przeciwieństwie do naszych małżeństw muzułmańskie są w pierwszym rzędzie sprawą rodzin i klanów. Małżonków obowiązuje rygorystyczna i na każdym kroku egzekwowana lojalność. Są elementem przestarzałych tradycji i poniżających patriarchalnych struktur, ale to one zapewniają klanom ciągłość, siłę i znaczenie. Ich pierwszą ofiarą w rodzinie jest zawsze kobieta. Dla przypomnienia: prawo swobodnego wyboru małżeńskiego partnera należy do podstawowych praw człowieka, spisanych w deklaracji z 1948.

Konsekwencje zawartych pod przymusem małżeństw są dla kobiety i mężczyzny odmienne. Każdy, kto żyje na Zachodzie i spotyka muzułmanów, odmienność tę odczuwa niemal cieleśnie. Mężczyzna jest w stanie poruszać się w przestrzeni „męskiej wolności" – żyje, jak chce, robi, co chce, z reguły ma kochankę albo chodzi do burdelu. Podrywa też chrześcijanki. Kobieta, zamknięta w domowej klatce i traktowana jako

własność, służy zaspokojeniu potrzeb seksualnych małżonka. Obszerna literatura opisująca stosowane w małżeństwie islamskim praktyki przytacza liczne przykłady gwałtów, w większości dokonywanych przez mężów już pierwszej nocy po ślubie. W tradycyjnych, bardzo przecież licznych rodzinach muzułmańskich kobiety skazane są na siebie, nie mogą liczyć na pomoc matki, ojca. Każde nieudane małżeństwo to dyshonor. „Na biało opuściłaś rodzinny dom, na biało tylko możesz do niego powrócić", brzmi wbijane córkom do głowy od dziecka prawidło. Wyszłaś w białej sukni ślubnej, powrócić możesz tylko w śmiertelnym białym całunie. Każda córka w rodzinie muzułmańskiej zna swoją przyszłość i wie, że nie może liczyć na pomoc ani ojca, ani matki.

Sprowadzony na rodzinę dyshonor karany jest śmiercią. Mord honorowy nie wywodzi się wprost z islamu, jest od niego znacznie starszy, ale islam go nie wyplenił, wręcz przeciwnie, z sukcesami uprawia glebę, na której on do dziś rośnie. To właśnie islam pielęgnuje owe starowieczne prawidła i reguły „czystości". Kobiety muszą ich przestrzegać pod groźbą utraty życia, a mężczyźni są egzekutorami mordem przywracającymi honor, jeżeli w ich odczuciu został zhańbiony. Nie znajdziemy wprawdzie w Koranie wersetu nakazującego w sposób jasny i wyraźny zabójstwo kobiety, jeżeli dopuściła się cudzołóstwa, ale nie brakuje w nim sugestii oraz opisów pożądanego, „właściwego obrazu kobiety" i bezpośrednio związanego z nim pojęcia honoru. To wystarczy. Linia prowadząca do mordu jest prosta i czytelna.

Niepoprawni humaniści zaprotestują, że to nadużycie, że islam expressis verbis nie nakazuje zabijania kobiet za pozamałżeński albo przedmałżeński stosunek płciowy. Skąd więc mordy honorowe tylko w tym kręgu religijnym i kulturowym? Czy islam i szariat, jego prawny porządek, nie mają z nimi nic wspólnego? Nie legitymizują ich, nie ułatwiają, nie usprawiedliwiają? I wreszcie – czy do nich nie zachęcają? Badania przeprowadzone pięć lat temu na uniwersytetach tureckich, a więc wśród przyszłej elity kraju, przyniosły zastraszające wyniki. Podczas gdy my tu teoretyzujemy, czy islam jakoś legitymizuje zemstę rodową na kobiecie, ponad trzydzieści procent badanych studentów uznało ten barbarzyński akt za „uzasadniony" sposób uratowania i odzyskania „honoru rodziny". W dwudziestym pierwszym wieku, obok smartfonów, iPadów i laptopów.

W obliczu niezliczonych deklaracji chroniących ludzkie, a więc i kobiece, dobro. A co dopiero mówić o anatolijskich chłopach analfabetach zaludniających amsterdamskie czy berlińskie dzielnice? A bicie i poniżanie kobiet, o czym niewiele wiemy, bo jest schowane w czterech ścianach domostwa, aspirującego według utopistów multikulturalizmu do równoprawnego elementu cywilizacji zachodniej i niezwykle nas wzbogacającej oferty? A poligamia? U nas zakazana, co nie znaczy, że niepraktykowana. Nikt urzędowo nie liczy przecież pozostawionych w rodzinnych stronach żon, a zdarza się nierzadko, że urzędy socjalne wypłacają nawet na nie zasiłki.

„Dlaczego nas zabijacie?” Przywoływana już przeze mnie napisana przez Ays¸e Önal księga zbrodni powinna być lekturą obowiązkową dla wszystkich teologów przenikania kultur. Tym, co szczególnie uderza w tych dramatycznych opowieściach i co świadczy o całkowitym upadku tolerującej przemoc i mord religii, jest fakt, że z małych cierpiących pod przymusem i religijnym rygorem muzułmańskich dziewczynek wyrastają siostry, matki, babki, kuzynki, ciotki, które stają się wspólniczkami zabijających dorastające córki ojców i mordujących własne siostry braci. I przecież nie wyłącznie trzy tysiące kilometrów od Amsterdamu, ale tuż zaraz, za rogiem, w sąsiedniej dzielnicy.

Honor mężczyzny znajduje się między nogami kobiety, napisałem nieco wcześniej, i raz jeszcze tu powtórzę, ponieważ seksualność jest w islamie decydującą o wszystkim fobią, religijnym azymutem determinującym obyczaj, kulturę i tradycję. I nie chodzi tu wyłącznie o podstawową w islamie segregację według płci, ale o seksualność, w której wyraża się moralność islamska. A raczej podwójna moralność islamska.

Z jednej strony islam jest bowiem seksualności nieprzyjazny, z drugiej zaś całe życie muzułmanina właśnie wokół niej się obraca. Z jednej strony seksualność przynosi wstyd, z drugiej paraliżuje pożądaniem. Można powiedzieć, że jak w żadnej religii możemy wyczuwać owo wielkie seksualne napięcie, jeżeli zbliżymy się do jego reguł, zasad, prawideł, nakazów i zakazów, do jego istoty. To z pewnością sprawa gorącego klimatu i związanej z nim pożądliwości. Na piaskach pustyni, w gorącym słońcu, seksualność musiała dominować, musiała zawracać w głowach i być źródłem niejednego nieszczęścia. Ale islam powstał czternaście

wieków temu, a dziś w Holandii czy w Niemczech nie ma upałów i zmysłowości pustynnej.

Mimo to nadal seksualność objęta jest tabu, kontrolowana, uciskana i zwalczana. Małżonka nie musi odczuwać, nawet nie powinna, żadnej satysfakcji seksualnej, wystarczy, że spełnia obowiązek, rodzi, jest matką i zaspokaja potrzeby. Po męskiej stronie seksualność jest z gestem praktykowana. Korzystanie z usług prostytutek, posiadanie kochanek potwierdza męskość. Z braku kobiety tolerowany jest również stosunek analny z mężczyzną. Stąd, dodam na marginesie, tak wielkie powodzenie młodych Marokańczyków czy Tunezyjczyków wśród europejskich gejów. Czysta, zwykła podwójna moralność. Ale wystarczy, że kobieta, nie daj Boże, zamężna, rzuci nieopatrznie okiem na obcego mężczyznę, już źle się prowadzi. To nie jest błahe przewinienie, może zostać ukarane śmiercią.

Niezależnie od niuansów kulturowych naleciałości i dogmatów na temat honoru i hańby prawdziwie pobożny muzułmanin kieruje się w swoim życiu seksualnym wskazówkami, które wywodzi z życia proroka. Nie tylko żyje jak on, ale i kocha jak on. Nie ma na ten temat żadnych udokumentowanych źródeł, ale w ich braku muzułmanie widzą urok islamu – mogą go dowolnie interpretować. W jednym wszak nie różnią się między sobą: stosunkom płciowym w małżeństwie przypisują rolę aktu religijnego. Nie są zresztą w tym względzie odosobnieni, tyle że w katolicyzmie moralności pilnuje konfesjonał, w islamie sami mężczyźni. Chodzi więc o obowiązek, a nie o przyjemność. Dlatego muzułmanin po odbytym stosunku z żoną uchodzi za nieczystego. Podczas aktu małżeńskiego nie wolno mu schylać się w kierunku Mekki. No i nie wolno mu uprawiać seksu podczas ramadanu – po wschodzie i przed zachodem słońca. Jednym słowem seks tak, ale…

Najwyższym darem i wartością muzułmańskiej dziewczyny jest jej cnotliwość. Sprawienie rodzicom, rodzeństwu i przyszłemu małżonkowi zawodu w tym względzie nie wchodzi w rachubę, a jeżeli już się zdarzy, sankcjonowane jest najwyższą karą. Nie ma w islamie lepiej strzeżonego bastionu jak cnota kobiety. Zaledwie mała córka stanie na nogi, już rodzice nie śpią po nocach. Obowiązek dochowania do małżeństwa jej dziewictwa spada na całą rodzinę. Młode muzułmanki nie jeżdżą na rowerach, siodełko mogłoby naruszyć błonę dziewiczą. Nie uprawiają żadnych innych sportów

mogących narazić na jej utratę. W wieku sześciu, ośmiu lat okrywane są chustami, aby ukryć ich powaby. Dziewictwo musi być wobec rodziny udokumentowane, więc po nocy poślubnej rodzina ogląda łóżko i prześcieradła. W Amsterdamie. W Maroku albo gdzieś na południu Turcji prześcieradło nadal wywieszane jest na maszt przed domem młodożeńców, aby cała wieś je widziała.

Nie piszę o seksualności w islamie, aby podkreślać dzielące nas różnice – nie tylko dla nich samych. Cóż nas mogą obchodzić obyczaje łóżkowe naszych współobywateli. Piszę o niej, ponieważ mówi najwięcej o przegranej pozycji kobiety, o kobiecie nierównoprawnej i dyskryminowanej, a przez nią o pozycji i miejscu dominującego i rozporządzającego jej życiem mężczyzny. Nie w rodzaju modlitwy i sposobie czytania ksiąg występują między nami różnice, te nie mają dla nas znaczenia i wpływu na nasz świat, ale w katalogu zachowań, norm, reguł i prawideł wywiedzionych z islamu. To z nich wypływają najważniejsze konsekwencje – bezpośrednie dla muzułmanów i pośrednie dla nas. Żyjemy przecież w jednej przestrzeni i słyszymy, że niezależnie od tego, czy wierzymy w Allaha czy nie, jego wiara i nas obowiązuje. Dobrze więc wiedzieć, w jaki sposób islam nas wzbogaca, skoro jest tuż obok. Dobrze wiedzieć, co nas czeka. Kiedy już nas wchłonie, nie przejmie przecież naszych reguł i kodeksów. Zastosuje własne.

Obudzony zdarzeniami rząd Holandii dostrzegł potrzebę zmiany kursu. Gabinet proklamuje odejście od zadomowionego w społeczeństwie wielokulturowym relatywizmu. Co to oznacza w praktyce? Przede wszystkim powrót do wartości, na których opiera się społeczeństwo niderlandzkie. No tak, ale to tylko słowa. A konkretnie? Integracja nie będzie dłużej postrzegana jako szansa, jako dobrowolna; będzie obowiązkowa. Holandia nie zamierza czekać, aż imigranci zechcą znaleźć do niej drogę, to imigranci będą musieli tej drogi szukać. Uczyć się języka, aby rozumieć zewnętrzny świat, rozwijać umiejętności społeczne, podnosić kwalifikacje, aby znaleźć pracę. I przede wszystkim szkoły będą uczyć niderlandzkiego, historii i kultury Holandii, a nie krajów pochodzenia.

Od 2006 działają opłacane przez państwo kursy integracyjne. Zapisy dotychczas były automatyczne, teraz trzeba się będzie pofatygować samemu, na kurs zapisać, no i z własnej kieszeni go opłacić. To będzie

pierwszy wysiłek i dowód woli integracji. Niezaliczenie kursu będzie oznaczało wydalenie z kraju. Rząd zdecydował również o obcięciu subwencji dla różnych imigranckich, w gruncie rzeczy muzułmańskich, organizacji. To dobra decyzja. Stworzyły one bowiem kolejny fikcyjny równoległy świat i wypasły na garnuszku podatnika holenderskiego wielu zawodowych działaczy ekscytujących się ideą wielokulturowości.

Etatowi naprawiacze świata krytykują te posunięcia jako stygmatyzację muzułmanów, dyskryminację i odejście od polityki integracji. Taką stygmatyzacją ma być chociażby żądanie, aby imamowie głoszący w meczetach kazania posługiwali się również językiem niderlandzkim. Jak w całej Europie Zachodniej są oni przysyłani do wspólnot muzułmańskich z Arabii Saudyjskiej.

Jej władcom nie podoba się ostatni kurs rządu holenderskiego. Wykorzystując jako pretekst działalność polityczną Geerta Wildersa – notabene prowadzone jest przeciw niemu dochodzenie, ponieważ wezwał do zmniejszenia liczby Marokańczyków w Holandii (do prokuratury wpłynęło na niego po tej wypowiedzi ponad sześć tysięcy doniesień) – sięgają po naciski gospodarcze. Wartość wymiany handlowej między Holandią a Arabią Saudyjską wynosi ponad sześć miliardów euro rocznie, nie jest więc bez znaczenia, czy holenderskie firmy obłożone zostaną embargiem i restrykcjami, czy nie. Holandia żyje z handlu i eksportu, szantaż może odnieść skutek, zwłaszcza że zrywane są nawet podpisane kontrakty. W tej sytuacji już tylko między wierszami przypomina się, że to właśnie Arabia Saudyjska finansuje w kraju, podobnie jak i gdzie indziej w Europie Zachodniej, meczety stanowiące platformę dla nietolerancyjnego islamu. Rząd w Rijadzie nie tylko dostarcza środki na ich budowę od podstaw, jak Tawhid-Moskee w Amsterdamie, ale i utrzymuje inne, na przykład w Hadze, Rotterdamie, Bredzie, Eindhoven. W Holandii, przypomnijmy, funkcjonują czterysta pięćdziesiąt trzy meczety.

Dla islamu o mniej lub bardziej agresywnej kolorystyce obojętne jest, gdzie stoją meczety. Jego wyznawcy, rekwirując naszą przestrzeń, nie czynią tego wyłącznie w swoim własnym imieniu – wszystko, co robią, jest dla nich realizacją bożego dzieła na ziemi. Mają więc po swojej stronie sojusznika największego – Allaha. Propaganda, wpływy członków islamskiej grupy wyznaniowej, działania na ich rzecz ze strony apostołów

humanizmu obciążających nas samych winą za wszystkie problemy, zarzut islamofobii wobec krytyków ekspansji islamskiej odnoszą wyraźny skutek. W głowach. Któż bowiem chce być skonfrontowany z zarzutem, że jest nietolerancyjny, a jeszcze, nie daj Boże, że jest rasistą?

Po ostatnich zamachach w Kopenhadze premier Danii w swojej mowie, będącej reakcją na kolejny akt terroru islamskiego, powiedziała, że teraz wszyscy Duńczycy muszą się zjednoczyć i trzymać razem, ponieważ Duńczykami są wszyscy – muzułmanie, chrześcijanie i Żydzi. Tymczasem strzały były wymierzone nie w muzułmanina, tylko w Żyda. Były też wymierzone w Szweda Larsa Vilksa, rysownika. Gdyby premier Danii Helle Thoming-Schmidt nie obawiała się zarzutu nietolerancji ze strony muzułmańskich współ-Duńczyków, powinna powiedzieć: w godzinie dramatu wszyscy Duńczycy są Żydami. Albo Żydami i Szwedami. Jednym słowem – ofiarami. A jednak tak nie uczyniła. Warto uzmysłowić sobie tę wcale niesubtelną różnicę.

W 2004, trzeciego listopada, dzień po zamordowaniu Theo van Gogha przez Mohammeda Bouyriego, współobywatela „z tłem migracyjnym”, rotterdamski artysta Chris Ripken napisał na jednym ze swoim obrazów piąte przykazanie: „Nie zabijaj”, i obraz umieścił w oknie wystawowym swojej galerii. Wkrótce zjawiła się u niego policja i kazała mu ten obraz zdjąć z wystawy. Policję przysłał burmistrz. Obawiał się, że spieszący do meczetu obok muzułmanie poczują się piątym przykazaniem nie tylko dyskryminowani, ale i oskarżeni. Burmistrz później przeprosił, ale mleko już się rozlało.

Zdarzenie wręcz niewiarygodne. Opowiada się o nim, jakby to była anegdota. Sądzę, że to właściwa forma narracji dla opisania substancji społeczeństwa wielokulturowego. Popatrzmy nań jak na anegdotę właśnie: rozbawmy się i uśmiejmy. Aż do łez. Nic innego już nam przecież nie pozostaje.

Żyjemy wszak w Islamsterdamie.

Zdobyć Rzym

Teraz, na początku marca, kiedy kończę pisać tę książkę, wiemy już dokładnie, co nas czeka. Państwo Islamskie, którego nazwy, według apostołów humanizmu nawet nie powinniśmy używać, aby nie zasugerować, że ma ono cokolwiek wspólnego z islamem, ogłosiło właśnie, że jego celem jest Rzym. Rzym, czyli Europa. Dotychczas terroryści islamscy przywracali prawdziwą religię u siebie, na Bliskim Wschodzie, i rozważali ewentualne wejście do Europy od strony granicy syryjsko-tureckiej. Zorientowali się jednak, że nie poradzą sobie z Turcją. Zmienili więc kierunek.

Plan jest prosty: zajęcie i opanowanie Libii, osadzenie wojowników na wybrzeżu, atakowanie żeglugi morskiej na Morzu Śródziemnym, przemyt terrorystów ukrytych w wielkich grupach uchodźców, terror na Sycylii, opanowanie kolejnych miast i zajęcie Rzymu. No i proklamacja Państwa Islamskiego, najpierw we Włoszech i później, stopniowo, na kolejnych zdobytych terytoriach. Plan szaleńców, mrzonki, typowa dla islamistów buta i przechwałki? Być może, ale warto sobie uświadomić, że nie zamierzają skończyć na Syrii, Iraku, Libanie czy Jordanii. Z wybrzeża Libii do Palermo jest tylko sześćset kilometrów, to niemal jak z Warszawy do Berlina. Dżihadyści będą mieli wprawdzie do pokonania wodę, ale tę komplikację zrekompensują im usadowieni już na południu Europy sympatycy.

Istnieje też druga ewentualność – do Europy przez Ateny. Z opanowanego przez islamistów wybrzeża Syrii do Aten jest równie blisko jak z Libii do Palermo. Być może zostaniemy nawet wzięci w kleszcze. Islamiści nazywają nas rzymianami, aby nie plamić sobie języka słowem „chrześcijanie”, a rzymian utożsamiają z krzyżowcami, więc wojnę z nami uzasadniają naszą agresją skierowaną przeciw islamowi. Według nich to rzymianie atakują islam, to my jesteśmy agresorami, to my depczemy

islamowi na świecie po piętach, żeby go zniszczyć. Islam podjął tylko rękawicę we własnej obronie, atakuje nas w rewanżu i przy okazji doprowadzi do swego totalnego zwycięstwa. Gwarantem tego zwycięstwa jest religia wyznawana przez wojowników – kwintesencja wszystkich dotychczasowych, jedyna prawdziwa, jedyna obowiązująca, jedyna Bogu miła. Nie możemy więc nie przegrać.

W tej narracji na świecie już od dawna prowadzona jest wojna religijna, w której stawką jest albo zniszczenie, albo zwycięstwo islamu. To, że my tak nie uważamy, nie ma znaczenia dla drugiej strony. Radykalny fundamentalistyczny islam jest innego zdania. Na historycznej skali zdarzeń Państwo Islamskie wychyliło wahadło wstecz o kilkanaście wieków. Pół biedy gdyby tylko w narracji. Rzecz w tym, że ten stary religijny konflikt rozgrywany jest dziś w nowej odsłonie, w naszych dekoracjach, na naszej scenie i naszym kosztem. A także z naszym udziałem. I aby nie stać się wyłącznie jego ofiarą, musimy stać się w nim stroną.

To nie jest walka o prawo do interpretacji transcendencji. Nie wyłącznie, nie przede wszystkim. Na oświeconym Zachodzie sprawy pozaziemskie nie mają pierwszeństwa przed ziemskimi. Radykalny, ekstremistyczny islam walczy z nami, ponieważ jesteśmy rzecznikami modernizacji, uczestniczymy w rozwoju współczesnej formuły kapitalizmu i jesteśmy szerzycielami globalizacji – owych pozbawionych twarzy hybryd, które islam utożsamia z naszym judeochrześcijańskim rodowodem i z tej tradycji wywodzi naszą odmienność.

Politolodzy twierdzą, że wypowiedziana nam przez radykalny islam wojna jest dziś, obok walki o demokratyzację świata (spór o jej kształt pozostawmy na boku), drugim decydującym o przyszłości świata konfliktem. Nie pierwszym, a drugim. Sądzę, że nie chcą nas straszyć. Może się wydawać, że ten konflikt nie ma implikacji dla kształtowania nowego układu sił między obecnymi mocarstwami czy dla finału konfrontacji demokracji z autokracją. Ale musi przecież przerażać siła destrukcji ekstremistycznego islamu, drastycznie odrzucającego konwergencję ze światem liberalnym kierującym się wartościami określanymi przez nas jako uniwersalne, a więc podlegające absorpcji na całym świecie.

Odrzucanie tych wartości przez islam nie jest w historii świata niczym nowym. Nowe jest to, że modernizacja i globalizacja wyżłobiły ślad także w samym islamie. I dziś zwalcza on współczesny świat nie tylko tradycyjnymi metodami walki z Zachodem, takimi jak zamachy terrorystyczne na szeroką skalę czy samobójstwa pociągające za sobą śmierć niewinnych ludzi, ale, niestety, jego własną bronią – technologią, mediami, a także jego własną ideologią. Wychodzi na to, że wieloletni spór islamu z Zachodem wyzwolił wiele sił destrukcyjnych i wyposażył je w możliwości operacyjne i techniczne niezbędne do podjęcia starcia z Zachodem. Państwo Islamskie, i nie tylko ono, sprawnie posługuje się siecią nowoczesnych środków komunikacji i wykorzystuje ją jako narzędzie do pozyskiwania rzesz zwolenników oraz rekrutacji wojowników poza jakąkolwiek kontrolą. Fizycznie terroryzuje obszary od Europy odległe, a jednak czujemy jego obecność także w Paryżu, Brukseli czy Londynie. Gdyby nie YouTube, Twitter czy Facebook wiedzielibyśmy o „sukcesach" islamistów niewiele, nie byliby w stanie narzucić nam swojej narracji zdarzeń, no i nie ulegalibyśmy szantażowi i strachowi w takim stopniu jak obecnie. Filmowane profesjonalną kamerą i upowszechniane w internecie ścinanie głów to barbarzyńskie i groźne przesłanie pod naszym adresem, ale i ważna dla nas informacja, że islamiści dobrze wiedzą, jak poruszać się w dzisiejszej przestrzeni komunikacyjnej, choć pogardzają cywilizacją, która ją stworzyła. W ich szeregach nie brakuje wojowników z zachodnim rodowodem, zderzonych i obytych z modernizacją i globalizacją.

Robert Kagan w wydanej kilka lat temu książce *The Return of History and the End of Dreams* pisze, że walka islamu z Zachodem to walka rozpaczliwa, desperacka i ostatecznie skazana na klęskę, ponieważ chodzi w niej o konflikt tradycjonalizmu i modernizmu, którego ten pierwszy – tradycjonalizm, czyli islam – nie jest w stanie rozstrzygnąć na swoją korzyść. Chciałoby się powiedzieć, że to dobra, uspokajająca refleksja, że nie mamy się czego obawiać, poradzimy sobie. Ale czy tak jest naprawdę? Niestety, nie do końca. Zastosowanie przez islamistów w tej walce nowoczesnej broni, technologii i posłużenie się naszą myślą operacyjną, tak to nazwijmy, przyniosło, przynosi i przyniesie nam wiele szkód i strat, a jej przebieg będzie dla nas bardzo bolesny. Nie jest też, jak optymistycznie

twierdzi Kagan, bo nie może być, przesądzony sam finał starcia. Zwłaszcza że w konfrontacji islamu z Zachodem nie chodzi wyłącznie o terror, mord i palenie żywcem. Te akty, celowo barbarzyńskie, należą do taktyki wojny obliczonej na to, aby sparaliżować nas strachem. To bitwy, starcia, potyczki, ale nie główna wojna. Główny atak jest cichy i rozłożony w czasie. Wielowarstwowa ekspansja, zajmowanie terenu, wypychanie niemuzułmanów z każdej możliwej niszy, którą islam uzna za swój przyczółek. Można zresztą tej ekspansji i związanej z nią przemocy w bardzo prosty sposób uniknąć lub jej zapobiec – wystarczy przyjąć islam.

Islam nie może liczyć na wielu sojuszników na świecie, twierdzi Kagan, ponieważ wszystkie znaczące narody stały się uczestnikami procesu modernizacji i globalizacji, korzystają z globalnej wymiany towarów, usług, kapitału i zaakceptowały typową dla współczesnego, nowoczesnego świata mieszaninę kultur i stylów życia. To żadna nowość, amerykański politolog ma rację, pisząc, że wszyscy słuchamy tej samej muzyki, oglądamy te same programy telewizyjne, chodzimy do kina na te same filmy, ulegamy tym samym dominującym trendom w modzie i fascynujemy się tą samą światową technologią. I jeżeli nawet tego żałujemy i chcemy się zdystansować, to i tak przejęliśmy już zasadnicze cechy współczesności wraz z właściwą jej moralistyką i estetyką. Kagan pomija jednak jeden niezwykle istotny aspekt tego procesu, ten mianowicie, że są przegrani, że na swoich obrzeżach pozostawia on zranione ofiary, że sama jego istota także wywołuje sprzeciw i opór i tworzy armię skłonnych do podjęcia morderczego wyzwania.

To prawda: świat wygląda dziś w wielu miejscach identycznie, w jego różnych, czasem od siebie odległych częściach identycznie rozumiemy regulujące nasze życie i postępowanie wartości, odbieramy podobne bodźce i podobnie na nie reagujemy, odnosimy się do wyzwań, zajmujemy stanowisko w cywilizacyjnych sporach. To nam ułatwia przemieszczanie się w świecie bez granic, ale i pozbawia nas domowego okrycia. Gdziekolwiek się znajdziemy, żyje się podobnie, ale odczuwamy też brak swego rodzaju prowincjonalizmu, brakuje nam tego uczucia pełnego zaufania do miejsca dobrze znanego z dzieciństwa, miejsca, w którym czuliśmy się bezpiecznie. Wieś francuska czy sycylijska niekoniecznie musi upodabniać się do teksańskiej. Czas w Ostródzie nie musi płynąć w tym

samym tempie co w Singapurze. To są uczucia, ważne, ale tylko uczucia, i nie one decydują o jakości świata. O niej przesądzają przeżywane na nim wartości.

Jednym z zasadniczych wyróżników nowoczesności jest pozycja kobiety, jej seksualne, polityczne i gospodarcze wyzwolenie – dziś nazwiemy je już równouprawnieniem. I chociaż w religiach kobieta zawsze jest obecna, bez niej nie byłoby bogów, którzy przychodzą do ludzi za jej pośrednictwem, dopiero w ostatnich dziesięcioleciach, i to dzięki wysiłkom sekularyzacyjnym, nie zaś odwołaniu do zapisów religijnych, uzyskała ona równoprawny status z mężczyzną. Żaden Kościół, chociaż wynosił ją na ołtarze, tej wolności jej nie dał, a islam uczynił z niej wręcz niewolnicę. Status kobiety jest więc dla nas symbolem, wcale niekoniecznie nowoczesności, tylko zwykłej ludzkiej przyzwoitości.

Modernizacja społeczna zakłada redukcję znaczenia Kościołów i religii, przesunięcie ich dominacji ze sfery publicznej do prywatnej, rozszerzenie przestrzeni wolności osobistej i artystycznej (z polityczną bywa różnie), istnienie zjawisk alternatywnych, nawet kontrkulturowych, kwestionujących porządek, obrazoburczych, wątpiących, wręcz heretyckich. Nasz świat nie jest moralizatorski, jest liberalny; nie jest kaznodziejski, jest wolnomyślicielski, wolny od restrykcji moralnych, jest wolny od ciążącej mu ultratradycji. Ale w konsekwencji pozbawiony autorytetów, wskazujących drogę myślicieli, moralnych jasnowidzów i wszystkowiedzących podpowiadaczy. Trzeba być niezwykle odpornym i stabilnym, aby się w nim nie zagubić. Kagan pisze, że dzisiejsza formuła światowego kapitalizmu możliwa jest nawet bez politycznego liberalizmu, natomiast w żadnym przypadku nie obejdzie się bez liberalizmu kulturowego. Na świecie nie brakuje przykładów, że w istocie tak właśnie jest.

Islam sytuuje się na przeciwległym biegunie. To dziś główny aktor na scenie konfrontacji z wolnym światem, chociaż i w katolicyzmie nie brakuje, zwłaszcza wśród narodów dopiero wchłaniających liberalizm, tendencji radykalnych, ortodoksyjnych czy wręcz fundamentalistycznych. Być może intuicyjnie odczuwają one potrzebę istnienia najwyższego autorytetu, a nic go tak skutecznie nie podpowiada jak religia. Pod wieloma względami obserwujemy nawet swego rodzaju „kontrreformację”.

Przejawia się ona w ponownym wzroście znaczenia religii w przestrzeni publicznej, demonstracyjnym odwoływaniu się do najbardziej tradycyjnych formuł obecności wyznaniowej praktykowanej na oczach innych.

Niektórzy socjolodzy mówią wręcz o nieaktualności tezy o postępowaniu sekularyzacji w miarę prosperity gospodarczej i modernizacji społecznej. Twierdzą, że czasy redukcji siły religii w życiu publicznym należą do przeszłości, że religia nigdy na dobrą sprawę nie opuściła sceny publicznej, skryła się tylko na chwilę w kulisach. Niewątpliwie powrót afirmacji religijnej w epoce postmodernistycznej ma swój związek również z kontrofensywą islamu i widoczną w wielu społeczeństwach absorpcją zjawiska zderzenia kultur. Mamy do czynienia ze swoistą mobilizacją religijną po obu stronach. Pytania o sens i cel życia, dlaczego ono jest i czym się kończy, skąd przychodzi cierpienie, dlaczego występuje zło, a dobro z nim przegrywa, czym jest szczęście, co oznacza śmierć, co jest po śmierci, inaczej mówiąc, pytania o sens naszej egzystencji znów są dyskutowane i przeżywane. Niekoniecznie dowodzi to sanacji gorliwości religijnej jako takiej – pytania nie są przecież nowe i przez cały okres naszej historii nie doświadczyły rozstrzygających odpowiedzi. Postawione w kontekście dominującego jeszcze w zachodnim świecie chrześcijaństwa są raczej synonimem przynależności do określonego kręgu kulturowego, zagrożonego dziś ekspansją i naciskiem ze strony islamu.

Religie – wszystkie i w każdym historycznym okresie – odcisnęły swoje wielkie piętno na tradycjach, dostarczyły im najważniejszego budulca. Tradycje z kolei określiły kultury, a te wykształciły formuły społeczeństw i struktury państw. Wiele wysiłku, wyrzeczeń i ofiar kosztowało naszą cywilizację zachodnią wypracowanie neutralnego modelu kohabitacji z transcendencją, w którym religia to opis stosunku człowieka do Boga w przestrzeni i czasie i zjawisko historyczne. Ścieżka ta ma niewiele wspólnego z islamem, gdzie religią jest już pierwsze objawione Mahometowi słowo, gdzie już pierwszy człowiek Adam jest religią prawdziwą, gdzie nie ma miejsca na nową jakość spotkania człowieka z Bogiem na przestrzeni dziejów.

Islamskie rozumienie historii i jej stawania się redukuje, ogranicza możliwość łączenia nowoczesności i orientacji tradycyjnej w kulturach

zdominowanych przez islam. Najważniejsze staje się w tym kontekście pytanie o stosunek islamu do przemocy. Wszystkie religie znają tę pokusę, ulegały jej i usprawiedliwiały stosowanie przemocy w imieniu Boga, ale w dzisiejszym świecie fenomen gwałtu religijnego i legitymizowanej religią zbrodni związany jest wyłącznie z islamem. W obszarze islamu nie brakuje oczywiście zjawisk będących źródłem niezadowolenia i motywacji dla użycia przemocy, ale szczególne niebezpieczeństwo dla nas wynika z faktu, że jest ona wyprowadzana wprost z religii, która podaje się za najdoskonalszą.

Nie oznacza to oczywiście, że za gwałtem i przemocą kryją się wszyscy wyznawcy islamu i że wszyscy oni w równym stopniu ponoszą za nie odpowiedzialność. Ale nie kto inny jak tylko oni powinni nam dostarczyć odpowiedzi na pytanie, na ile fundamenty ich religii i jej historia z prorokiem słowa, ale i wodzem krwawego czynu, stanowią dla nich przeszkodę w krytycznej nad nią refleksji. Wiemy, że z Bogiem nie prowadzi się dysputy, ale z wierzącymi weń ludźmi już tak. Wolność religijna ma dwie strony – swobodne wyznawanie jakiejś religii, ale i prawo do niewyznawania żadnej. Tak pojęta, a właśnie tak ją w naszej cywilizacji rozumiemy, tworzy przestrzeń dla autonomii jednostki, której ani religia, ani państwo nie mogą naruszyć. Pierwsza jest sprawą prywatną, drugie nie jest definiowane przez żadną z religii, jest wolne w swojej świeckości.

Radykalny islam obudził się kilkadziesiąt lat temu z refleksją, że świat byłby pełny i prawdziwy, gdyby wszyscy żyli zgodnie z Koranem i sunnami, według prawideł z okresu jego początków, czyli sprzed czternastu wieków. Jednym z takich „odnowicieli” był urodzony w 1906 w Egipcie Sayyid Qutb. W 1945 opublikował swoje pierwsze książki na temat islamu, trzy lata później na zlecenie rządu egipskiego wyjechał do Stanów Zjednoczonych, aby przyjrzeć się amerykańskiemu systemowi oświaty. Podróż miała być przełomowa w jego życiorysie. Już podczas pobytu w USA stał się, jak zresztą wielu innych, nieprzejednanym wrogiem cywilizacji amerykańskiej. O Amerykanach pisał, że zachowaniem przypominają jaskiniowców. Są prymitywni w pragnieniu posiadania władzy, bez respektu dla ideałów, manier i zasad. Kiedy w 1950 wrócił do Kairu, jego przemiana się dopełniła: Qutb stał się radykalnym islamistą propagującym zwalczanie wpływów zachodnich, jednym z ideologów

Bractwa Muzułmańskiego i sojusznikiem Nasera w obaleniu króla Faruka. Kiedy jednak zażądał od nowego władcy budowy państwa islamskiego, Naser sojusz zerwał. Qutb spędził wiele lat w więzieniu.

Za murami więzienia poświęcił się pisaniu komentarzy do Koranu. Wypełnił nimi trzydzieści tomów. Jedno z jego dzieł *Ma'alim fit-tarik* (Znaki na drodze), przeszmuglowane w kawałkach z więzienia, ukazało się nielegalnie w 1964 i do dziś stanowi biblię „obudzonego islamu". Zajął się w nim filozofią islamu jako religii zinstytucjonalizowanej i panującej na całym świecie. Zwracał się do wszystkich narodów i generacji, dzięki czemu przekroczył granice i stał się bardzo niebezpieczny. Tak bardzo, że w 1966 został stracony. Zapłacił głową, ale obudzony przez niego radykalny, fundamentalistyczny islam nadal żyje. Rozwinięty przez młodsze generacje okazał się zagrożeniem dla zachodniego świata.

Według egipskiego filozofa islamu, prawdziwy islam może być uratowany wyłącznie poprzez walkę ze współczesnym światem, i to na wszystkich możliwych frontach. Powrót do niezafałszowanego, pierwotnego islamu może nastąpić wyłącznie po pokonaniu całej politycznej i filozoficznej struktury światowego modernizmu, jednym słowem, demokracji. Prawodawcą w prawdziwym państwie (islamskim) jest bowiem Bóg, a nie człowiek. Demokracja, stworzona przez człowieka, jest inkarnacją herezji, politeizmu, pogaństwa i pomyłki. A skoro tak, to świat islamski i wraz z nim ten pozostały po przyjęciu islamu – taki jest cel – ma powrócić tam, gdzie był, zanim zanieczyściło go chrześcijaństwo i oparta na nim cywilizacja zachodnia. Do szóstego wieku.

Cel nierealny, utopijny, niemożliwy do osiągnięcia, nawet gdyby na przekór wszystkiemu islamistom udało się cofnąć swój świat o czternaście wieków, do początków historii islamu. Cel nierealny również dlatego, że reszta świata po prostu do tego nie dopuści. Islamistów to jednak nie obchodzi.

Jednym z uczniów Qutba był Osama bin Laden, uczeń pilny, wszechstronny i niezwykle szkodliwy. W 1998 opublikował liczącą tysiąc słów fatwę, czyli dekret religijny, zatytułowaną *Fatwa przeciw Żydom i krzyżowcom*, która do dziś stanowi fundament walki radykalnych islamistów z Zachodem. Bin Laden oświadczył w niej, że Zachód wypowiedział wojnę islamowi, wobec czego każdy muzułmanin na całym

świecie jest uprawniony do obrony i podjęcia w rewanżu ataku. „Decyzja o zabijaniu Amerykanów i ich sojuszników, cywili i wojskowych, jest osobistym obowiązkiem każdego muzułmanina, jeżeli ma ku temu sposobność, w każdym kraju i w każdej dogodnej sytuacji”. Zgodnie z tradycją islamu wojna oznacza nie tylko zabijanie, ale i grabież mienia przeciwnika. Formalne wypowiedzenie wojny dokonało się siódmego sierpnia tego samego roku w zamachach bombowych na ambasady amerykańskie w Kenii i Tanzanii. Zginęło kilkaset osób.

Niemal rok po ataku na World Trade Center, w 2002, w listopadzie, bin Laden napisał *List do Ameryki*. Cztery tysiące słów, podstawowy dokument islamskiej filozofii walki z cywilizacją zachodnią, nadal obowiązujący, wyjaśnia, dlaczego islamiści Zachód zwalczają i odrzucają, do czego go wzywają i czego od niego chcą. Warto ten list przypomnieć, ponieważ wiele, o ile nie wszystko, wyjaśnia.

Wojna jest odpowiedzią na wcześniejszy atak Zachodu na islam, to już wiemy. Ale ma też swoje cele. List, zanim je wyjaśni, wzywa Amerykanów i wszystkich innych do przyjęcia islamu, religii, która jest „pieczęcią wszystkich dotychczasowych”. Dobrowolne przejście na islam uczyni konfrontację zbędną, ale tak naiwny, aby na to liczyć, bin Laden oczywiście nie był. Postawił konkretne żądania. Najważniejsze miało być wprowadzenie przez Stany Zjednoczone szariatu, aby wyeliminować niemoralność, lichwę, narkomanię, hazard, równouprawnienie kobiet, wolność seksualną. Inna kategoria żądań odnosiła się do polityki. Stany Zjednoczone powinny zezwolić państwom arabskim na posiadanie broni masowego rażenia, zakończyć współpracę z Izraelem i jego obronę, potępić sekularyzacyjne odchylenia w państwach islamskich, ukarać amerykańskich zbrodniarzy wojennych. No i generalne żądanie, aby Zachód nie mieszał się do islamskiej polityki, stylu życia, prawa i metod wychowawczych.

Mark A. Gabriel, egipsko-amerykański uczony i publicysta specjalizujący się w opisie terroryzmu islamskiego, który w 1994 przeszedł na katolicyzm i poddany został przemocy, łącznie z uwięzieniem, wyróżnił w swojej książce *Journey Into the Mind of an Islamic Terrorist* pięć filarów radykalnej filozofii islamskiej. Zanim do nich przejdziemy, warto wiedzieć, że Gabriel – przed konwersją wykładał na najsławniejszym islamskim uniwersytecie Al-Azhar w Kairze historię islamu – jest zdania, iż nic tak nie

odróżnia i nie różni islamskich radykałów od pozostałych ludzi jak islamskie prawo. Pisze on, że ekstremizm islamski orbituje wokół problemu prawa nierozerwalnie związanego z uwielbieniem Allaha. Prawo to, szariat, narzucone jest przez Koran, a jego pierwszym i najwłaściwszym egzekutorem był sam Mahomet. Jedno z przesłań zawartych w hadisach określiło w tym względzie trzy zasady: Allah mówi, że muzułmanie muszą akceptować wyroki Mahometa; każdy, kto je odrzuca, jest niewiernym; i każde prawo, które nie powołuje się na Koran albo nie bierze przykładu z Mahometa, sprzeczne jest z Koranem.

Sayyid Qutb pisał, że szariat Allaha w najprostszy i najwłaściwszy sposób doprowadza do harmonii między zewnętrzną postawą człowieka a jego wewnętrzną naturą. Jeżeli człowiek pogodzi się w ten sposób ze swoją naturą, to zadowolony będzie on sam i inni wraz z nim, ponieważ wszyscy powiązani są ze sobą i wspólnie stanowią część uniwersum. Wówczas na całą ludzkość spłynie błogosławieństwo, które pozwoli odkryć wszystkie tajemne siły przyrody. To wręcz alchemia, mistycyzm, nieobcy również islamowi, tyle że z rzeczywistością prawa islamskiego niewiele mający wspólnego. Liczy się bowiem nie poszukiwanie w uniwersum odcieni natury ludzkiej, lecz twarda praktyka głoszenia i stosowania szariatu – nacechowanego zemstą, pozbawionego miłosierdzia i nieubłaganego dla wiernych. Wystarczy przywołać głoszenie i stosowanie prawa w takich przypadkach, jak: zdrada małżeńska, cudzołóstwo, fałszywe świadectwo, kłamstwo, apostazja, spożywanie alkoholu, homoseksualizm, zabór cudzego mienia, aby nie mieć wątpliwości, że szariat nie podąża wyłącznie śladem myśli Qutba wędrujących po dalekim nieboskłonie.

Gabriel wyróżnia następujące filary radykalnej filozofii islamskiej leżącej u podłoża islamskiego ekspansjonizmu: 1) nie ma innego prawa ponad prawem islamu; 2) likwidacja wrogiego otoczenia niewiernych; 3) opanowanie świata przez islam; 4) dżihad jako jedyna droga prowadząca do sukcesu; 5) wiara jako jedyna siła napędowa ekspansji islamu. Ze wszystkich pięciu wynika, że najważniejszym celem muzułmanina jest obrona, ekspansja i zwycięstwo islamu. Alfą i omegą jest dla niego tylko i wyłącznie wiara. Nie liczą się żadne inne aspekty – ani gospodarcze, ani materialne, ani polityczne, ani rasowe – jedynie sama wiara.

To zresztą w dzisiejszym zachodnim, zeświecczonym świecie podstawowy problem dla niemuzułmanów: niełatwo im pojąć, zrozumieć, a tym bardziej przyjąć do wiadomości, że siłą i oparciem dla wszystkim ekstremistycznych grup islamskich, niezależnie od tego, czy stosują terror czy nie, jest głęboka fundamentalistyczna wiara. Gabriel uważa, i trzeba się z nim zgodzić, że fundamentalistyczny islamista odnajduje więź i zrozumienie jedynie u innego fundamentalisty – katolickiego czy może szerzej, chrześcijańskiego. Nikomu innemu identyfikacja z wyzwaniami wiary islamisty nie przychodzi tak łatwo i u nikogo innego czynnik silnej wiary nie odgrywa tak wielkiej roli, jak właśnie u fundamentalisty chrześcijańskiego. Stąd wiele pokrewieństw w reakcji na upowszechnianie się ateizmu, stąd tak wielkie opory przed „chowaniem Kościoła w zakrystii”.

Qutb pisze, że Koran reguluje wszystkie małe i duże sprawy człowieka, odnosi się do wszystkich aspektów jego życia i porządkuje je tak na tym, jak i na przyszłym świecie. Czyż inaczej sądzi głęboko wierzący chrześcijanin? Egipski filozof, ojciec radykalizmu islamskiego, narzeka na fakt, że współczesne społeczeństwa żyją bez ważnych dla siebie żywotnych wartości, potrzebnych nie tylko dla ich zdrowego rozwoju, ale i decydujących o prawdziwym postępie… Wezwania fundamentalistów obu wyzwań do odnowy moralnej, odrodzenia duchowego i powrotu do religijnych korzeni brzmią więcej niż podobnie.

Ale jest jedna różnica, i to zasadnicza. Chrześcijanie nie tworzą komórek czy grup terrorystycznych, nie podkładają bomb w imieniu Jezusa, nie wysadzają się w powietrze i nie spieszą na spotkanie z Bogiem przybrani w pas wyładowany materiałami wybuchowymi, nie nawołują do krwawej rozprawy z niewiernymi. Dlaczego nie? Odpowiedź jest prosta i znajduje się w Piśmie. Jezus sam złożył ofiarę z życia dla ratowania człowieka i nie dostarczył mu żadnego wzoru postępowania, które doprowadziłoby go do zbrodniczego samobójstwa. Inaczej niż Mahomet. Dlatego fundamentalista chrześcijański nie jest tożsamy z islamskim. Może być równie agresywny w swojej stylistyce, może mu nie brakować temperamentu albo uporu, ale w jego religii nie ma nakazu zabijania.

Według Roberta Kagana przed nami długi okres konfrontacji, walki i zmagań, w których nadzieje i marzenia ekstremistycznych islamistów się

nie spełnią. Nie spełnią, ponieważ ani Stany Zjednoczone, ani Rosja, ani Europa, ani Chiny, ani nawet same narody Bliskiego Wschodu nie będą w stanie albo nie będą chciały ustąpić ich żądaniom. Współczesne mocarstwa, ze stworzonym przez siebie układem sił, nie są w stanie wycofać się, ustąpić, tak jak żądają w swoich deklaracjach i wymuszają zamachami ekstremiści islamscy. Współczesny zglobalizowany świat nie może się po prostu cofnąć tam, gdzie chcieliby go widzieć wojownicy Allaha. Podstawowym problemem pozostanie natomiast zdolność mniej lub bardziej od siebie zależnych sił do współdziałania w walce z terroryzmem. Tu mogą decydować, niestety, odmiennie formułowane interesy.

Wróćmy jednak do Rzymu, do Europy. W 2003, w lutym, Europejski Trybunał Praw Człowieka orzekł w wyroku, że system prawny nazywany szariatem narusza podstawowe fundamenty i zasady demokracji. Dla islamistów to nic nowego, wszak nie uznają demokracji, systemu stworzonego przez człowieka, a nie Boga. Trybunał stwierdził między innymi, że reguły szariatu kłócą się z wieloma zapisami europejskiego porządku prawnego, w tym przede wszystkim z konwencją o ochronie praw człowieka określającą także status kobiet. Szariat wprowadza religijne nakazy do sfery życia zarówno prywatnego, jak i publicznego, dostrzegł Trybunał. Problem ten z całą wyrazistością ujawnił się w Belgii w działaniach silnej i wpływowej organizacji Sharia4Belgium (uznana została w końcu przez sąd za organizację terrorystyczną, ale wybitni prawnicy odwołali się od wyroku). Sposób, w jaki radzi sobie świeckie państwo belgijskie z groźbą szariatu i jego konsekwencjami może być wskazówką, na ile i jak dalece ekspansja islamu rozwinie się w niedalekiej przyszłości w innych państwach i jak wielki stanowić będzie problem dla europejskiego porządku prawnego.

Każde państwo, w tym Belgia, dysponuje wystarczającymi środkami prawnymi, aby na tym etapie postawić szariatowi tamę, ale naczelną zasadą władz w państwie prawa jest dla niego respekt, co w znacznym stopniu ogranicza lub hamuje reakcję na ekspansję pomysłów ultrareakcyjnych islamistów. Żądają oni na przykład, i próbują to wymusić na lokalnych władzach, oddzielnych środków komunikacji miejskiej dla kobiet i mężczyzn, odmawiają pobytu w tych samych pomieszczeniach publicznych z niewiernymi, żądają okryć dla dwunastoletnich dziewczynek

i zgody na ich zamążpójście. No i stary problem z podawaniem ręki. Pełniący funkcje publiczne w radach gmin muzułmanie odmawiają powitania przez podanie ręki burmistrzom, a także kobietom pełniącym funkcje administracyjne.

Postulat wprowadzenia szariatu nie jest już zresztą wymysłem tylko Sharia4Belgium. Powstała w 2012 pierwsza partia islamska o nazwie – jakże inaczej – ISLAM, wypisała na swoich sztandarach dokładnie ten sam cel. A ponieważ wprowadziła do władz komunalnych swoich członków, szariat o kolejny krok do Belgii się przybliżył. Radni tej partii wcale nie ukrywają, co zamierzają osiągnąć i o co walczyć. Partia ISLAM odkryła przy tym, że kluczem do sukcesu są wybory, bo wtedy państwo prawa będzie stało po stronie muzułmanów.

Redouane Ahrouch, jej założyciel i przywódca, dziś także radny w Brukseli, ma już stosowne doświadczenie – w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku zakładał pierwszy szyicki meczet w stolicy, podejmował też wcześniej wysiłki w celu politycznego zorganizowania społeczności muzułmańskiej. Z niewyjaśnionych przyczyn, jak pisałem, muzułmanie nie pchają się do polityki, swoje sprawy załatwiają poza sceną polityczną, dotychczas ich interesy z reguły reprezentowały liczące na dodatkowe głosy partie lewicowe. Ahroucha to nie zraziło. Być może wyborcom muzułmańskim brakowało odpowiedniego programu. Teraz już jest i nie może im nie odpowiadać: wprowadzenie w Belgii prawa islamskiego, przywrócenie kary śmierci za wiele przestępstw, wprowadzenie kar więzienia za eutanazję i aborcję. Podczas konferencji prasowej po udanych dla jego partii wyborach do Rady Miasta w Brukseli Ahrouch powiedział:

> Jesteśmy wybrani jako islamiści, ale w pierwszym rzędzie jesteśmy muzułmanami. Islam jest zgodny z ustawami belgijskiego ludu. Ale dla nas jako wybranych muzułmanów tylko Koran i tradycja proroka Mahometa są wiążące. Głęboko wierzymy, że islam jest religią uniwersalistyczną. Nasza obecność w radzie miasta otwiera nam teraz możliwości, aby ten stan rzeczy jasno i otwarcie wyrazić.

Na najbliższy okres partia ISLAM sformułowała trzy główne wyzwania polityczne: po pierwsze, doprowadzić do tego, aby w stołówkach

publicznych serwowane były posiłki halal, religijnie czyste; po drugie, uzyskać regulację prawną uznającą święta muzułmańskie za oficjalne święta państwowe; i po trzecie, przeforsować legalizację noszenia okryć islamskich w przestrzeni publicznej.

Ale na tych trzech postulatach program islamistów belgijskich się nie kończy. Ahrouch próbował kilka lat wcześniej – bez sukcesu – założyć inną partię, Noor (Światło), ale jej zbyt obszerny czterdziestopunktowy program wystraszył niedoszłych zwolenników. Teraz czasy się zmieniły, islam się umocnił, a polityka stała się bardziej bojaźliwa i skłonna do ustępstw, można więc do niego powrócić. Oto niektóre tylko z postulatów: odmowa płacenia odsetek w ramach belgijskiego systemu bankowego; modyfikacja belgijskiego systemu prawnego w takim kierunku i zakresie, aby odzwierciedlał szariat bez formalnego jego wprowadzania; całkowity zakaz spożywania alkoholu i palenia papierosów; zgoda na małżeństwa niepełnoletnich; całkowity rozdział kobiet od mężczyzn w przestrzeni publicznej; utworzenie islamskiego funduszu jałmużnego (zakat); likwidacja loterii; wprowadzenie kary śmierci w takim zakresie, w jakim przewiduje ją szariat…

> Nasz agenda się nie zmieniła, pozostaje wciąż ta sama, zmieniły się nieco okoliczności. Musimy cierpliwie wytłumaczyć mieszkańcom Belgii, że odniosą same tylko korzyści, jeżeli będą mieli wokół siebie muzułmanów i prawo islamu

– objaśnił niedawno Ahrouch. Trudno przewidzieć, ile czasu zajmie mu owo przekonywanie.

Przypomnę, że niemal połowa belgijskich muzułmanów – trzysta tysięcy – mieszka w jednym miejscu, w Brukseli. Nie trzeba wróżyć z fusów, co będzie dalej. Widać to po sile i gęstości manifestacji i demonstracji. Jak pisałem, muzułmanie wyprowadzają na ulice brukselskie więcej demonstrantów niż wciąż narzekający na wszystko rolnicy, Kościoły, związki zawodowe, wszystkie te grupy razem wzięte. A kiedy już maszerują ulicami stolicy, trudno wśród nich odróżnić prostego, zwykłego muzułmanina od prostego, zwykłego islamisty. Piszę o tym, ponieważ wciąż słyszymy, abyśmy bardzo dokładnie odróżniali, abyśmy nie mieszali,

nie ma bowiem jednego islamu, są natomiast setki jego interpretacji, mówią nam dbali o dobre imię islamu humaniści. Przyznają wprawdzie, że istnieją też islamiści, którzy chcą dosłownego państwa bożego na ziemi, no ale ich właśnie trzeba od pozostałych odróżnić. To prawda, ale jest z tym jeden podstawowy problem: aby móc ich odróżnić, najpierw trzeba stać się pobożnym muzułmaninem.

Mieszkająca dziś w Szwajcarii pisarka brytyjska Gisele Littman, znana pod pseudonimem Bat Ye'or (Córka Nilu), egipska Żydówka, która w 1957 po wojnie o Kanał Sueski wyemigrowała do Londynu i wszystkie swoje prace poświęciła islamizacji Europy, jest autorką pojęcia „Eurabia". Bat posłużyła się pojęciem Eurabii, aby unaocznić, że co najmniej od początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku elity polityczne Wspólnot Europejskich usilnie pracują na rzecz stopienia się Europy ze światem arabskim, że zaaprobowały w tym procesie zarówno stopniową islamizację Europy, jak i zniszczenie Izraela.

To wprawdzie ciekawy wątek, ale odbiega od ram tej książki. W tym miejscu przywołam tylko kwestię wielokulturowości. Bat Ye'or twierdzi, że rozwijała się ona w dwóch odmiennych obszarach polityki europejskiej. W pierwszym wielość i różnorodność kultur stanowić miała zasadniczy instrument kreacji solidarności między państwami wspólnoty. Ta koncepcja opierała się na wzajemnym przenikaniu się tych samych wartości, kultur i tęsknot za wolnością występujących z tym samym natężeniem i na tym samym gruncie doświadczeń historycznych w społeczeństwach państw członkowskich. W drugim miała być narzędziem wykreowania integracji euro-arabskiej wokół basenu Morza Śródziemnego. W tym kontekście odnosiła się głównie do napływających licznie imigrantów muzułmańskich. Ci odmówili jednak integracji w nowych społeczeństwach. W efekcie wielokulturowość urosła do zasadniczego elementu wspólnej euro-śródziemnomorskiej polityki bezpieczeństwa, co umożliwiło polityce sprawne obejście deklarowanej przez muzułmanów odmowy integracji. Postulat integracji zastąpiło uznanie równorzędności kultur (ich relatywizm) i wartości, które reprezentują. Niestety, piękna idea równości kultur nie zdała egzaminu, ponieważ zrozumiana została i zyskała znaczenie tylko w zachodniej sferze cywilizacyjnej. Społeczeństwa islamskie deklarują brak zainteresowania równością kultur i demonstrują

swoją wyższość nad wszystkimi innymi. Stan ten doprowadził w procesie współegzystencji różnych kultur do asymetrycznych relacji, które oficjalnie są skutecznie zakłamywane, podczas gdy to one przesądzają o charakterze i istocie stosunków Europy z islamem. Tyle o wielokulturowości i multikulturalizmie.

W przypadku „Córki Nilu" bardziej interesuje nas bowiem inny problem, nad którym ona pracuje. Chodzi o relacje społeczne między muzułmanami a mniejszościami niemuzułmańskimi na obszarze zetknięcia z islamem. Na co mogą liczyć te ostatnie, jak są przez muzułmanów traktowane, z jakich praw korzystają i czy podlegają konwergencji z ich religią. Istotna kwestia. Po zdobyciu Rzymu przez islam nie wszyscy wszak natychmiast staną się muzułmanami. Szariat przewiduje tak zwaną klauzulę ochronną dla niemuzułmanów, dla *dhimmi*, którzy uznali panowanie muzułmanów. Niewierni są tolerowani w ograniczonym zakresie i pod pewnymi warunkami (takimi między innymi jak regularne składanie wysokiego okupu). Zresztą, aby doświadczyć, czym jest ta klauzula, nie musimy wcale czekać aż do zdobycia Rzymu. Właściwie już dziś w wielu państwach europejskich, na przykład w Wielkiej Brytanii, jesteśmy świadkami swoistego jej zastosowania. Odzwierciedla to najlepiej polityka udobruchania (*appeasement*) islamu czy wręcz podlizywania się jego wyznawcom w przestrzeni publicznej, i to na obszarze, którego całkowicie jeszcze nie zaanektowali. Stan przez krytyków postępującej islamizacji nazywany dhimmikracją.

Na czym on polega? Na uwzględnianiu na każdym kroku „wrażliwości" islamistów, na porzuceniu własnych wartości i norm obyczajowych, na rezygnacji z demonstracji własnej postawy, ograniczaniu substancji wolnej kultury, wycofywaniu się z przyjętych reguł i tradycji, na redukcji własnej obecności w przestrzeni publicznej, na akceptacji dla świętego spokoju żądań i oczekiwań w nadziei na uniknięcie drastycznych konfliktów. Dhimmikracja przejawia się w sferze polityki, życia publicznego, życia kulturalnego i w regułach państwa socjalnego dopasowującego się do wymogów muzułmańskiej części społeczeństwa. Najbardziej jednak widoczna i czytelna jest w języku komunikacji politycznej i publicznej, w jej semantyce i retoryce.

Oto przykłady. W relacjach medialnych odchodzi się od nazywania rzeczy po imieniu – od takich sformułowań, jak „radykalni islamiści”, „terroryści muzułmańscy”, „fundamentaliści islamscy”, „wojna z terrorem islamskim” – po to aby ze świadomości społecznej wyplenić asocjację islamu z terroryzmem. Pojawia się niechęć do nazywania dżihadystów terrorystami, o wiele bardziej neutralnie brzmiałoby po prostu „przestępcy, kryminaliści”, ale też jakoś nie przystoi. Nie na miejscu jest wymienianie jednym tchem islamu i przemocy – taki związek semantyczny ociera się o nienawiść rasową, jest potępiany i uważany za niedopuszczalny. Zamiast istotnych różnic podkreśla się „wspólne wartości”; słyszymy często: *wierzymy przecież w tego samego jednego Boga*. Albo: *Musimy budować mosty religijnego porozumienia*.

W dhimmikracji wprowadza się regulacje tylko dla muzułmanów, aprobujące równoległe sytuacje prawne, co prowadzi do przyznania specjalnego statusu wyłącznie muzułmanom. Ten specjalny status zwalnia ich od przestrzegania norm, których naruszenie przez innych członków społeczności zagrożone jest sankcjami. Dopasowuje się system szkolnictwa do wymagań uczniów muzułmańskich, niezainteresowanych historią narodu i kraju zamieszkania, którzy i tak swoją zasadniczą wiedzę zdobywają w szkołach koranicznych. Notujemy ciche ustępstwa w kwestii wielożeństwa, zabronionego tubylcom przez prawo i respektowanego przez to samo prawo i praktykę wobec muzułmanów. Jak widać, Rzym wcale nie musi zostać zdobyty zbrojnie. Wystarczy, że Wielka Brytania jest już opanowana przez dhimmikrację, a reszta kontynentu znajduje się na najlepszej drodze do tego, aby zostać wchłonięta przez jej właściwą dla danego kraju wersję.

W 2015, pod koniec lutego, Austria zmodyfikowała swoje stare, pochodzące z 1912 ustawy regulujące stosunki państwa z islamem. Przypomnijmy: w tradycji tego kraju liczne narodowe mniejszości zapisały piękne karty historii, a muzułmanie pojawili się w nim wcale nie wraz z napływem gastarbeiterów. Obecna modyfikacja prawa jest próbą stworzenia islamu narodowego, austriackiego, związanego z krajem i współodpowiedzialnego za jego pomyślność. O podobnych próbach czy projektach pisałem przy okazji sytuacji we Francji i Niemczech. Austriacka ustawa o islamie jest krótka, liczy osiem stron i zawiera trzydzieści trzy

paragrafy. Może się wydawać, że ta niewielka zawartość nie odzwierciedla istoty problemu, ale tak nie jest. Jest wystarczająca i precyzyjna, a postronnych informuje, że nawet tak drażliwe problemy jak te związane z ekspansją islamu można przynajmniej próbować rozwiązać zwięźle i bez nadmiaru tuszu.

Ustawa reguluje pozycję, prawa i *obowiązki* liczącej sześćset tysięcy członków społeczności muzułmańskiej, której jedna trzecia posiada już austriackie obywatelstwo. Minister spraw zagranicznych Austrii, odnosząc się do tej ustawy, też za bardzo się nie rozwodził, jej główna myśl jest bowiem prosta i jasna jak promień słońca. Chodzi generalnie o to, jak powiedział, aby w Austrii więcej było imamów mówiących po niemiecku, będących obywatelami Austrii, wykształconych w Austrii, znających kulturę austriacką, i także o to, aby w końcu wiedzieli oni, jakie są rzeczywiste troski i potrzeby muzułmańskich obywateli kraju, co oznacza, że tak dotychczas nie było.

Jakie zapisy tej ustawy mogą stać się istotną wskazówką dla innych państw dotkniętych tym samym problemem? Otóż ustawa nakazuje priorytet prawa kraju nad religijnymi nakazami i regułami islamu (odważna nowość w państwie prawa!), czym znosi równoległą przestrzeń prawną praktykowaną na co dzień przez imamów. Naruszenie tego priorytetu obłożone zostało karą. Ustawa daje kanclerzowi Austrii do ręki silny instrument prawny w postaci odmowy uznania wspólnoty muzułmańskiej za wspólnotę religijną, jeżeli przemawiają za tym względy bezpieczeństwa narodowego. Gminy, mające spore uprawnienia w administrowaniu w przestrzeni lokalnej, uzyskały z kolei możliwość wydalania imamów, jeżeli naruszają konstytucyjny porządek prawny. Funkcjonariusze wspólnot muzułmańskich, kaznodzieje, nauczyciele i same wspólnoty nie mogą korzystać z jakiegokolwiek zewnętrznego wsparcia finansowego. To bodaj najważniejsze postanowienie nowej ustawy – w Austrii, podobnie jak w innych państwach Europy Zachodniej, infrastruktura meczetów i ich personel utrzymywane są przez kraje muzułmańskie, głównie Arabię Saudyjską, Maroko i Turcję. Kraje te eksportują również islamskich duchownych, nieznających języków i obyczajów ani kultury i tradycji państw, w których głoszą nauki islamu. Tylko tacy bowiem, brzmi wyjaśnienie, gwarantują czystość przekazu Koranu. Uchwalone obecnie

prawo nakazuje kształcenie imamów w Austrii. I postanawia dalej o regulacji świąt muzułmańskich oraz przepisów odnoszących się do muzułmańskich reguł żywnościowych.

Jak można było oczekiwać, ustawa spotkała się z ostrą krytyką ze strony organizacji muzułmańskich. Zbulwersowała je nie tyle konieczność kształcenia imamów w Austrii czy wymóg posługiwania się językiem kraju, ile przede wszystkim restrykcje związane z zakazem finansowania islamu austriackiego z zagranicy. Nie można im się dziwić. Napływ pieniędzy z państw muzułmańskich zapewniał nie tylko utrzymanie infrastruktury, ale i przesądzał o kolorycie islamu – dominował ten z Arabii Saudyjskiej, niewiele mający wspólnego z krajem, w którym był głoszony. Bez pieniędzy z zewnątrz imamowie w Austrii nie nałożą wprawdzie tyrolskiego jankera, ale będą musieli przyswoić sobie wiedeński akcent. Kiedy go już nieco opanują, wówczas – taki jest zamysł nowej ustawy – zwrócą się bardziej w stronę żyjących w kraju ludzi, a mniej uwagi poświęcać będą europejskiej ekspansji islamu.

Islam zawsze podnosi argument, że jest „pieczęcią wszystkich dotychczasowych religii", w czym przypomina trochę naukowy socjalizm, nad którym nie wolno było stawiać znaków zapytania, przeczyły bowiem jego naukowej, danej raz na zawsze uniwersalności. Przynależność do islamu przesądza o wszystkim. Odejście od niego zagrożone jest karą śmierci. To straszna kara za porzucenie wiary i jednocześnie skuteczny środek zapewniający jej dozgonną wierność. Na pytanie, dlaczego islam nie stosuje w tym przypadku tak reklamowanego na zewnątrz religii miłosierdzia, odpowiada dr Adel al-Mterat, docent na uniwersytecie prawa islamskiego i studiów nad islamem w Kuwejcie. Mówi:

> Wiara inna od islamu prowadzi do piekła. Jesteśmy muzułmanami, Bogu niech będą za to dzięki. […] Religia islamska jest najdoskonalszą religią. Muszą w to wierzyć wszyscy ludzie, niezależnie od tego, czy są muzułmanami czy nie. Allah, niech będzie Wielki, powiedział: każdy, kto pożąda religii innej od islamu, będzie w wieczności należał do przegranych. […] Religią Allaha jest islam. Wszystkie poprzednie religie nie istnieją, przeminęły. Prorok Mahomet powiedział: każdy Żyd i każdy chrześcijanin, którzy się

> o mnie dowiedzieli, a którzy we mnie nie uwierzyli, przepadną w piekle. […] Prorok Allaha zajął się tą sprawą. Powiedział: kto porzuca swoją religię, tego zabijcie. Ponieważ ten i tak straci. Przegra i w tym, i w tamtym życiu.

O tak, już przegrywa nie tylko życie doczesne, i nie tylko przyszłe. Przegrywa również życie wczorajsze. Z terytorium kalifatu docierają do nas informacje o barbarzyńskim niszczeniu dziedzictwa historii. Lista fragmentów prehistorycznych asyryjskich miast, świadectw dawnych kultów i dzieł sztuki zniszczonych przez fanatyków religijnych jest coraz dłuższa. Przetrwały niezliczone wojny, rewolucje, najazdy i krwawe porachunki. Ginęli w nich ludzie, ale starożytnych pomników historii broniła ich niewinność. Dziś islamiści ścinają głowy również posągom i świat jest bezradny wobec ogromu cynizmu, z jakim tworzą nowy raj na ziemi. Bez przyszłości i bez przeszłości.

Może przybyliśmy na Ziemię z uniwersum, może przysłał nas tu Bóg, może nie. Ale odkąd jesteśmy na tej planecie, zostawiamy swój ślad. Jednego z najstarszych za chwilę nie będzie. Islamiści nie wiedzą, co niszczą. A może wiedzą i są wysłannikami diabła. W takim razie przegramy.

W Rzymie przetrwały jeszcze resztki historii cywilizacji. Kiedy kalifat zdobędzie Rzym, podzielą nasz los.

Marzec, 2015

Rzadko zdarza się, aby życie dodało do tematu, o którym się pisze, dramatyczny komentarz ledwie chwilę po tym, gdy autor postawił ostatnią kropkę. Tak stało się w wypadku tej książki. Dotarła właśnie do wydawnictwa, kiedy z dalekiej Tunezji, wydawałoby się bezpiecznej, nadeszła informacja o zamachu terrorystycznym dokonanym 18 marca w muzeum Bardo w Tunisie.

Ofiarami byli turyści, wśród nich, jak należało się spodziewać – Polacy. Tunezja od lat jest jednym z ulubionych celów ich wyjazdów turystycznych, a wizyta w muzeum Bardo dla większości stanowi obowiązkowy punkt programu. Poza pięknymi plażami, wyśmienitą obsługą w hotelach, atmosferą prawdziwie urlopowego wypoczynku Tunezja oferuje przecież wspaniałą wycieczkę w przeszłość, w odległe czasy przedchrześcijańskie: punickie, greckie, rzymskie. Samo muzeum gromadzi tysiące prehistorycznych mozaik i świadectw dawnych kultur. Rzymianie czuli się tutaj jak u siebie w domu, a ślady ich obecności nadal są widoczne. Tunezja zawsze przyciągała i do dziś przyciąga wielu pisarzy, poetów, malarzy, ludzi wrażliwych. To piękne miejsce do życia, picia wina, kontemplacji, wypoczynku.

Muzeum z natury rzeczy jest dla wszystkich otwarte i bezbronne. Morderczy zamach na jego gości to akt barbarzyństwa wymierzony nie tylko w ofiary, ale i w podstawy cywilizacji. My tak to widzimy. Oparte na tych samych przesłankach rozumowanie zabójców islamskich jest inne i zupełnie proste: im słabsza ochrona, im więcej odwiedzających osób, tym łatwiejszy zamach, tym większa siła jego rażenia. W Bardo zginęli Polacy, Francuzi, Włosi, Hiszpanie, Japończycy, Kolumbijczycy, a także Tunezyjczycy. Miecz wojowników Allaha naznaczył pół świata. Po raz kolejny przypomniał o uniwersalności terroru islamskiego i jego świętej zasadzie – nikt nigdzie nie może czuć się bezpieczny. Obaj zabici

zamachowcy walczyli wcześniej w Syrii w oddziałach Państwa Islamskiego. Poza bojową sprawnością doświadczyli tam indoktrynacji. Wrócili i zabili. Dla Allaha.

Ci, którzy naciskają spust kałasznikowa, rzadko są intelektualistami, myślicielami, wrażliwymi ideologami, przewodnikami duchowymi. Większość, o ile nie wszyscy, to fanatycy; niektórzy są półanalfabetami, nomadami żyjącymi na skraju cywilizacji. To ból dodatkowy – stracić życie z rąk barbarzyńcy. Jest wątpliwe, aby sprawcy masakry w muzeum Bardo zajrzeli do niego kiedykolwiek z powodu zachowanej w dziełach sztuki przeszłości. Człowiek poświęcający czas na jej kontemplację nie posunie się do bezwzględnego okrucieństwa. My chodzimy do muzeów, oni przed nimi strzelają do nas. Dokładnie tu przebiega linia pęknięcia. To linia symboliczna, która odsłania całą naszą niemoc.

Pisałem w tej książce, że nasilające się w Europie Zachodniej dramatyczne zjawiska Polaków jeszcze nie dotyczą, w Polsce jeszcze jest bezpiecznie. Życie w najbardziej drastyczny sposób skorygowało moje opinie. Ofiarą islamistów można stać się wszędzie, bo wszędzie walczą oni o powstanie islamskiego państwa. Uważają nas za sobie podległych, decydują więc o naszym losie. Niestety, mój sąsiad islamista nie jest sam. Tunis jest wszędzie.

As-salāmu alaykum

Najwyższy czas poznać bliżej islam poprzez słownictwo, które wyraża jego istotę i określa charakter. Może niekoniecznie trzeba już uczyć się tych słów na pamięć, ale warto wiedzieć, co wyrażają.

abd – sługa Boga.

ahl – lud albo plemię.

ahl al-bait – należący do domu, rodziny proroka Mahometa.

ahl al-kitab – lud Boga, wszyscy ci, którzy uznają Boga za Stwórcę.

ajat – werset Koranu.

ajatollah – znak Boga, honorowy tytuł wybitnego duchownego szyickiego.

Akbar – Wielki, przydomek Allaha.

Al-Burak – skrzydlaty rumak, na którym prorok Mahomet udał się w nocną podróż do nieba, a także z Mekki do Jerozolimy. Przed islamem miał służyć także innym prorokom, w tym Abrahamowi. Uważa się, że nocne podróże były wytworem sennych marzeń Mahometa.

Al-Kaba – sześciokątny budynek na dziedzińcu meczetu w Mekce, w którego wschodni narożnik wmurowany jest mityczny czarny kamień, cel dorocznych pielgrzymek muzułmanów.

Allah – najważniejsze z najpiękniejszych imiona Boga. Jest ich dziewięćdziesiąt dziewięć. Niektóre inne: al-Malik, Król; al-Quddûs, Święty; al-Mutakabbir, Dumny; al-Adl, Sprawiedliwy; al-Hakar, Sędzia; al-Halik, Stwórca.

Allah akbar – Bóg jest wielki.

al-miradż – wniebowstąpienie proroka Mahometa po nocnej podróży z Mekki do Jerozolimy (619).

arkan al-Islam – pięć filarów islamu: szahada – wyznanie wiary, salat – modlitwa, zakat – jałmużna, saum – post, hadżdż – życiowa pielgrzymka do Mekki, obowiązkowa dla każdego muzułmanina, który może sobie na nią pozwolić.

Asmā Allāh al-husn – dziewięćdziesiąt dziewięć kanonicznych, najpiękniejszych imion Boga, niektórzy twierdzą, że Allah ma ich trzysta.

as-salāmu alaykum (salam alejkum, salem alejkum) – pokój z wami, najważniejsze muzułmańskie pozdrowienie.

Azhar – uniwersytet w Kairze, najstarszy muzułmański uniwersytet świata, religijny autorytet w islamie.

baraka – błogosławieństwo, łaska przekazywana przez Boga wierzącemu muzułmaninowi, charyzma, duchowa moc i siła.

bātin – ukryte, tajemne przesłanie Koranu.

barzach – przejście po śmierci ze świata fizycznego do królestwa ducha.

burka – strój okrywający całkowicie muzułmankę. W ekstremalnej formie stosowana między innymi w Afganistanie i państwach Półwyspu Arabskiego.

Bracia Muzułmanie (Bractwo Muzułmańskie) – polityczna organizacja sunnitów założona w 1928 w Kairze, obecna dziś w całym świecie islamskim, w 2013 uznana w Egipcie za organizację terrorystyczną.

Daesh – określenie tak zwanego Państwa Islamskiego wywiedzione od pierwszych liter jego nazwy w języku arabskim. Używane w państwach arabskich i coraz częściej w publicystyce międzynarodowej w celu pełnego wyeliminowania z opisów tego terrorystycznego monstrum konotacji i skojarzeń z islamem. Kiedy słyszymy „Państwo Islamskie”, siłą rzeczy utożsamiamy je z islamem. Pomyślano więc, że jeśli używać będziemy nazwy Daesh, to cały drastyczny problem terroryzmu islamskiego schowany zostanie za anonimową, niezrozumiałą figurą. Określenie pojawiło się w momencie proklamacji kalifatu na terenie Państwa Islamskiego, co odebrane zostało przez władców muzułmańskich w regionie jako bluźniercza uzurpacja.

dar al-harb – dom, świat wojny, czyli obszar nienależący do świata islamu. Cały niemuzułmański świat jest domem wojny zamieszkanym przez niewiernych, ale należą do niego także te państwa islamskie, które nie są fundamentalistyczne i nie stosują w całej rozciągłości szariatu.

dar al-islam – dom, świat pokoju, obszar świata islamu.

dar as-salam – odpowiednik dar al-islam, dom pokoju, świat pokoju.

derwisz – potoczne określenie sufiego.

dhimmi – żydzi i chrześcijanie pozostający pod opieką prawa islamskiego, opłacający specjalny podatek nazywany dżizja.

dżahilijja – okres przedislamski; określenie odnosi się też do każdego społeczeństwa, które odwróciło się od Boga albo odmówiło poddania się jego władzy, to znaczy władzy islamu.

dżihad – walka, walka o dobro, ale przede wszystkim walka zbrojna, święta wojna z niewiernymi w imię zwycięstwa islamu.

dżizja – przymusowy podatek płacony przez mieszkających na obszarach islamu niewiernych, chrześcijan i żydów, aby byli tolerowani przez muzułmanów.

fatwa – opinia prawna, ekspertyza wydana przez muzułmańskiego uczonego, muftiego.

hadis – relacja odnosząca się do tradycji, zawierająca wypowiedzi proroka Mahometa; zebrane hadisy tworzą sunnę, a ta określa poprawne postępowanie muzułmanina.

hadżdż – kanoniczna pielgrzymka do świątyni Al-Kaba w Mekce, jeden z pięciu filarów islamu; raz w życiu musi ją odbyć każdy muzułmanin.

halal – dozwolone według Boga.

haram – zakazane według Boga.

hidżab – okrycie muzułmanki.

hidżra – wyjście, właściwie ucieczka Mahometa z Mekki do Medyny w 622, początek świata islamskiego i pierwszy rok w kalendarzu muzułmańskim.

iblis – szatan, diabeł.

imam – duchowny prowadzący modły kanoniczne, przewodnik duchowy społeczności muzułmańskiej.

iman – wiara w Allaha, wiara w Boga i Mahometa jego ostatniego proroka.

irfan – mistyczna wiedza, objawienie.

islam – oddanie, uległość; ostatnia najpełniejsza i absolutna religia przekazana całej ludzkości przez Mahometa ostatniego proroka Boga, „pieczęć wszystkich religii".

islamizm – ruch islamski stawiający sobie za cel ustanowienie państwa islamskiego.

isra – nocna podróż Mahometa do Jerozolimy i z powrotem do Mekki na skrzydlatym wierzchowcu Al-Buraku.

kadi – sędzia prawa islamskiego.

kafir (dosł. niewdzięcznik) – niewierzący, każdy odrzucający wiarę Allaha, poganin, czyli chrześcijanie i żydzi, buddyści i hindusi, ateiści i laicy, wszyscy.

kalif – tytuł następcy Mahometa jako rzeczywistego lub nominowanego władcy świata muzułmańskiego, posiadającego taki sam autorytet jak Mahomet z wyjątkiem proroctwa.

kalifat – władztwo otrzymane w następstwie spuścizny po proroku Mahomecie, „zastępca wysłannika Boga"; islamska forma państwowości, w której w osobie kalifa zjednoczona jest władza świecka i religijna. Już Mahomet w Medynie łączył swoją osobą te dwie najważniejsze funkcje. Wielu muzułmanów sprzeciwia się temu jako uzurpacji, uznając, że według nauki islamu żaden człowiek, nawet przywódca wszystkich muzułmanów, nie może równać się z Bogiem, nie może więc być jego „zastępcą na ziemi". W 2014, dwudziestego dziewiątego czerwca, samozwańcze Państwo Islamskie w Syrii i Iraku ogłosiło się kalifatem i aspiruje do ogarnięcia całego islamskiego, a także nieislamskiego świata.

kibla – kierunek, w którym zwracają się muzułmanie podczas odmawiania salatu, czyli modlitwy. Kiedyś była nim Jerozolima, obecnie – Mekka.

Koran – ostateczne Boskie objawienie przeznaczone dla całej ludzkości, przekazane ostatniemu prorokowi Mahometowi. Koran składający się ze

stu czternastu sur, czyli rozdziałów, objawiany był Mahometowi przez dwadzieścia dwa lata.

mahdi – mesjasz, który zjawi się przed Sądem Ostatecznym, rozliczy sprawiedliwych i ochroni ich przed szatanem.

Mahomet – ostatni prorok Boga, któremu Bóg przekazał Księgę, w języku arabskim, zawierającą przekaz dotyczący całej ludzkości na każdym etapie jej dziejów.

Medyna, wcześniej Yathrib – miasto w Arabii Saudyjskiej, w którym Mahomet schronił się w 622 po ucieczce z Mekki. Prorok zmarł w 632 właśnie w Medynie.

Mekka – miasto w Arabii Saudyjskiej i miejsce narodzin (między 570 a 573) Mahometa. To tu przyjął on pierwsze wersety Koranu po tym, jak we śnie objawił mu się archanioł Gabriel i rozkazał, aby je spisywał. Mahomet był analfabetą.

mudżahedin – wojownik prowadzący walkę religijną.

naskh – wykładnia Koranu, według której młodsze wersety Koranu znoszą starsze.

Sayyid Qutb – egipski pisarz i filozof, ideolog światowego władztwa islamu i wojny, która je zapewni; stracony w 1966 w Kairze; jego wykładnia Koranu została zakazana.

ramadan – dziewiąty miesiąc muzułmańskiego kalendarza, podczas którego od wschodu do zachodu słońca obowiązuje saum, ścisły post. Jeden z filarów islamu.

rasul – wysłannik Boga.

ridda – apostazja, porzucenie, wyrzeczenie się islamu karane śmiercią.

salafizm – muzułmański ruch odnowy religijnej postulujący powrót do korzeni, do źródeł religii przodków, najbardziej ortodoksyjny i radykalny nurt w islamie.

salam – pokój przekazany przez Boga tym, którzy go uznają.

salat – codzienny akt wiary składający się z pięciu modlitw; jeden z filarów islamu.

sufizm – mistyczny nurt w islamie.

sunna – sposób, w jaki Bóg dokonał dzieła stworzenia, przekazane w relacjach ustnych opisy postępowania proroka Mahometa, według sunnitów stanowiące konieczne uzupełnienie Koranu.

sunnici – muzułmanie opowiadający się za tym, aby o następstwie po Mahomecie decydowała wspólnota muzułmańska. Sunnici stanowią dziewięćdziesiąt procent muzułmanów na świecie. Sunnitami są na przykład wojownicy Państwa Islamskiego, Turcy, Marokańczycy, Arabowie z Półwyspu Arabskiego, Indonezyjczycy, Egipcjanie czy Libijczycy.

sura – rozdział Koranu.

szahada – potwierdzenie, świadectwo, wyznanie wiary o następującej treści: Nie ma boga prócz Allaha, Mahomet jest wysłannikiem Allaha. Jeden z filarów islamu. Wypowiedzenie szahady sprawia, że człowiek staje się muzułmaninem i członkiem ummy, muzułmańskiej wspólnoty.

szahid – świadek, który zaświadcza prawdę o islamie, zatem przede wszystkim męczennik, który podczas walki oddaje życie za wiarę.

szariat – kodeks prawa muzułmańskiego, przewodnik poprawnego życia obejmujący wszystkie sprawy, od religijnych po etyczne, prawne i życia codziennego. Szariat reguluje wszystkie powinności muzułmanina wobec Allaha i nie podlega żadnej modyfikacji.

szura – zasada, w myśl której rządzący muszą przed podjęciem decyzji uzyskać zgodę całej społeczności.

szyici – muzułmanie opowiadający się za następstwem po Mahomecie według boskiego dekretu i autorytetu samego proroka. Szyici stanowią muzułmańską mniejszość, około dziesięciu procent wszystkich wyznawców. Mieszkają głównie w Iranie i Iraku. Są w ustawicznym konflikcie z sunnitami.

takijja – ukrywanie wiary, aby uniknąć represji rządzących.

ulam – duchowni islamscy.

umma – światowa wspólnota muzułmanów, stojąca ponad każdym porządkiem prawnym i ponad każdą formą państwa, w którym żyją muzułmanie.

Umm al-Kitab (dosł. Matka Księgi) – Księga wszystkich Boskich objawień.

zakat – jałmużna, podatek lub stała część dochodów, około dwóch procent, którą muzułmanie muszą przeznaczać corocznie na wsparcie dla biednych. Jeden z filarów islamu.

Islam wczoraj i dziś (niektóre daty)

570 – narodziny proroka Mahometa.

610 – Mahomet otrzymuje pierwsze objawienie na górze Hira.

622 – hidżra, ucieczka (emigracja) Mahometa z Mekki do Yathrib, późniejszej Medyny.

624 – bitwa pod Badr.

625 – bitwa pod Uhud.

628 – układ między Medyną a Mekką.

630 – zdobycie Mekki przez Mahometa.

632–634 – Kalifat Abu Bakra.

634–644 – Kalifat Umara ibn al-Chattaba.

644–656 – Kalifat Usmana ibn Affana.

680 – Husajn ibn Ali, wnuk Mahometa, ginie w bitwie pod Karbalą.

756 – Abd al-Rahman zakłada kalifat w Hiszpanii, ekspansja islamu na Bliskim Wschodzie, w Egipcie i Afryce Północnej.

1095 – papież Urban II wzywa do pierwszej wyprawy krzyżowej.

1281 – powstaje Imperium Osmańskie, które przetrwało do 1924.

1924 – utworzenie zeświecczonej Republiki Tureckiej i koniec Imperium Osmańskiego.

1925 – początek panowania dynastii Pahlavi w Iranie.

1928 – Hasan al-Banna zakłada w Kairze Bractwo Muzułmańskie.

1932 – utworzenie Królestwa Arabii Saudyjskiej.

1947 – Pakistan pierwszym państwem islamskim na świecie.

1948 – powstanie Państwa Izraela.

1952 – pucz wojskowy w Egipcie, obalenie króla Faruka, Gamal Abdel Naser prezydentem kraju.

1979 – rewolucja islamska w Iranie.

1990/91 – pierwsza wojna w Iraku, powstanie Al-Kaidy.

2001 – atak na World Trade Center, Waszyngton i Pentagon.

od 2001 – wojna z terroryzmem, dalsza ekspansja islamu w Europie i na świecie.

2003 – powstanie terrorystycznej organizacji Państwo Islamskie w Iraku i Syrii.

2014 – ustanowienie kalifatu przez Państwo Islamskie na okupowanych ziemiach w Syrii i Iraku.

Podziękowania

Książka to przede wszystkim autor. Ale jego dziecko, zanim trafi do czytelników, dostaje się w ręce troskliwej opiekunki. W ręce Pani Redaktor.

Pani Redaktor dogląda, proponuje, poprawia, dyskutuje. Jest pierwszą osobą, która trzyma książkę w ręku. Jej uwagi są najważniejsze. Bez niej książka nie poznałaby świata.

Zdarza się, jak właśnie teraz, że musi się spieszyć. Wtedy nie chodzi na spacery, pije dużo kawy i nie śpi po nocach. I czyta, czyta i czyta. I nie narzeka.

Jest wiele dobrych redaktorów w Polsce i na świecie. Moja Pani Redaktor jest najlepsza. Pani Halina Hałajkiewicz.

Pani Halino, dziękuję.

Marek Orzechowski

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
ul. Marszałkowska 8
00-590 Warszawa

tel. 22 6211775
e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360
Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl
Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz